

Władysław Łoziński

HAZARDY

Powieść współczesna

I
SPUŚCIZNA SAMOBÓJCZY

W teatrze było pełno. Grano nową sztukę a grano ją na cel dobroczynny, wzięty tym razem w opiekę przez najarystokratyczniejsze koła stolicy. Najwykwintniejsze towarzystwo zajęło łoże — a demokratyczny parkiet nie dał się także zawstydzić.

Roił się od niezliczonych widzów, którzy z prawdziwie katońską wytrwałością znosili parną i duszną atmosferę sali.

Bardzo to było modnie, być tego wieczora w teatrze ! Bardziej nawet modnie niż

miłosiernie. Miłosierdzie dla ubogich było tym razem koniecznością dobrego tonu.

Tak trudno było dostać biletów! Dwie księżny i cztery hrabiny przedawały je same

przy kasie! Obecność w teatrze nadawała patent wyższego "szyku", a samo

przedstawienie podwójnie było ciekawe!

Były bowiem tego wieczora dwa spektakle. Jeden na scenie, drugi między widzami.

Można było podziwiać najwytworniejsze towarzystwo, najpiękniejsze damy,

najprzepyszniejsze toalety — poić się widokiem ognistych
oczów i błyszczących
brylantów, pięście ucho fałszywą deklamacją bohaterki na
scenie i słodkim
szepciem bohaterek po łóżach.
Pierwsza bohaterka na scenie była tego wieczora wyjątkowo
ostatnią. Nikt nie
patrzył na nią, nikt nie słuchał biedaczki. Najtragiczniejsze jej
pozy i
najczulsze modulacje głosu nie mogły wytrzymać rywalizacji
z zajęciem, które
wzbudzała widokiem swym barwnym i świetnym sama
publiczność.
Było tego wieczora dużo satysfakcji dla oka, dużo
przyjemności dla
dobroczyńnego serca i dużo dochodu dla ubogich...
Wśród takiej olśniewającej świetności i barwności
towarzystwa trudno było tak
prędko zwrócić na siebie uwagę jednostce, zwłaszcza jeżeli
jednostka ta nie była
dama strojna w najczarowniejsze wdzięki urody i w
najbogatszy przepych stroju. A
przecież każde bystrzejsze oko, każdego widza z zmysłem
spozrzegawczym musiała
uderzyć twarz jedna ujęta w ramy parterowej łoży.
Była to twarz tak wybitna swym wyrazem, tak jakimś
odmiennem, jaskrawem piętnem
różniąca się od reszty pogodnych i uśmiechniętych albo
przynajmniej spokojnych
fizjognomij — że niepodobna było nie spo-
strzedz jej od razu, a spostrzegłszy nie obserwować jej dłużej.
Twarz ta była piękna, a należała do młodego mężczyzny.
Błada, ocieniona bujnym,

z fantazją i w nieładzie podgarniętym włosem, więziła
wyrazem przenikającym,
patrzyła oczyma gorejącymi, pełnymi tajemniczej głębi i
zagadki, drgała
uśmiechem oryginalnym, prawie strasznym...
Miała w sobie coś rozpaczego i wyzywającego zarazem,
urągało z niej jakieś
szyderstwo, pałała gorączka, maskowana dziwna zawziętością
i zuchwałą butą.
Zdawało się, że ten człowiek chciał brawować swoją twarzą
publiczność całą, tak
przyzwoitą, tak piękną, tak modną, tak wystrojoną i tak gładko
strychulcem
dobrego tonu zniwelowaną...
Parter nie od razu zauważał tego pięknego, młodego
mężczyznę z takim oryginalnym
wyrazem twarzy, ale z łóż przypatrywano mu się ciekawie.
Poznać nawet można było
łatwo, że go znano, że coś o nim szczególnego wiedziano, bo
mnóstwo spojrzeń,
maskowanych binoklami, zwracało się ku niemu. Na
niektórych twarzach, a nawet na
bardzo pięknych niewieścich, widać było przy tym wyraz
pewnej sympatii, a
niektóre precudne oczka oblewały go takim spojrzeniem
współczucia, że nie
jeden lew z wymuskaną grzywą pozazdrościć mu mógł tego
szczęścia.
Ale to właśnie zdawało się niecierpliwić a nawet gniewać
młodego mężczyznę. Ile
razy bowiem spotkał
się z takim spojrzeniem, przybierał zawsze minę jeszcze
dumniejszą, jeszcze

bardziej wyzywającą, stanowczo niegrzeczną i effroncka
nawet. Osobliwie
uśmiechem szyderczym straszył wszystkich, tak że ukradkiem
tylko nań patrzano,
aby się z nim nie spotkać.
Osobliwie w jednej z przeciwnych łóż pierwszego piętra
praktykowano taką
maskowaną, bojaźliwą ale uporną obserwację. Siedziały tam
dwie komtessy i jedna
baronowa. Komtessy na przodzie, baronowa z tyłu, ze
względów szlacheckiej rangi
zapewne. Komtessy były bardzo stare i bardzo nieładne, a
baronowa była bardzo
nieładna i bardzo stara, a wszystkie trzy były widocznie
bardzo ciekawe i bardzo
gadatliwe. Go chwila jedna szeptała coś drugiej do ucha, a
ruch ich
ufontazowanych głów przy wzajemnem nadstawianiu uszu
był tak regularny i
szybki, że przypominał jakąś bardzo dowcipnie
skombinowaną maszynę.
Miedzy temi trzema twarzami pojawiała się z ciemnej
perspektywy łoży trzecia,
mężka, pomarszczona, zgrzybiała i gładko ogolona, której
blade, bezzębne usta
poruszały się z taką szybkością, że sprawiały mały zawrót
głowy, a na której
najwyraźniej widać było, że jej właściciel wprosił się do łoży i
że był
bezpłatnym widzem "dobroczyнного przedstawienia.."
Ale za gościnność odpłacał się trzem paniom bardzo hojnie,
bo opowiadał im

jakieś wielce ciekawe rzeczy. Opowiadał im coś o tym zagadkowym młodym człowieku i dla tego też i my pospieszymy podsłuchać tę rozmowę.

— Więc powiadasz pan, panie Norbercie — poczęła jedna z pań — że już po nim!...

I machnęła znacząco suchą, wychudłą dłonią.

— Kompletny bankrut — pospieszył z odpowiedzią pan Norbert — przed dwoma dniami oddał cały majątek za długi, nie został mu ani szeląg...

— No i patrzcie — odezwała się baronowa — a taką ma dobrą minę!

— To prawdziwy skandal — rzekł na to p. Norbert — patrzcie panie, z jaką on dumą

i effronterją patrzy na wszystkich! Trzeba być bezwstydnym, aby tak

fanfaronować! Człowiek bez jutra, człowiek, co nie miałby już czem zapłacić

fiakra, gdyby nie chciał wracać piechotą z teatru do domu! To prawdziwy skandal!

— I co go tak do reszty zrujnowało?

— Najpierw jego szaleństwo. To waryat był zawsze. Nie miał nigdy wielkiego

majątku, a wyrzucał pieniądze jak Nabob indyjski! Grał pierwszą rolę, dogadzał

swej fantazji, która trochę za bujną była, i przyszło, co przyjść musiało! Ale

to taka familja. A stryj jego? Przed dwoma miesiącami wrócił zgrany do nitki z

zagranicy, przybył obszarpany, odarty i głodny jak żebrak, ale bratanek

poratował go już nie wiem po raz który, nie wiedząc że sam tak rychło zmieni się

w nędzarza prawie!...

— Cóż on teraz pocznie! Zapewne ma jakie talenta i będzie zarabiał...

— Ale on nic nie umie! Co zarobi człowiek, qui n'est bon, qu'd faire des bouteilles vides avec des bouteilles pleines...

— Słyszałam — odezwała się jedna z pań — że jakaś awanturę zrobił tu temi dniami!

— Ale czy jedną! hrabino — podchwycił szybko p. Norbert — to szalony człowiek, rabiast, morderca. Kiedy był zmuszony jednym posunięciem pióra rzec się całego majątku, została mu jeszcze jakaś sumka gotówki. Zaraz wyprawił suta kolacyjkę kawalerską, orgię bachancką, na której...

— Były zapewne i kobiety! Ach! nie opowiadaj wszystkiego panie Norbercie — zawołała skromnie baronowa — to jakaś skandaliczna historia...

— Najskandaliczniejszy był koniec. Po niewiem już ilu kieliszkach szampana począł prawić swym towarzyszom najokropniejsze impertynencje. Każdemu palnął upokarzające kazanie i zmusił zaraz nazajutrz trzech do pojedynku: Augusta, Artura i Kamila.

— Okropnie!

— August stchórzył na placu i musi teraz biedaczysko odbywać podróż, aby zniknąć z oczów na czas jakiś, Arturowi strzaskał kulą ramię, a Kamil biedny stracił pół, ale to literalnie pół nosa od szabli tego szaleńca!

— Mógł stracić; miał z czego! - rzekła złośliwie baronowa —
Kamil miał tyle
nosa!

Pan Norbert uśmiechnął się grzecznie na ten dowcip i
opowiadał dalej:

— Potem uganiał cały dzień na swym wierzchowcu,
przepyszny arabi, za którego
ofiarował mu był przed chwilą hrabia Seweryn dwa tysiące
dukatów... Gdy wracał z
tej szalonej gonitwy, zlął przed rogatka z konia, dobył
rewolweru, palnął
koniowi w łeb kulą i wrócił piechotą do miasta. Po drodze
obłożył szpicrutem
jakiegoś majora, jak powiada za to, że miał uszy kłapiaste,
których on od
dzieciństwa nie lubił...

— A to straszny szaleniec!

— Nie do uwierzenia, co wyrabiał. Chciał być dzisiaj
konieczny w teatrze a była
tylko jedna loża, właśnie vis á vis tej, którą ma pani Sylwia...

— Pani Sylwia! — szepnęły od razu wszystkie trzy
emerytowane gracje — więc ona
jest w teatrze!

— Jest, i dla tego tak mu chodziło o tę lożę. Ale ten sam
powód miał i książę
Neron. Poczęli się licytować o bilet, i kupił go za reńskich, bo
książę
stchórzył i przed wysoką sumą i przed szaloną miną tego
opryszka...

— Dzięki Bogu — westchnęła jedna hrabina — że to wieczór
dla ubogich!

— A cóż pani Sylwia?... — zapytała druga.

— Pani Sylwia nie kocha go, i to go właśnie do owej furji
przyprawia.

Więc ona jest w teatrze i siedzi naprzeciw niego — szepnęły
znowu chórem damy —

jak też wygląda?

I trzy chude pomarszczone szyje wyciągnęły się z łoży.

Pójdziemy za kierunkiem spojrzeń ciekawych dam i
zagłębimy do wskazanej łoży.

Na tle ciemnym łoży rysowało się popiersie kobiety, której
piękność była w całym

znaczeniu tego słowa imponującą. Kobieta ta mogła mieć lat
dwadzieścia kilka, a

była w owym stanie najzupełniejszego, najrozkoszniejszego
rozwoju, jakie się

spotyka tylko u młodych mężatek.

Twarz jej była cery wielce białej i delikatnej, ale uderzała
zarazem wyrazem.

zdrowia i życia. Rysy twarzy nie były może skończenie
piękne, ale niepospolite i

wybitne. Był w nich powab jakiś nie ujęty a olśniewający.

Nad czołem

prześlicznie sklepieniem zwijały się bogate sploty bujnych,
półciemnych włosów,

oczy duże pały ogniem namiętym, tryskały siłą
temperamentu, choć je trochę

tłumiła. lekka mgła marzenia i obojętności czy przesytu.

Nosek jej był wielce

powabnego choć nie klasycznego zakroju, cudowne usta
mówiły milcząc.

Kobieta ta rozparta niedbale w krześle patrzyła obojętnym
wzrokiem na scenę lub

rozmawiała z znajomymi mężczyznami, którzy ją często
odwiedzali w łoży.

Najczęściej oczy jej nie patrzyły nigdzie, to-
nęły gdzieś w próżni, w powietrzu... pójść za ich spojrzeniem
było niepodobna.

To dodawało im osobnego uroku. Ów młody mężczyzna z tak
dziwnie wzburzoną a tak
wyzywającą twarzą spoglądał ustawicznie na tę piękną
kobietę. Gdy patrzył na
nią, można było widzieć, jak twarz jego bardziej jeszcze grać
zaczynała
wzruszeniem, namiętnością, gniewną rozpaczą nawet. Nieraz
wzrok jego
przenikający, ognisty i prawie straszny tkwił całymi minutami
w pięknej twarzy.

Zdawało się, że taki wzrok nieprzepartą swą magnetyczną siłą
zmusi osobę, na
którą patrzy, aby się zwróciła oczyma ku niemu.

Tym razem magnetyzm ten był bezsilnym. Pani Sylwia nie
widziała wcale siedzącego
naprzeciw mężczyzny, nie uważała go; oczy jej, które zdawały
się być wszędzie,
nie spoczęły nigdy na jego łożu. Może go widzieć nie chciała.
W tym niemem prawie, bo tylko na cichych szeptach i
spojrzeniach opartem
widowisku, które się odbywało w teatrze po za sceną,
odgrywało rolę swoją także
pewne indywiduum, oddzielone zda się całą przepaścią
towarzyskiej różnicy od
osób opisanych.

Do gry spojrzeń w regionie łóż wchodziła się para siwych,
dużych i bystrych oczu
z regionu najwyższego, z galerji. Ta para oczów patrzyła się
upornie na młodego
mężczyznę w łożu, z zajęciem spokojnym i pełnym pewności.

Wśród tłumu szaraczkowej publiczności na galerji wyróżniało się od razu jakieś indywiduum wysokie, krępe, brodate i po swojemu oryginalne. Był to mężczyzna w średnim wieku, ubrany w bluzę wypłowiałą i najdziwaczniej pogięty kapelusz włoski, który z fantazją przechylał mu się na prawe ucho. Twarz jego koścista, ogorzała, była wybitnie markowaną, tak że nawet z dołu mimo znacznej odległości galerji można było zająć się jej rysami. Bujny, zdziczały zarost ocieniał twarz tego widza, a z pod gęstej brody wyglądała naga, szeroka, po herkulesowsku muskularna szyja, ujęta tylko w szeroki, wyłożony kołnierz czerwonej koszuli. Człowiek ten wyglądał na ujeżdżacza lub akrobatę. Spoglądał on często na rąbek kurtyny, jakby pragnął, aby się prędko spuściła. Nareszcie doczekał się tego, akt się skończył — a w tejże chwili zniknął brodacz w czerwonej koszuli z swego miejsca na galerji. W kilka chwil potem można było zauważać, jak oczy prawie całej publiczności zwróciły się nagle do loży owego młodego człowieka z twarzą tak dziwnie wzburzoną i z dumna desperacką. Posypały się spojrzenia na jego lożę — skierował się ku niej rój cały lornetek. Bo też istotnie można się było zdziwić. Po za plecyma młodego człowieka pojawiła się barczysta, wysoka postać brodacza w czerwonej koszuli, który

nie tylko nie zdjął kapelusza wchodząc do łoży, ale go jeszcze dziwniej na bok zasadził.

Młody mężczyzna łowił w tej chwili tak rozpaczliwie spojrzenie pięknej kobiety z łoży naprzeciw położonej, a tak był rozjątrzony i wzburzony, że nie słyszał nawet, iż ktoś wszedł do jego łoży.

Człowiek w czerwonej koszuli stał chwilę spokojnie, jakby nie chciał

przeszkadzać, i spoglądał wzrokiem śmiałym i pewnym na salę teatralną — potem

postąpił bliżej i podniósłszy swą szeroką, dużą dłoń, położył ją na ramieniu

młodego mężczyzny...

Dotknięty dłonią zwrócił się szybko i spojrzał gniewnym i zdziwionym zarazem

wzrokiem na swego oryginalnego gościa...

Oryginał w czerwonej koszuli nie zmięszał się tem niegościnnem powitaniem, ale

zmierzył spokojnym, badawczym wzrokiem młodego człowieka, który zniecierpliwiony

i rozgniewany poufałością nieznajomego, chciał już wybuchnąć głośno niechęcią.

Ale właśnie owo spokojne, pełne pewności spojrzenie, z jakim się spotkał,

dziwną siłą powstrzymało go zaraz w pierwszym impecie.

— Kto pan jesteś, czego żadasz? — zapytał łagodniej nieco niż zamierzał, ale

zawsze szorstko młody człowiek. — Omyliłeś się pan zapewne...

— Wszakże mówię z panem Amadeuszem Ordawskim?... — odpowiedział spokojnym głosem

nieznajomy.

Młody człowiek skinął w odpowiedź głową a potem spojrzał niecierpliwie na swego gościa, jakby go wzywał do szybkiego usprawiedliwienia się z tak niestosownej wizyty.

Nieznajomy w czerwonej koszuli przypatrywał mu się tymczasem pilnie i z zajęciem.

— Cóż u licha! — wybuchnął Amadeusz, bo odtąd już tak nazywać go możemy — czy mnie pan przyszedłeś oglądnąć!...

— Zacząłem wprawdzie od tego — odpowiedział z lekkim uśmiechem nieznajomy — ale to nie jedyny cel mych odwiedzin, choć ciekawą jest rzeczą widzieć tak młodego człowieka..

Amadeusz tupnął nogą o podłogę łoży i mars wystąpił mu na czoło.

— Tak młodego człowieka — kończył z niewzruszoną flegmą nieznajomy — który tak prędko skwitował się ze światem i znalazł się nagle bez jutra... Amadeusz osłupiał na słowa nieznajomego, który na wzrok jego rozszrożony odpowiadał ciągle spokojną miną i uśmiechem na pół żartobliwym, na pół szyderyczym...

— Wychodź pan natychmiast! — zawołał po chwili, tłumiąc głos i hamując oburzenie.

— Ależ powoli... powoli... panie Amadeuszu... — odpowiedział gość niezmięszany —

zostaniesz lwem dnia, nie potrzebując expensować się na skandal w teatrze...

Żart na bok" mam do pana interes...

— Tu nie pora i nie miejsce do interesów, a pańskie natręctwo jest niesłychaniem!

— Są, mój panie Amadeuszu, interesa — odpowiedział nieznajomy tonem

najspokojniejszym, który najbardziej zdawał się jątrzyć młodego człowieka — są

interesa, na które zawsze pora i miejsce... Zresztą gdzie cię szukać i gdzie z

tobą mówić, kiedy zdajesz się być na wylocie gdzieś na koniec świata... albo...

albo i dalej...

Ostatnie te słowa wyrzekł nieznajomy z ironicznym naciskiem i spojrzał znaczącym

wzrokiem na Amadeusza.

— Jesteś dzieckiem szczęścia, faworytem ślepego przypadku, pieszczoszkiem

hazardu, panie Amadeuszu... — ciągnął dalej nieznajomy nie dając przyjść do

słowa zdumionemu. Skończyłeś, a z nieba spada ci początek, przehulałeś wczoraj a

ono do ciebie wraca, nie miałeś już jutra a przynoszą ci je niespodzianie...

Amadeusz patrzył na mówiącego jak na szaleńca.

— Dziwią cię te argumenta moje — prawil tymczasem dalej brodacz w czerwonej

koszuli — mam silniejsze w kieszeni... Ale patrz, jak nas obserwują zewsząd,

uważam, że zaczynam ci być niebezpiecznym... Moja osoba sprawia więcej sensacji

niż ty... Wyjdźmy chyba, nie stracisz na tem nic, moge ci
zareczyć... Sztuka
nudna, a publiczność jeszcze nudniejsza... Chodźmy panie
Amadeuszu, bo nie mam
czasu, Lwów
nie był mi wcale po drodze, z grzeczności podjąłem się tylko
polecenia do
ciebie.

— Ale któż pan jesteś, powiedz nareście!

— Jestem posłannikiem człowieka, który kazał cię przeprosić,
że taką dziką
figurą jak ja się wyręcza, ale nie mógł zrobić inaczej, bo sobie
w łeb
strzelił...

— Mówisz pan samemi zagadkami... Ta cała mistyfikacja
zaczyna mnie nudzić...

Któż tedy do licha mógł ci dać polecenie do mnie?...

— Twój stryj, panie Amadeuszu, pan Krzysztof. Amadeusz
zbladł nagle. Wiadomość,
udzielona mu

przez nieznanego sprawiła na nim ogromne wrażenie.

— Na Boga! — zawołał drżącym głosem — więc mój stryj
odebrał sobie życie!

Nieznanomy potwierdził milczeniem.

— Jak to się stało, kiedy, dlaczego? mów pan! — zawołał
Amadeusz z naciskiem
prawdziwego uczucia.

— Opowiem ci zaraz — odrzekł nieznanomy — ale
przedewszystkiem wyjdźmy z
teatru... Od godziny nie mieszkasz pan nigdzie, wiem o tem...
Ale noc jest
prześliczna, jasna i ciepła, możemy pomówić pod otwartem
niebem...

Amadeusz chwycił za kapelusz i wyszedł za nieznajomym.
Otrzymała wieść sprawiła na młodym człowieku wrażenie
bolesne i głębokie. Z
twarzy jego, dotąd tak butnej a rozgorączkowanej, tak dumnej
a desperackiej,
znikł wyraz gwałtowności bez śladu, oczy złagodniały mu
smutnem wzruszeniem...

Nieznajomy uważał to i zdawał się patrzeć z współczuciem i
satisfakcją zarazem
na swego młodego towarzysza.

Gdy się znaleźli na ulicy, Amadeusz chwycił za ramię
nieznajomego.

— Mów tedy, słucham cię... Niespodziewałem się, abym dziś
jeszcze doznał
wrażenia, któreby kazało mi zapomnieć o wszystkim i
dowodło, że ja, który
wszystko straciłem, miałem jeszcze jedna stratę do
poniesienia... Ale to już
strata ostatnia... Biedny Krzysztof... on jeden mnie kochał i
rozumiał, i ja go
szczerze kochałem... Mów, gdzie zaszła ta katastrofa i
kiedy?...

— Przed dwoma tygodniami, w Homburgu...

— W Homburgu... — powtórzył Amadeusz — więc skończył,
jak żył, wieczna ofiara
swej namiętności i hazardu...

— Tak jest, skończył jak żył — powtórzył nieznajomy — bo
tacy ludzie nie
umierają naturalną śmiercią... Zabijają ich lub zabijają się
sami...

— Przypominam sobie te słowa, mówił to sam do mnie o
sobie...

— A do mnie mówił je także o tobie, panie Amadeuszu —
dodał nieznajomy.

Amadeusz westchnął i milczał.

Po chwili przecierając dłonią swe czoło rzekł:

— Słucham cię.

— Nie dawno, przed kilku zaledwie miesiącami — począł
nieznajomy — widziałeś się
z twym stryjem...

Amadeusz pochylił głowę potakująco.

— Krzysztof przyszedł wtedy do ciebie jako nędzarz prawie...

— To nie należy do rzeczy — przerwał Amadeusz.

— Owszem należy, bądź tylko cierpliwym. Srodze go był
wtedy zmaltretował los, z
którym wieczny podjazd prowadził... Fortuna wyrzuciła go na
bruk z swego

najniegodziwszego młynka, obszarpanego, obdartego,

głodnego nawet.. Wszystko co

miał, stracił i przegrał... Mniej więcej znajdował się w takiej
samej pozycji,

jak ty dziś, panie Amadeuszu... Nie było mnie wtedy przy
nim, ale gdy się

dowiedziałem o tem, byłem pewnym, że biedny Krzysztof w
łeb sobie palnie...

Lubiłem go bardzo i przyjemnie mi było, że się omylił...

Krzysztof wrócił do

kraju, sam nie wiem, o jakich środkach... Przybył tu i odszukał
ciebie...

— Lecz cóż dalej, cóż dalej!...

— Pan znajdowałeś się wówczas już sam na schyłku —
ciągnął dalej spokojnie

nieznajomy, nie zważając na niecierpliwość Amadeusza — ale
uczyniłeś dlań co

mogłeś, owszem sto razy więcej niż mogłeś... Wrócił
napowrót z pieniędzmi za
granicę i swoim zwyczajem uwijał się między bankami gier.
W tym czasie raz się z
nim tylko spotkałem. Było to w Wiesbaden. Przypominam
sobie, mówiono właśnie
wiele o jakimś Niemcu, co zgrawszy się do nitki, odebrał
sobie życie, zosta-
wiając całą rodzinę swoją w najostatniejszej nędzy. Krzysztof
rzekł do mnie
wówczas na pół żartobliwie — ale kiedyż on mówił serjo? —
następujące słowa:
— Jacy ci ludzie głupi... Ten Niemiec gniewa mnie
prawdziwie... Człowiek
rozumny, który się poświęcił hazardowi, nie strzela sobie
wtedy w łeb, kiedy
przegrał, ale wtedy, kiedy wygrał...
— Jestem tedy spokojny o ciebie — odparłem tym samym
tonem żartobliwym. I
istotnie mogłem być spokojnym, bo grał zawsze
najnieroztropniej i
najnieszczęśliwiej w świecie. Rozstałem się z nim, bo miałem
inny cel podróży.
Byłem właśnie w Berlinie, kiedy otrzymuję nagle list od
Krzysztofa. Mniej więcej
taka była jego osnowa: Niesłychane stały się rzeczy, mój dziki
oryginał! Wystaw
sobie, ten biedny markiz włoski, któremu pożyczyłem przed
trzema laty, gdy
wszystko przegrał co miał, kilka tysięcy dukatów, pojawił się
tu w Homburgu i
oddał mi pieniądze! Dodawszy je do tych, którymi poratował
mnie pocziwy

Amadeuszek, rozpocząłem straszliwą kampanję — i oto
wygrywałem, wygrywałem bez
końca. Wygrana rosła szalenie... aż wczoraj, wczoraj, wyobraź
sobie rozbiłem
bank, ale to rozbiłem w puch... Wierny zasadzie, nim ten list
odbierzesz,
strzelę sobie w łeb. Przyjeżdżaj proszę cię natychmiast, zgłoś
się do naszego
wspólnego znajomego Artura, który tu bawi i bądź
egzekutorem mego testamentu..
— To były mniej więcej słowa listu — ciągnął dalej
nieznajomy — wypuszczam z
niego niektóre ekspektoracje, które do mnie się stosowały i
mnie tylko obchodzą.
Przyjechałem zaraz do Homburga, udałem się do wskazanej
osoby i dowiedziałem
się, że Krzysztof już nie żyje a nawet już pochowany. Pod
pozorem, że ma odbyć
krótką podróż zostawił u wspomnianej osoby papiery i
wszystkie pieniądze, z
poleceniem, aby je mnie wydano. Ale zaraz na drugi dzień po
zniknięciu
znaleziono jego ciało w okolicy. Odebrał sobie życie
wystrałem z pistoletu.
Amadeusz słuchał opowiadania z bolesnem zajęciem.
— Go za szaleństwo, Boże mój!... — szepnął drżącym i
wzruszonym głosem.
— Odebrałem pieniądze i papiery i wypełniam woię mego
przyjaciela — mówił dalej
nieznajomy. — Tak jest mego przyjaciela, bo kochałem go i
on mnie kochał.
Zdawało się, że rozrzewnienie opanowało przy tych słowach
nieznajomego. Ale

trwało to tylko jedną, przelotną chwilę. Głosem spokojnym,
prawie chłodnym
mówił dalej:

— Jakiego rodzaju były ostatnie rozporządzenia Krzysztofa,
jakie mi dał
informacje, jaką w ogóle zostawił spuściznę, to cię nie
obchodzi, panie

Amadeuszu, a choćbyś był ciekawym, na nicby ci się to nie
zdało. Jest to sprawa
między mną a nieboszczykiem, i niczego się w niej nie
dowiesz odemnie...

Amadeusz zdawał się być zatopionym w smutnych myślach i
milczał ciągle.

— Ale nieboszczyk stryj twój — mówił znowu nieznajomy —
zostawił także
polecenie, które cię obchodzi. Mam list dla ciebie...

— Gdzież jest, daj mi go pan natychmiast... — zawołał
niecierpliwie Amadeusz.

— A oprócz listu mam ci wypłacić także dług, który stryj
zaciągnął u ciebie,
notabene z procentami, który kapitałik ten przyniósł. Procenta
te wynoszą

trzydzieści razy tyle, ile wynosiła pożyczona suma. Mam ci,
panie Amadeuszu,

wypłacić: trzykroć sto tysięcy — zł. reńskich gotówką...

Wymawiając te słowa a mianowicie sumę pieniędzy powolnie
i z naciskiem,

nieznajomy spoglądał badawczo na Amadeusza.

Amadeusz miał wprawdzie minę zdziwioną, ale z twarzy jego
me zniknął wyraz
smutku i współczucia.

— Skończyłem — odezwał się nieznajomy — a jeżeli ci to nie
zrobi różnicy,

skończymy natychmiast interes. Chciałbym jutro raniutko wyjechać...

Amadeusz milczał i po chwili dopiero budząc się z zadumy odpowiedział:

— Wszystko, co mi pan teraz powiedziałeś, jak sen wygląda...

Istotnie nie wiem,

czy marzę czy mówię na jawie z panem, który stajesz przedemną jak w

fantastycznej bajce.... Mówiłeś mi, że przynosisz mi

niespodziewane jutro. Nie

wiem czy to jutro przyjąć

moge.... Jestem zanadto pod wrażeniem wiadomości, które mi pan przynosisz...

— Będziesz miał czas ochłonać z tych wrażeń — odparł nieznajomy — ja nie mam

dziś czasu czynić na panu obserwacji psychologicznych.

Żałuję nawet tego, bo

lubię je... zresztą co mnie obchodzi, ie ci się całe zajście wydaje tak

fantastycznym. Widziałem fantastyczniejsze....

— Ale powiedz mi pan przynajmniej — zapytał Amadeusz

— jak się nazywasz, kto

jesteś?...

— Roch.

— To imię tylko.

— Imię albo nazwisko, jak ci się podoba...

— Ależ mój panie — dodał Amadeusz — uwziąłeś się

nielitościwie, do całego swego

awanturniczego poselstwa dodawać jeszcze więcej

mistycznych pozorów... Wyznaj

sam czy mi wystarcza...

— Nazwisko, które ci wymieniłem? — przerwał nieznajomy

— jeżeli tylko ono mnie

wystarczało i zawsze wystarcza, czemużby nie wystarczyło
tobie ? Osoba moja nie
znaczy nic w tej całej dziwnej historii, jeżeli ci się ją tak
nazwać podoba.

Jestem prostym pośrednikiem, spełniam ostatnią wolę mego
przyjaciela, nazywam
się Roch, nie mam czasu, powiedziałem ci wszystko,
zaczynam się nudzić i proszę
za mną, bo tu mieszkam...

Amadeusz, który dotąd szedł machinalnie za nieznajomym,
ujrzał teraz że znalazł
się przed jednym z po-
spolitszych hotelów. Chciał jeszcze coś mówić, ale
nieznajomy wziął go pod ramię
i poprowadził z sobą.

Wyszli na pierwsze piętro a nieznajomy otworzył drzwi do
jednego z pokojów, i
wszedłszy do środka zapalił świecę.

Na stole i na ziemi leżały skromne przybory podróżne:
płaszcz, plaid, torba,
rewolwer w futerale i nie duży skórzany kuferek. Nieznajomy
prosił Amadeusza,
aby usiadł, a sam wydobył z zanadrza ogromny pulares.

Wyciągnął z pośród mnóstwa
papierów list jeden i wręczył go Amadeuszowi.

Amadeusz szybko rozłamał pieczętkę i począł czytać. List był
krótki, dziwaczny,
a nawet wesoły i jowialny, lecz nie zawierał żadnych nowych
szczegółów. Stryj

Krzysztof odwoływał się w nim do swego poufnika i
przyjaciela — Rocha, jak się
wyrażał: "bestyi dzikiej, oryginalnej, ale poczciwej i bardzo
ciekawej".

— Czytaj pan uważnie — odezwał się Roch — przewracając między papierami olbrzymiego swego portfelu. — Ten waryat stary umiał pisać ciekawe listy. Mam ich całą kolekcję. W domu odczytaj go raz jeszcze. Krzysztof umiał pisać między wierszami. Cóż z tego! Był to najgłupszy rozumny człowiek, którego znałem...

— Proszę teraz bliżej — odezwał się po chwili milczenia Roch — masz tu pieniądze. Zmieniłem je na wexle najlepszych domów. Jeden masz na dom bankowy tutejszy, trzy na domy zagraniczne...

Amadeusz wziął wexle machinalnie z rak nieznajomego.

— Tylko je oglądnij dobrze panie Amadeuszu — napominał tenże — bo podpiszesz mi kwit na odebraną sumę...

I podsuwając mu kartkę małą papieru, podał mu ołówek.

Amadeusz, który w całym tem dziwnem zajściu przestawał sobie już zdawać sprawę z tego, co słyszał i co mu robić kazano, podpisał rzuciwszy okiem pobieżnie na kartkę.

Nieznajomy schował kwit podpisany i rzekł do młodego człowieka:

— A teraz, panie Amadeuszu, żegnam cię...

— Jak to, więc nic mi pan już nie powiesz ani o stryju, ani o sobie, ani o całej tej historii, która, powtarzam, snem mi się istnym wydaje?...

— Nic. Mógłbym ci tylko wyciągnąć z niej morał piękny...

Ale nie wierzę w

skuteczność morałów... Doświadczenia nie można antycypować... Idź, śnij co

chcesz i rób co chcesz... Dobranoc!

— Ależ tak być nie może! — zawołał zniecierpliwiony

Amadeusz — Jesteś pan

bardziej zagadkowym niż poselstwo twoje, niż los, który cię tu
sprowadza, w tej

chwili właśnie, kiedy ja...

— Ale wiem, wiem o wszystkim, znam historję twoją
dokładniej niż ty sam...

— To niepodobna!

— Dobranoc!

— Do jutra tedy, a jutro zobaczymy się przecież?

— Nie. Skoro świt wyjeżdżam.

— Gdzież pana mam szukać?

— Po co?

— Czyż nie spotkamy się już nigdy w życiu?

— Może.

Odpowiadając krótko i z lekkim uśmiechem ironicznej jakiejś
satysfakcji,

nieznajomy wziął świecę ze stoła i stanąwszy przy drzwiach
otworzył je

Amadeuszowi.

Amadeusz chciał się oprzeć jeszcze, chciał co mówić, ale
wzrok nieznajomego

zdawał się coraz natarczywiej nalegać, aby się usunął.

Przekroczył tedy próg a

nieznajomy wziął go za rękę, uścisnął ją, a potem drzwi
głośno zamknął i

zaryglował.

II.

REDIVIVUS!

Wyszedłszy z hotelu, Amadeusz zatrzymał się na ulicy,
przetarł dłonią czoło, jak

człowiek, który goni pamięcią widziadła snu dziwnego, i
usiłował wyjść z
osłupienia, w które go całe to niezwykłe zdarzenie
wprawiło...

Począł się gniewać sam na siebie, że nie był natarczywszym,
ie nie zmusił

nieznajomego do bliższych wyjaśnień, że nie umiał zedrzyć
tajemniczej osłony z
jego zagadkowej osoby...

Mruknął prawie gniewnie kilka słów do siebie, zwrócił się ku
hotelowi i spojrzął
w okno pokoju, w którym rozmawiał z oryginałem. W oknie
było już ciemno...

W Amadeuszu obudziła się gwałtowna i natarczywa natura;
chciał powrócić, zbudzić
nieznajomego, zmusić go po prostu do bliższych szczegółów i
wyjaśnień. Ale
uniesienie to nie miało siły decyzji — Amadeusz zawahał się,
i zamiast wrócić,
jak zamierzał, do nieznajomego, stał nieruchomo na ulicy i
patrzył w okno
dalej...

Wszystkie okna na piętrze były oświetlone, to jedno tylko
było ciemne jak
zagadka... Z początku zdawało się Amadeuszowi, że nic
łatwiejszego, jak
ochłonawszy z pierwszego zdziwienia powrócić do
nieznajomego i zażądać powtórnie
informacji, do których przecież miał najsłuszniejsze prawo,
ale zadanie to na
pozór tak proste i naturalne, stawało się wobec osoby z którą
miał Amadeusz do
czynienia, trudnem a nawet niepodobnem.

Stała mu jeszcze ciągle przed oczyma ta postać dziwaczna a imponująca.

Nieznajomy, mimo swej prostoty i tak stanowczej pogardy wszelkich form konwenansowych, niewytłumaczoną jakąś przewagą odbierał Amadeuszowi wszelką śmiałość. Przebijały się w jego postępowaniu pewność siebie, poczucie wyższości jakiejś moralnej i stanowczość niezachwiana. Można było od razu przekonać się, że taki człowiek nie powie nic więcej nad to, co powiedziec mu się podoba, że równie bezskuteczną bronią byłyby wobec niego tak zręczny podstęp jak i otwarta natarczywość.

Chwilę stał jeszcze Amadeusz bezradny i zniecierpliwiony, raz jeszcze zwrócił przeciągłe spojrzenie ku ciemnemu oknu, i w końcu wzruszywszy ramionami począł powoli oddalać się od hotelu.

Pora nie była jeszcze późną, letni wieczór zaledwie rozsunał mrok swój po ulicach miasta. Z pod krańców horyzontu wysuwał się księżyc w pełni, tak przyćmiony jeszcze resztkami dziennego światła w swym połysku, że nie różnił się od białych świetlanych obłoków, które rozpostarły się po pogodnym błękicie.

Amadeusz szedł dalej prawie machinalnie, bez celu.

Wrażenia których doznał w ostatnich czasach, były tak silne, tak gwałtowne, a dopełniło ich szeregu tak dziwnie całe niespodziewane zajście, które opisaliśmy

że umysł młodego człowieka daremnie starał się przyjść do
jakiej takiej
równowagi i zorientować się w nowym położeniu rzeczy.
Z krótkiej rozmowy między owemi podeszłymi damami a
panem Norbertem w teatrze
dowiedzieliśmy się już o kilku szczegółach jego losu. Los ten
zmienił się nagle,
cudownie prawie. Nieznajomy wyraził się trafnie, mówiąc, że
przynosi mu stracone
a niespodziewane jutro.
Przed chwilą bankrut w najfatalniejszym tego słowa
znaczeniu, rozbitek szalonego
życia, wyrzucony z pozycji, po za którą nie widział żadnego
ratunku, żadnych
warunków istnienia — uczuł nagle znowu ziemię pod swemi
stopami, widział się
ocalonym od tej stra-
szliwej mary, którą była dlań kwestja życia, kwestja bytu...
Ruina materjalna bowiem, której ofiarą padł Amadeusz, była
dla niego prawdziwą
kwestją życia... Amadeusz nie należał do ludzi, co umiejają
godzić się z losem i
śmiałem spojrzeniem rezygnacji zmierzyć się ze zmianą
stosunków, która wyrasta
nagle jakby z pod ziemi, i staje między szczęśliwą
przeszłością a zatrważającą
tajemnicą jutra upiorem walki niepewnej, trosk
nieskończonych, upokorzenia i
głodu może...
U ludzi, którym za jedyną dyrektywę życia służy fantazja,
których jedyną siłą
jest namiętność, męztwo takie w walce z losem jest
niepodobnem...

Tak się właśnie miało z Amadeuszem. Fantazja i namiętność składały się na jego charakter. To wystarcza na akt jeden zwycięzki, na tryumf jednej wygranej bitwy, ale codzienna powszednia walka z życiem, z troską, z czernią kłopotów, upokorzeń, niepowodzeń, nie rozstrzyga się jednym namiętym wysiłkiem, jednym odważnym hazardem. Walka to ustawiczna, drobna, nużąca. Heroizmem tu abnegacja, żołnierską cnotą cierpliwość, rękojmią zwycięztwa najczęściej — nic...

W walce takiej Amadeusz uważał się za stronę nieskończenie słabszą... Zresztą nie obliczał się on nawet z swemi siłami. Fantazja źle liczy — namiętność nie liczy wcale...

Ostatnie chwile w życiu Amadeusza przed owym poselstwem nieznanego wypełnione były całym szalem tej namiętności.

Koleje jego były pasmem gwałtownych wrażeń, jednym obłędem uniesień, jednym prawie snem gorączki.

Namiętność bardziej ślepa jest niż lekkomyślność; wzrok pierwszej sięga na przestrzeń króciutką tylko, druga nie widzi wcale... To też Amadeusz znalazł się nad przepaścią nagle, w szalonym pędzie stanął na krańcu, po za którym nie było już dlań ratunku...

Otchłani, nad którą zawisł, nie wskazywały mu ani rozwaga, ani instynkt

niebezpieczeństwa, ani nawet żaden przelotny, jaśniejszy moment opamiętania.

Mogła mu ją tuż u stopy szalonej oświecić nagle chyba błyskawica piorunu, którego światło byłoby ostrzegło, którego grom jednak byłby zabił zapaleńca..

Na taki grom zbierało się w dusznej, ciężkiej atmosferze, w której znalazł się

Amadeusz. W piersi jego namiętność wzbierała już burzą, a ostatnim burzy tej

piorunem mogła być tylko owa katastrofa, do której doprowadza namiętnych ludzi

natchnienie rozpaczy...

— Krzysztof wyręczył mnie... Ta salwa ostatnia mnie się należała!... — to były

pierwsze słowa, które Amadeusz szepnął sam do siebie idąc przez ulicę dalej w zamyśleniu.

I istotnie było to jedyne wyjście dla człowieka z naturą gwałtowną, dumną i do

szaleństwa namiętą.

Teraz dopiero począł sobie po trosze zdawać sprawę z położenia, w jakim się

znajdował. Gdy przelotnie objął wspomnieniem dzieje wczorajsze, gdy pomyślał o

tem jutrze, na które byłby nie czekał... dreszcz przeszedł go od stóp do

głowy...

Przetarł czoło, jak człowiek, który odgonić chce marę senną, i zaczerpnął pełną

piersią powietrze, krzepiące łagodnym chłodem wieczornym...

Ale chwilowe to

ukojenie, którego doznawał nie bez rozkoszy, ustąpiło wkrótce innemu uczuciu.

Było to uczucie przykre i upokarzające zarazem. Odezwało mu się ono wyrzutem, który mu rumieniec wyciskał na lica. Ten, który go uratował, nie żył już. Na spuściznie, która mu się tak niespodziewanie dostała, czerwieniła się jeszcze krew samobójcy, człowieka, którego może kochał, który jego może kochał. Mówimy "może", bo między Amadeuszem a jego stryjem nie zachodziły nigdy bliższe i stalsze stosunki. Widywali się rzadko bardzo, a wiązała ich nie tyle może miłość rodzinna, co sympatja dwóch charakterów o równych przymiotach. Ale ta sympatja sama wystarczała już zupełnie, aby wzbudzić w sercu Amadeusza szczerzy żal za stryjem. Przypominał sobie tę postać, przebiegał myślą te chwile, które z nim spędził razem — a reminiscencje te poczęły opromieniać mu osobę zmarłego i przepelniać pierś rozrzewnieniem. Nie mógł sobie przebaczyć, że choć na przelotną chwilkę mógł się oddać pewnemu ukontentowaniu z doznanego ratunku. Gorszył się i czuł się upokorzonym doświadczeniem, że egoistyczne uczucie potrafiło w nim wziąć górę. Wyrzucał sobie podłość prawie. — Zaprawdę! — rzekł sam do siebie w myśli — za te nikczemną słabość należałoby

siebie tak ukarać: Podrzeć wexle i — pójść przeprosić
Krzysztofa!
Czy szkoda byłoby pieniędzy? Czy szkoda byłoby życia?
Ale czyż znał Amadeusz ich wartość, czyż cenił kiedykolwiek
jedno lub drugie?...

Złoto to materiał na cacka dla kapryśnej fantazji, życie to
igraszka szau,
namiętności, hazardów....

A i biedny Krzysztof, ten najgłupszy rozumny człowiek, jak
go zagadkowy Roch
nazwał, nie miał o tem lepszych wyobrażeń... W liście swoim
wyraził się
przecież, że jedyną wolą jego ostatnią jest, aby mu Amadeusz
nie był wdzięcznym
za schedę i nie żałował jego śmierci. Przykro by mi było mieć
spadkobiercę
głupca, a głupiec ten, co ceni sobie życie i pieniądze... Za
pieniądze podziękuj
papie Blancowi lub Benazet, a na życie moje proszę nie
patrzeć z żadnego
sentymentalnego stanowiska, bo nie zastrzeżeniłem się z
pretensją do czułości,
ale ot tak... z kaprysu, dla przyjemności, dla zadrwienia z
fortuny, dla
radykałnego wyleczenia podagry... dla wszystkiego i
niczego... i nikomu nic do
tego, a tobie najmniej! Farewell!
Żyj wesoło i długo ou pends-toi, jak ci się podoba!
Swawolne słowa listu, tak pełne pustego humoru — nie
całkiem jednak wydały się
śmiesznymi Amadeuszowi. Ten śmiech z poza grobu miał w
sobie coś przenikającego

do głębi. Czy ten awanturnik Krzysztof persiflował siebie
tylko, czy to było
szyderstwem z losu i życia w Ogóle, czy może te słowa
parodystycznie miały
lekkomyślność jego charakteru, który tak był podobnym do
charakteru Amadeusza
?... Czy to farsa była czy satyra?
Bądź co bądź Amadeusz począł się zamyślać głębiej nad tym
szczególnym
testamentem — którego text pusty sprawiał na nim
poważniejsze wrażenie niż
najwymowniejszy, najsurowszy morał.
Stanąła mu przeszłość cała przed oczyma... Czy warto żyć tak
dalej? Czy warto
zmieniać życie?... Zdawał się obliczać szansę obustronne...
Niedawno, wczoraj,
przed godziną jeszcze, był nad samym krańcem przepaści, na
skrzydłach ślepego
przypadku przeleciał ją, hazard szczęścia przesadził go na
brzeg bezpieczny —
lecz w dalszej gonitwie szalonej nie otworzył się przed nim
przepaść druga,
trzecia?..
Może nawrócić? może spojrzeć w poważne oblicze nowego
życia, oblicze surowe i
spokojne, które nie drga wprawdzie nigdy namiętym szalem
uniesień, ale i nie
zmienia się nigdy w straszliwą maskę Meduzy!..
Takie i tym podobne myśli po raz pierwszy w życiu
przepełniały umysł Amadeusza.
Myśli te nastroiły go na chwilę tak poważnie, że nie poznawał
prawie sam

siebie... Zatrzymał się pod latarnią, w której właśnie co
zapłonął płomień
gazowy, i wydobywszy list Krzysztofa chciał go raz jeszcze
odczytać:

— Przykroby mi było mieć spadkobiercę głupca... — a
głupiec ten, co ceni sobie
życie i pieniądze...

Te słowa wpadły mu najpierw w oczy. Było to hasło, którego
dotąd trzymał się

Amadeusz, a przecież w jaskrawej tej formule odezwało się
ono teraz jakąś

niemiłą dysharmonją. Nie czytał dalej listu, lecz zmiąwszy go
schował do

kieszeni i szedł dalej.

Zaledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy go wstrzymała
gromadka ludzi, stojąca na

chodniku. Amadeusz zatrzymał się także machinalnie i
przyglądać się począł

obojętnie scenie, która się odgrywała. Po kamieniach chodnika
czołgał się na

klęczkach jakiś wyrobnik ubogi, a przekupka z pobliskiego
stragana przyświecała

mu latarką. Wyrobnik ten ubrany był w nędzna płótniankę,
przepasaną pękiem

powrozów do dźwigania ciężarów, a twarz jego, oświetlona
latarką przyświecającej

mu przekupki, przedstawiała widok poruszający. Błada była
od przestachu, z

czoła sączył się pot, a oczy wydzierając się na wierzch,
biegały po

kamieniach...

— Biedak... — mrużano sobie w gromadce ciekawych —
zgubił pieniądze...

Jedni patrzyli na szukającego z współczuciem, drudzy z obojętną, zimną ciekawością, byli nawet tacy, co popisywali się bezlitośnemi żartami. Amadeusza zajął widok nieszczęśliwego i przedarł się przez gromadkę bliżej. Nędzarcz szukał coraz niecierpliwiej, czołgał się w rozmaitych kierunkach, a na twarzy jego i w oczach coraz rozpaczliwszy przebijał się wyraz.

— Zgubiłeś co? — zapytał Amadeusz.

Robotnik spojrział tylko na pytającego okiem, które zda się nie szukało bo nie spodziewało się pomocy, i znowu zwrócił twarz ku ziemi.

— Ot nieszczęśliwy — odpowiedziała zaś przekupka — wziął zapłatę za cały tydzień z fabryki i zgubił... Przychodzi kupić u mnie chleba, a tu pieniędzy nie ma...

Bóg tam wie, gdzie mu wypadły... A tu i żona i dzieci w domu czekają głodne...

Gały tydzień pracował i lichy wzięło wszystko.

Tymczasem wyrobnik biedny stracił nadzieję odszukania swej zguby.. Podniósł się

z ziemi, obtarł dłonią czoło i westchnął ciężko. Westchnienie to wydobyło się

gdzieś z głębi piersi ściśniętej rozpaczliwą troską... i zdolne było wzruszyć

najobojętniejszego widza tej sceny... Westchnieniem tem zęgnął się ten nędzarcz z

owocem sześciu dni długich, ciężkich, pełnych krwawej pracy i znoju, z nadzieją

snu spokojnego i podzielenia się suchym kawałkiem chleba z rodziną, do której

powrócić miał teraz z prózną dłonią...

Raz jeszcze potoczył wzrokiem ponurym po ziemi i zwrócił się milcząc, aby pójść dalej.

— Czekał — zawołał Amadeusz — ile tam było?...

— Jeden papierek panie — odrzekł suchym głosem wyrobnik — reńskowy, panie

łaskawy... takem go schował dobrze i ot... przepadło...

Amadeusz sięgnął do kieszeni, wyciągnął banknot

dziesięcioreńskowy, cały ostatek

swjej gotówki, i podawszy go wyrobnikowi, pospieszył dalej, jakby chciał uciec

przed podziękowaniem uszczęśliwionego nędzarza...

Dopiero skręciwszy szybko na boczną ulicę powstrzymał się nieco w biegu.

— To ilustracja do słów Krzysztofa!! — zawołał do siebie pod wrażeniem tego zajścia.

Ileż takich ilustracji, ileż takich komentarzy do testamentu swego stryja

mógłby być znaleźć Amadeusz na przestrzeni jednej ulicy, pod gontami jednego

poddasza, w obrębie czterech nagich ścian jednej izdebki!

Tym razem wystarczył

mu jeden przykład, aby dać mu wątek do dalszych rozmyślań...

Szedł też dalej zwolna, pogrążony w zadumie o tak nowych dla niego tematach, gdy

nagle uczuł na ramieniu swoim dłoń czyjąś i usłyszał głos znajomy:

— Amadyś!... Dobry wieczór!

Witający był to mężczyzna młody, z miny i stroju

wyglądający na dandysa, z

twarzą bez wyrazu ale uśmiechniętą i zadowoloną.

Amadeusz spojrział nań tak, jakby go nie poznał. A przecie był to jeden z najbliższych jego znajomych i towarzyszy! Ale owa krótka chwila rozmyślenia, owa scena jedna z ubogim wyrobnikiem tak go była przeniosła w świat inny, że ta twarz wyjęta z wczorajszego życia, z towarzystwa, w którym przed chwilą jeszcze był jak u siebie, wydała mu się obcą prawie...

— Ri!... — zawołał po chwili dopiero — jak się masz Ri....

Młody człowiek nazywał się właściwie Henryk, ale cygańskie- imię jego było Ri, co miało być zapewne skróceniem francuzkiego Henri.

— Go tu robisz na tej ulicy?... Taki zamyślony, taki ponury?...

— Uczę się arytmetyki... — odparł z lekkim uśmiechem Amadeusz.

— To trochę za późno — odparł Ri — tylko się nie gniewaj, mnie ci to wolno powiedzieć, bo widzisz, ja... ja także... już!... I machnął znacząco dłonią.

— Wcale nie późno — odparł Amadeusz — nauczyłem się tego, o czym mi się dotąd nie śniło, a i tobie pewnie...

— Oho!... — mruknął Ri — dawaj tu!...

— Słuchaj Ri, ile lat żyjesz na świecie... Trzydzieści, nie prawdaż? Rachować cię uczono w szkole i próbowałeś przecie rachować czasami. Powiedz mi tedy ignorancie, ile wart reński?...

— Jak?... — zapytał zdziwiony Ri — ile wart reński?... Sto grajcarów... reński ma sto grajcarów.

— Nieprawda — rzekł Amadeusz — reński jeden ma sto godzin ciężkiej pracy i krwawego znoju, ma walor stu godzin głodu i nędzy, ma w sobie kilka żołądków próżnych, łaknących najniezbędniejszej strawy, a za azio służą mu łyzy i rozpacz...

— Brrr! — zawołał młody człowiek — Amadyś! Amadyś!
— Ja taki reński widziałem — mówił Amadeusz — tu przed chwilą na ulicy... Czy miałeś kiedy wyobrażenie o takim kursie?...

Henryk spojrział z najwyższym zdziwieniem na Amadeusza. Gdy ujrzał wyraz twarzy jego, który wcale nie był żartobliwym, zdziwienie to zmieniło się w obawę.

— Amadyś... opamiętaj się — rzekł tonem uroczystym — trzeba mieć rezygnację, słowo honoru! Z tym wyjątkiem, że mam bogatą a skąpą ciotunię, u której przy gospodarstwie pokutować będę — moje położenie, powiadam ci, zupełnie takie same, jak twoje, a przecież charakter mi został, tak charakter pełen rezygnacji... Il fant, mój przyjacielu, il faut...

— A wiesz ty, Ri — przerwał mu nagle i niechętnie Amadeusz — żeś ty głupszy jeszcze, niż o tem kiedykolwiek myślałem...

Biedny Ri osłupiał, a po chwili zawołał:

— Adieu! Amadyś ! — i skręciwszy się chciał pobiedz dalej.

— Ale poczekaj, poczekaj Ri! — zawołał Amadeusz — mam cię się zapytać o wiele rzeczy...

— Dobrze — odparł poczciwy Ri — ale powiedz, czemu ja mam być głupszym niż dawniej?...

Ri wyrzekł te słowa z takim naciskiem żalu i dobrodusznego wyrzutu, że Amadeusz niemógł się wstrzymać od uśmiechu.

— Dla tego, że mi dajesz nauki, których ja niepotrzebuję — odparł — bo myślisz, że desperuję za tem, co straciłem a ja tymczasem drwię z was i jutro pieniędzy ci pożyczę...

— Ty — y! — rzeki przeciągając zdziwiony Henryk.

— Ja — odparł sucho Amadeusz — Ale powiedz mi mój drogi, co tam o mnie mówią?...

Trzy dni nie byłem w naszym świecie i zdaje mi się, że to trzy wieki; może dla tego że nigdy doń powrócić się nie spodziewałem...

— Co mówią? — odpowiedział Ri — jedni cię żałują, drudzy się cieszą, a wszyscy zgadzają się na to, żeś warjat.. Uważają cię zresztą za człowieka

pogrzebionego... wypisano ci epitafium...

Umarłem i chodzę już po śmierci w plotkach tylko... — dodał Amadeusz.

Tak, tak, zupełnie umarłeś, wczoraj u Gwidonów śpiewano nad tobą, jak nad nieboszczykiem, chórem De profundis...

— A jak nieboszczyk zmartwychwstanie?... — odezwał się Amadeusz.

— Ale mów dalej Ri, mów wszystko... — nalegał po chwili.

— Nie chciałbym robić komerażów...

— Pani Sylwia, czy wie już także?...

— A!... pospieszył jej opowiedzieć wszystko księżu Neron, a jak się wyraziła

pani Eugenja, to pani Sylwia wysłuchawszy miała oczy tak pełne żalu, że porównać je było można do lamp żałobnych, zapalonych na grobie drogiego nieboszczyka...

— Żart niesmaczny... — rzekł Amadeusz, jakby go przykro bardzo dotknęły te słowa.

— Ale... ba! nie żarty... Pani Sylwia stanęła nawet w twojej obronie, słyszysz szczęśliwy śmiertelniku! — trzepał Henryk, który rozpaplał się na dobre — Wystaw sobie, Albin, ten Albin, gdy go zapytano, co się z tobą dzieje, powiedział, że kieszeń jego w żałobie jest po tobie...

— Co to miało znaczyć?

— Tak go też zapytano... W odpowiedź mówił, że niestety musiał kupić od ciebie rupiecie nazwane meblami, i całe urządzenie twego pomieszkania, za które musiał zapłacić trzy razy tyle, ile były warte, ale cóż miał robić, kiedyś potrzebował wsparcia.... Kiedy więc mówił, że kieszeń jego w żałobie, podsłuchano, jak pani Sylwia rzekła do swej sąsiadki: "Naturalnie, jak po swym dobroczyńcy..."

Amadeusz był oburzony. Henryk tymczasem, puściwszy raz wodze plotkarskiej żyłce, począł go obsypywać rozmaitemi wiadomością. Dobre oko, lepszy słuch, i jeszcze lepszy język, to były główne i jedyne zalety jego.

Sprawozdanie, które dał Amadeuszowi, mogło istotnie przejmywać gniewem i goryczą. Z sprawozdania tego dowiedział się Amadeusz o wszystkich potwarzach, żartach, złościwościach, któremi na koszt jego osoby się bawiono, o wszystkich zdradach przyjacielskich, o nikczemnościach i nikczemnostkach towarzyskich, których jako zrujnowany bankrut był ofiarą... Wszystko to, o czym się dowiedział, byłoby dla niego przed otrzymaniem niespodziewanej spuścizny po stryju prawdziwym lekarstwem, byłoby ulżyło mu w fatalnej sytuacji i przepoiło wstrętem do świata, w którym przebywał — teraz jednakowo, kiedy powrót do dawnych stosunków stał się dlań możliwym, plotki Henryka były prawdziwą trucizną. Amadeusz zapomniał o wszystkim, co przebył, z głowy wywietrzały mu w jednej chwili poważniejsze myśli — zawrzał gniewem i chęcią odwetu.

— Pięknie, bardzo pięknie! — odezwał się z pozornym spokojem — Jestem ci mocno obowiązany, Ri... Chodź do mnie....

— Dobrze, ale gdzie ty mieszkasz?

— Tam gdzie wpierwej.

— A Albin! Wszak Albin zajął twoje mieszkanie?

— Wyrzucę go — odparł krótko Amadeusz i biorąc towarzysza pod ramię, poprowadził go z sobą.

Wyprzedzimy na chwilę Amadeusza i jego towarzysza i udamy się wcześniej tam,

dokąd obaj zmierzali.

Na jednej z najgłówniejszych ulic stolicy, w domu okazałym, na pierwszym

piętrze, bawiło się gwarnie i hucznie grono przeważnie młodych ludzi. Pokój, w

którym zastajemy to wesołe towarzystwo, był to salonik kawalerski, urządony z

bogatym, wykwintnym smakiem. W całym urządzeniu tem łączyła się moda z

oryginalnością, elegancja z fantazją, przepych z gustem i swobodą...

Na szeszlągach, fotelach i sofach siedziało i leżało około dziesięciu osób. Na

jednym z stołów leżały zimne zastawy, przekąski i cukry, i buchały parą samowary

— obok w koszach w lód opatrzonych mroziły się butelki szampanu.

Zgromadzeni gwarzyli głośno i wesoło, wychylając podawane przez służbę kieliszki

lub paląc sigara. Na samym środku saloniku, rozparty wygodnie w fotelu głębokim,

siedział młody jeszcze człowiek, ale z twarzą wybladłą i zużytą, o rysach

regularnych i nie brzydkich, ale mimo to wcale nie sympatycznych, z oczyma

jasnymi, wypukłymi, tlejącymi przymglonym połyskiem.

Był to gospodarz domu, a goście nazywali go Albinem. Pan Albin wzburzył sobie

fryzurę, demaskując widoczną bardzo, a pełną

najpiękniejszych na- dzieję łysinę — oparł głowę o tylny poręcz fotelu i z włożonemi w kieszenie

rękami rozciągnął się w całej swej długości, patrząc się zadowolonym wzrokiem na

swych gości.

Zdawał się być wielce uradowanym z dobrego humoru towarzystwa i obejmował wszystkich życzliwym spojrzeniem i swobodnym uśmiechem, ale i w spojrzeniu tym i w uśmiechu uważniejszy spostrzegacz byłby dopatrywał się pewnej ironji i zdradliwego wyrazu obłudy..

— Zygmsiu — ozwał się Albin do młodziutkiego jeszcze chłopaka, który z trochę rozpaczliwą a mocno rozognioną twarzą siedział na sofie naprzeciw niego — kieliszek próżny a mina kwaśna...

Mówiąc to skinął na lokaja i w tej chwili zapieniło się szlachetnym perłowym szumem wino w kieliszku.

Młody chłopak porwał go i wychylając jednym haustem, zawołał:

— Niech cię djabli porwą Albinie! Jesteś dobry chłopiec i przyjemny gospodarz, choć przed chwilą zadałeś mi straszliwą klęskę na tem zielonem pobojuwisku!

Mówiąc to wskazał Zygmus oczyma na stół duży, stojący przy ścianie przeciwległej, na którym leżały jeszcze w nieładzie rzucone karty.

— To rzecz do odwetowania, choćby zaraz... — odparł Albin uśmiechając się dziwnie...

— Nie radzę zaraz — ozwał się głos trzeci. — Albin zmasakrował dziś wszystkich, szczęście z nim dzisiaj w aljansie upartym.

— Niech go diabli porwą — powtórzył niepewnym głosem
młodziutki Zygmunt — ale
kocham go.. Dał mi lekcję tęgą... ale co tam... panowie, niech
żyje Albin, niech
żyje gospodarz...

Ostatnie słowa wybełkotał już niezrozumiale. Ostatni kielich
wina dopełnił
widocznie miarki i Zygmunt padł bezwładnie na sofę.

— Biedny dzieciuch — szepnął jeden z młodzieży — co jutro
mama powie! Otóż mamy
już jednego trupa!

— A propos trupa, moi panowie — odezwał się jakiś nie
pierwszej już młodości ale
wyglądzony i wyświeżony mężczyzna — to powiem wam
otwarcie, moi panowie, że te
przenosiny Albina, ten cały wieczorek dzisiejszy, przypomina
mi stypę
pogrzebową...

— A gdzież nieboszczyk?... — zapytano.

— A Amadeusz? Zapomnieliście już o nim?

— Amadeusz! — powtórzyli chórem obecni — wszakże on w
tem samym pomieszkaniu
przed kilku dniami był gospodarzem!

— Kto tu mówi o Amadeuszu? — zapytał opasły jakiś
mężczyzna z rzadkimi
bakenbardami i maleńkimi zmrużonymi oczkami — kto tu
wspomniał to imię? Sic
transit gloria mundi — dodał z rozrzewnieniem komicznym
— nie ma tygodnia, jak
tu w tym samym
pokoju, owego wieczora, kiedy to wpadł w taką furję, nazwał
mnie pocziwym
bałwanem...

Opasły mężczyzna wyrzekł to tonem tak rzewnym, lirycznym, że zgromadzeni parsknęli śmiechem.

— Go za czułe wspomnienie! — zawołano.

— Ale to przecież był dobry chłopak!

— Wyborny, jedyny! Nie prawdaż Albinie?

— De mortuis nil nisi bene!

— Co to znaczy i po jakiemu to?

— Po łacinie, i znaczy, nie wywołuj wilka z lasu! — rzeki z uśmiechem jeden z

zgromadzonych, z chudą, długą twarzą, i z złośliwym uśmiechem spojrzał na

Albina.

— Choćbyś go wołał nie wyjdzie... Już po nim...

— Radykalnie?

— Z czubem!

— Czyż istotnie nic a nic mu nie pozostało?

— Owszem, pozostała mu piękna alternatywa...

— Piękna Alternatywa... co to za jedna? — zapytał naiwnie opasły młodzieniec.

Zgromadzeni wybuchnęli śmiechem.

— Jest to sobie istota, która trzyma w jednej ręce pistolet nabity, a w drugiej

— przymus do pracy...

— Brrr!

— Co Amadeuszek wybierze?

— Okropna baba!... ta alternatywa! — mruknął opasły młodzieniec.

— Oho! — zawoła! nagle jeden z gości, młody oficer — który przyglądał się

figurkom ustawionym na pięknie rzeźbionym kominie —

Oho! czy i to należy do

urządzenia, które nabyłeś od Albina?

Wszyscy spojrzeli w stronę mówiącego. Oficer trzymał w podniesionej dłoni list jakiś.

— List do kogo? od kogo? — zawołano zewsząd.

— Adres opiewa: Monsieur Amadée Ordawski. Od kogo nie wiem... Ale z pewnością to pismo kobiece!

— Zkąd się wziął ten list? — zapytał Albin jednego z lokajów.

— Przyniesiono go przed kilku godzinami. Odebrałem go, myśląc że to do pana....

— Daj go tu — rzekł Albin do oficera.

— Nie dam.. to moja zdobycz!

— Ależ to moja własność...

— Jakim tytułem?... Nie kupiłeś go przecież razem z meblami!... Bilet dostał się tu, jak ten gap powiedział, przed kilku godzinami przez pomyłkę, i nie należał do inwentarza objętego ugodą...

— Oddam go Amadeuszowi! — certował się Albin.

— I ja to potrafię, jeżeli go spotkam... ale toż sam mówiłeś, że pożegnałeś się z Amadysiem do wiecznego niewidzenia....

Albin począł się naprawdę spierać z swym gościem.

— Stójcie! — zawołał nagle jeden z młodych ludzi — mam pomysł monumentalny,

gigantyczny, pirami-

dalny! Słuchajcie! Amadeusz umarł, jak powiadacie. Ten list, który moje zawiera

słodką tajemnicę, który pochodzi może z rączek cudownych, który może kluczem być

do romantycznej intrygi!... ten list... o panowie! jest nie objętą żadnym

testamentem schedą... Amadeusz nie miał krewnych,
spuścizna ta do nas należy!

— Więc otworzyć go i odczytać!

— Nie, tak się stać niemoże... Zostawmy mu urok tajemnicy.

Nie profanujemy

drogiej tej resztki. Rzućmy go do puli i pociągnijmy karty, tak
aby nienaruszony

dostał się do rąk szczęśliwca, który go wygra!

— Brawo! Bravissimo!! — zawołano przerażającym chórem

— twój pomysł wzniosły jak

obelisk, szczytny, jak Himalaja!

— Wiwat Himalaja! Wiwat Alternatywa! — wołał opasły

młodzieniec, który podczas

tego wychylił całą butelkę wina i stracił do reszty

przytomność — Przedstawcie

mię tym paniom, nie znam ich jeszcze!...

Tym razem nie zważano już na ten wykrzyknik — bo wszyscy
zajęci pomysłem

oryginalnym rzucili się do zielonego stolika. Albin oponował
jeszcze, ale opór

był bezskutecznym...

Rzucono karty i odkryto. Albin i młody oficer najlepszą ale
równą mieli kartę.

Przy rozgrywaniu się Albin pociągnął wyżej.

List dostał się mu jako wygrana.

— Co za bezczelne szczęście! — zawołano.

Albin schował list do portfela i skinął na służbę, która
pospieszyła z pełnymi
kieliszkami.

— Panowie ! Zdrowie korespondentki!

— Ja wnoszę zdrowie adresanta! Wychyłam ostatni toast w
pamięć nieboszczyka

Amadeusza!

Wszyscy podnieśli do ust kieliszki, kiedy nagle w tej samej chwili ozwał się od drzwi głos donośny:

— Dziękuję!

Wszyscy spojrzeli ku drzwiom. Stał tam Amadeusz z twarzą uśmiechniętą szyderczo.

— Amadyś! Naprawdę Amadyś! — zawołało kilka głosów — Amadyś redivivus! Witaj nam! Wiwat Amadyś!

Amadeusz odpowiedział na to huczne powitanie lekkim skinieniem głowy i patrzeć się zdawał z zadowoleniem na zdziwienie całego grona.

Goście poczęli się cisnąć do niego, obsypując go wybuchami swej pijanej fantazji, całując go, szarpiąc na wszystkie strony i ściskając.

Jeden tylko gospodarz, pan Albin, pozostał na dawnym swem miejscu a nawet zamiast podać dłoń Amadeuszowi, sięgnął nią niejako instynktownie do piersiowej kieszeni, w której ukrył był przed chwilą bilecik wygrany. Na twarzy Albina znać było zdziwienie i zakłopotanie.

Amadeusz opędział się jak mógł podochoconym gościom i zwrócił wzrok swój na

Albina. Spojrzenie to zmieszało jeszcze bardziej Albina. Spuścił na chwilę oczy a potem postąpił bliżej ku Amadeuszowi.

Tymczasem towarzystwo całe otoczyło do koła niespodziewanego gościa, nie dając mu prawie ruszyć się miejsca.

— Amadyś! zuch Amadyś! wypływa! — wołał jeden.

— Witajże Piotrowinie salonowy! — wołał drugi. —
Zdejmujcie żałobę z zielonych
stolików! Wiwat Amadyś!
— Mówiono o tobie straszne rzeczy — krzyczał trzeci,
usiłując przygłuszyć
resztę. — Zapewniano nas, żeś stracony dla świata, że
uciekasz z stolicy, że
odpływasz do Ameryki, że w łeb sobie palnąłeś!...
— Et caetera, et caetera... — odpowiedział Amadeusz,
usiłując się wyrwać z tego
żywego koła, którem go opasano — wiem... wiem wszystko,
co o mnie mówiono...
Pocziwi jesteście chłopcy, ale raczcie mnie puścić
nareszcie...
— A przynajmniej puście mnie do gościa, jako gospodarza
— ozwał się Albin. —
Jak się masz Amadeuszu? Nie spodziewałem się widzieć cię
jeszcze, czy
zapomniałeś czego, czy masz mi dać jeszcze jakie polecenie!
— Czy przychodzisz z kodycylem do swego testamentu?...
My tu właśnie
rozgrywaliśmy się o twoje resztki! — zawołano.
— Na miłość Boga, uciszcież się przecie! — zawołał Albin,
któremu znać nie miłą
była aluzya do gry o list znaleziony. — Na bok moi panowie,
przyjaźń
się już wygadała, a teraz przemawia wino! Dajcież nam
pomówić z sobą!
— Wasz Amfitryon ma rację — odezwał się Amadeusz,
spoglądając pogardliwie na
Albina — jesteście wszyscy pijani moi chłopcy, wszyscy z
wyjątkiem jednego...
— Oho! któż to!! — zawołało odrazu kilka głosów.

— Albin — odpowiedział z naciskiem Amadeusz. — On jeden trzeźwy, on... To wzór trzeźwego człowieka, on się nigdy nie upija, nigdy i niczem! I mądrze robi, bardzo mądrze, on wie jak to dobrze być trzeźwym z pijanymi!

Albin skrzywił twarz do uśmiechu, spojrzął przelotnie na Amadeusza i odpowiedział:

— Mówisz zagadkowo, a byłoby to zanadto dla mnie silić się na rozwiązanie dwóch zagadek od razu...

— Więc słowa moje to już druga zagadka? — rzekł z lekkim szyderstwem Amadeusz — a cóż jest pierwszą?

— Twoje zjawienie się, a właściwie cel jego...

— Nie będę cię narażał na trudy — odparł Amadeusz — rozwiążę ci obie...

— Więc służę ci — rzekł Albin — przejdźmy do drugiego pokoju, zostawmy ich tu, wszakże nie potrzeba nam świadków.

— Ale tem mniej tajemnicy... — odparł Amadeusz — zostaniemy tutaj.

Rzekłszy to Amadeusz usiadł sobie na krześle, rzucił kapelusz i zawołał na jednego z lokajów:

— Tomasz, wina!

Lokaj pospieszył z wypełnieniem rozkazu. Amadeusz skosztował i skrzywił się.

— Ośle ty stary! — zawołał — zkad brałeś ten szampan niegodziwy! Czy nie wiesz, gdzie i jaki zawsze kupuję?

Fagas spojrział zdziwiony na Amadeusza i wybąknął:

— Jaśnie pan... ka... kazał...

— Kto, ja?

— Nie... jaśnie pan — jąkał się Tomasz wskazując okiem na Albina.

— Jak to źle, kiedy gospodarza niema w domu — rzekł Amadeusz — źle mnie

zastąpiłeś Albinie, skompromitowałeś moje wieczorki...

Traktujesz gości, jak u

siebie! Przepraszam was panowie!

Albin z zdziwieniem i niepokojem spojrział na Amadeusza.

Trzeźwiejsi gości

patrzyli zdumieni na Albina i Amadeusza, nie pojmując co

znaczyć ma cała ta

scena.

— Jaka on ma dobrą pamięć! — rzekł Albin rozjątrzonym głosem — Jak wybornie

przypomina sobie swą rolę... wczorajszą...

I dzisiaj potrafię odegrać doskonale! — odparł z naciskiem silnym Amadeusz —

Ale wracam do zagadki, którą ci rozwiązać przyrzekłem.

Ciekaw jesteś co tu

robię? nieprawdaż...

— Zdawałoby się, że ciekawość to do wytłumaczenia.

— Najzupełniej. Ot widzisz, przypomniałem sobie, że dziś wieczorek u mnie, że

będzie gierka i wesołe towarzystwo. Natura ciągnie wilka do lasu! Przyszedłem

zrobić partyjkę z tobą...

Albin wzruszył ramionami i niecierpliwie spojrział na Amadeusza.

Amadeusz przysunął się z fotelem do stołu, na którym leżały karty, i wzięwszy je

mięszął niedbale, spoglądając na Albina. Albin machinalnie zbliżył się do stołu.

— Go to znaczy Amadeuszu? — szepnął po cicho — nie rozumię cię... Mów czego żądasz właściwie?...

Tymczasem wszyscy ci goście, którzy jeszcze nie spoczęli snem błogim po libacjach, otoczyli stół dokoła.

— Mów głośno — rzekł spokojnie Amadeusz — To nieprzyzwoicie szeptać przy gościach... Zaczynajmy!

— Niecierpliwisz mnie — odezwał się Albin, nie mogąc stłumić już gniewu — Dość tego żartu! Nie gram.

— Czy dla tego grać nie chcesz może, żem trzeźwy?...

— Czy dla tego grać chcesz, aby spróbować, czy się nie uda szczęśliwym hazardem na mój koszt się podreparować? To trudno mój drogi!

— Tyś to umiał przecie

— Nie równa broń! Go ty przegrać możesz!... Graj na małą loterię, Amadeuszu, może ci się uda ambo!

Amadeusza twarz zapłonęła rumieńcem gniewu. Rzucił na Albina spojrzenie groźne i porwał się z fotelu. W tej samej chwili jednak pokonał swe wzburzenie. Usiadł z pozornym spokojem napowrót, uśmiechnął się i sięgnął do portfela, z którego wyciągnął kilka błękitnych świstków.

— A! pojmuje... Masz rację - rzekł z szyderczym naciskiem. Ty znasz się na wekslach, nieprawdaż... Patrz, tu masz do wyboru. Oto Rotszyld, tu Marquardt, tu

Sina, tu dwie firmy berlińskie... a tu jeden malutki, na tutejszego bankiera, głupich kilkanaście tysięcy franków, akuratnie tyle, ile obowiązałaś się zapłacić za mnie, biorąc w zamian wszystko, co mi pozostało! Albin z najwyższym zdumieniem spojrzął na Amadeusza. Na twarzy jego odbijał się przestraszony formalny!

Amadeusz zdawał się rozkoszować wrażeniem, które sprawił na biednym Albinie.

— Brawo! brawo! — krzyknęli z całego gardła i chórem obecni — Amadyś nie upiór, przedkłada wymowne dowody życia!

— Rzucaj karty! — rzekł Amadeusz nie zważając na hałas. Albin się zawahał.

— Prędeż... — powtórzył Amadeusz. Albin nie miał odwagi opierać się. Karty padły.

— Moja — rzeki z najspokojniejszą miną Amadeusz. Albin zbladł i zmieszał się ogromnie.

— Qnitte ou double! — rzekł dalej Amadeusz — Trzymam Karty!

W pokoju zaległa cisza. Albin drżąją ręką rzucił znowu karty. Amadeusz wygrał znowu..

Twarz Albina przybrała kolor kredy.. Na czoło wystąpiły mu rzęsiste kropli potu.

— Daję rewanż. Gramy dalej?

Albin przetarł czoło i nagłym ruchem odsunął się wraz z fotelem od stołu.

Amadeusz patrzył nań z nielitościwym uśmiechem.

— Uspokój się — zawołał po chwili — to żart był, panie Albinie! Nie chcę go posuwać dalej, bo zachorujesz z przestachu! Albin usiłował coś odpowiedzieć, ale słów jego zrozumieć nie było można.

— Tak, to żart był tylko, biedny panie Albinie — powtórzył z wyrazem politowania

Amadeusz — Uważaj to wszystko za nie byłe. Powiem ci tylko, ie kwituję cię z zobowiązań, które na siebie przyjąłeś. Obejmując resztki po mnie miałeś

natomiast spłacić niektórych wierzycieli moich... Nie potrzebujesz ich spłacać, ja to sam teraz zrobię... Wszakże jeszcze tego nie załatwiłeś?

— Nie... — szepnął Albin.

— Otóż widzisz, jak to dobrze, że tak mam dobrą pamięć i że nie zapomniałem

mojej roli wczorajszej! Jestem więc znowu gospodarzem u siebie, nie prawdaż?

Albin milczał w swem pomieszczeniu.

— Tomasz! — zawołał Amadeusz. Lokaj zawołany stawiał się w tej chwili.

— Podaj łaskę i kapelusz temu panu!

I kłaniając się z szyderyczym uśmiechem Albinowi dodał:

— Dobranoc!

— Ale poczekaj no jeszcze! — dodał po chwili tym samym tonem - gdybyś mi za to

"Dobra noc" chciał jutro powiedzieć "Dzień dobry" —

rozumiesz: — gdybyś mi chciał

jutro powiedzieć: "Dzień dobry!" to udaj się do Henryka...

— Ri!... — rzekł zwracając się do Henryka, którego znają już nasi czytelnicy —

ty mi zrobisz tę przyjacielską usługę?

Ri oświadczył gotowość swoją uściśnięciem podanej sobie dłoni.

Odprowadzony do drzwi spojrzaniem gości, którzy osłupieli pod wrażeniem całej

tej sceny, Albin znikł z pokoju.

— A teraz moi panowie — zawołał Amadeusz wesoło — witajcie mi! Wchodzę napowrót

w prawo gospodarza! Wina!

— Wiwat Amadyś! — zawołało całe grono.

— Dziękuję moi poczciwi chłopcy — odpowiedział Amadeusz, kiedy spełniono już

toast. — Nazwaliście mnie przed chwilą jeszcze nieboszczykiem, i byłem nim

istotnie dla was, dla świata, w którym dotąd żyłem, dla siebie nawet!

— Ale zmartwychwstałeś szczęśliwie!

— Tak jest. zmartwychwstałem i staję znowu w szeregi gwardji! Ale przyniosłem z

sobą trochę doświadczenia; dwa dni wystarczyło, aby się przekonać, ile

nikczemnych było między tymi, co mnie otaczali! Nie będę korzystał z

doświadczenia; jednego winowajcę ukarałem, reszcie ogłaszam amnestję!

— Jakże tam wygląda na tamtym świecie, opowiedz co tam widziałeś? — zapytał

jeden z gości żartobliwie.

— Wystawcie sobie, uczył się tam arytmetyki! — zawołał śmiejąc się Henryk. —

Osobliwie ciekawy odkrył kurs pieniędzy i mówi, że jeden gulden ma w sobie...

— Dziesięć stawek na małą loterję — dla biedaka! Nie, nie nauczyłem się

rachować... Sztuka ta nie wynaleziona dla mnie, moi panowie.
Widzicie przed sobą
spadkobiercę hazardu! Nie sprzeniewierzę się intencjom mego
legatarjusza!

— Tak, moi panowie! — wołał w dziwnem uniesieniu
Amadeusz, wznosząc do góry
kielich wina. — Przed chwilą rzucony byłem na bruk,
powszednia troska wyciągnęła
już była ku mnie swe kościste, wychudłe ramiona! Kto mnie z
nich wydarł? los i
ślepy sługa
wyroków jego, traf! Towarzysze, los pasował mnie na rycerza
hazardu! Szczęście
to szaf, szaf to życie, życie to hazard! Nad światem całym, nad
snami serca, nad
pragnieniami i nadziejami panuje On, los tajemniczy, On, pan
marzeń, On wielki
mistrz igrzysk ludzkich, On, który dzierży klucz złoty do
zagadki szczęścia. On
brzydzi się cyfrą, pogardza rachubą, szydzi z rozsądku, — a
między nim a
światem, latają dwaj gońce: traf i hazard! Niech żyją!

III.

HRABIA AHASWER.

Jeżeli poprzedniemu rozdziałowi uszedł nadpis Redivivus! —
to nic nie byłoby
stosowniejszego, jak poniższy opatrzyć dewizą Moriturus!
Człowiek bowiem,
którego przedstawić mamy zamiar w tym rozdziale naszym
czytelnikom, odznaczał
się przedewszystkiem tą właściwością, że od lat dwudziestu
blisko — umierał...

Widzimy już z góry, jak czytelnik ramionami wzrusza a
krytyk brwi marszczy
groźnie na samą zapowiedź tak szczególnego rodzaju figury...
Człowiek, który od
lat dwudziestu — umierał!... Co za dziwaczna anomalja, co za
jaskrawe
nieprawdopodobieństwo!...
A przecież mimo to nie odstępujemy od naszego zamiaru.
Światek ów osobny, który
wyroił sobie powie-
ściopisarz w swej imaginacji, ma dlań tyle autentyczności, że
gotów zakląć się
na prawdziwość każdej jego figury... Owóż i my zaręczamy
czytelnikom łaskawym,
że tak było w istocie...
Mniej więcej każdy człowiek ma swoją specjalność, swój
wyłączny rys
charakterystyczny. Często o specjalności tej on sam tylko wie
a nie spostrzegają
jej ludzie znajomi, częściej nie przeczuwa jej sam, a dobrze
wiedzą o niej
wizjowie, a kto wie, czy najczęściej nic wie o niej ani on ani
jego choćby
najbliższe otoczenie...
Wszystkie te trzy przypadki nie zmieniają reguły —
specjalność istnieje.
Taką specjalność miał także p. hrabia Daniel Zmierski — a
specjalność ta
polegała na tem, że, jak to już po raz trzeci powtarzamy, od lat
dwudziestu
prawie — umierał, i to ciągle umierał.. Był to po prostu fach
jego, w którym

doprowadził do prawdziwej sztuki, do nieprześcignionej doskonałości.
O tej specjalności swojej wiedział dobrze sam hr. Daniel, wiedzieli o niej wszyscy bliżsi i dalsi znajomi. Od lat dwudziestu on sam o sobie a inni o nim wyrażali się zwykłym frazesem: że "nie pociągnie długo... " Tymczasem hr. Daniel "ciągnął" i "ciągnął" — "ciągnął" przez lat dwadzieścia, "przeciągnął" wielu z swych rówieśników, a ustawicznie dzielił przekonanie krewnych, przyjaciół, znajomych i lekarzy, że "długo nie pociągnie." Reputacji tej odpowiadała w zupełności postać biednego hrabiego. Miał lat zaledwie czterdzieści, ale znad było po nim doskonale, że to delinkwent nieszczęśliwy, który skazany bez apellacji na śmierć, dwadzieścia lat czeka na wykonanie nieodwołalnego wyroku. Był to niski, niezmiernie wątłej budowy człowieczek, wiecznie otulony w szale i futra, wiecznie cierpiący, wiecznie zawieszony w oczekiwaniu, czy go lada wietrzyk, przedzierający się przez źle zamknięte okno, nie zwionie z spisu żyjących!... Kiedy tak z otulonemi w futro nogami, tonąc małym swym korpusikiem w olbrzymim poduszkowym fotelu, z wychudłemi dłońmi, złożonemi na kolanach, siedział przy ogniu palącym się na kominie — cóż to za postać była mizerna !...

Twarz jego, bardzo regularna i w niepospolity sposób zarysowana, była płowoblada, i uderzała w zasmucający sposób wyrazem ogromnego znużenia i śladem cierpień — oczy pokryte zawsze do połowy powiekami, które zda się utraciły wszelką sprężystość, migotały zaledwie słabem, dogorywającym światłem, usta pobladłe, zaciśnięte bywały zazwyczaj hippokratycznie... Już tedy sam widok wystarczał, aby orzec, że ten chory człowiek znajduje się in articulo mortis. Cóż dopiero, kiedy sam opisywać począł stan swój opłakany, kiedy jednym tchem wyliczał tuzinami całymi najrozmaitsze choroby, z których każda z osobna wystarczała na zabicie dziesięciu takich biedaków, a które przecież sprzymierzone razem, nie mogły odnieść tryumfu nad jednym! Zazwyczaj bywało, że kiedy kto w towarzystwie zaczął mówić od słów: — Hrabia Daniel.. — to natychmiast przerywano mu pytaniem: — Umarł już?... — Dotąd nie... — odpowiadał zapytany — ale dogorywa... Najdalej w marcu... — Biedny! Tak piękny ma majątek! — kończyły czułe dusze z westchnieniem. — W marcu!... — dodawano — no proszę, i tyleby mu obiecywać nie można... I tak czekano na śmierć p. Daniela od marca do marca — a marców takich nazywało się kilkadziesiąt.

Pan Daniel jak żył, tak żył, czyli raczej jak umierał, tyk umierał — co podobno wychodzić ma na jedno. Człowiek ten był narzędziem torturowem dla swych krewnych — a do prawdziwej desperacji doprowadzał fakultet medyczny.

Nie mówiąc już o krewnych, których spory szereg zęb śmierci przerzedził ogromnie, a z których najśłabszy kwalifikował się na przeżycie kilku takich dogorywających biedaków, jak hr. Daniel — nie mówiąc już o tych biednych, biednych krewnych, obliczono, że większa połowa tych lekarzy, którzy skazali otwarcie na śmierć pacyenta, zeszła już dawno do grobu. Kiedy hr. Daniel był dzieckiem, ubolewano, że przyszedł na świat, na którym chwilkę moie tylko zabawić, kiedy wyrósł w chłopaka, żałowano, że nieumarł niemowlęciem, kiedy zaś na przekór wróżbom i ubolewaniom doszedł lat młodzieńczych, rozpływano się już z góry w elegjach pośmiertnych nad jego jasnowłosą główką, która lada dzień ma paść pod kosą śmierci....

Nawet rodzice przygotowali się na cios, który ich niechybnie miał spotkać.

Rodzice Zmierskiego posiadali znaczny bardzo majątek, ale oprócz Daniela mieli trzech młodszych synów, zdrowych i silnych. Przy kombinacjach majątkowych, przy rozliczaniu schedy na głowy, nie wchodził nigdy w rachubę Daniel. Tymczasem

zmarli rodzice, zmarli trzej bracia, a Daniel został sam, i on,
wydziedziczony,
na śmierć skazany, został panem całej fortuny !
Tak minęło lat kilkanaście — i hr. Daniel doczekał się
trzydziestego roku.
Krewni, którzy liczyli na majątek jego, jak na swój własny,
tracili cierpliwość
— lekarze tracili głowę. Dodać bowiem trzeba do tego, że
Dan iei sam
najrozpaczliwiej przedstawiał stan swojego zdrowia, i
najbardziej zatrważające
dyktował lekarzom symptomata swej choroby.
Krewni, przed którymi osobliwie lubił żalić się na smutne swe
przeznaczenie,
słuchali go z bolesnym udziałem, lekarze, których zawsze
mnóstwem pytań
obsypywał, kiwali złowrogo mądrymi głowami — ale
ani z pierwszych ani z drugich nikt nie dostrzegł, ie z pod
obwisłych, prawie
martwych powiek oczy Daniela błysnęły nieraz przy takiej
sposobności promieniem
jakiegoś złośliwego ukontentowania, że blade jego usta
krzywiły się nieznacznie
uśmiechem, w którym wyczytać można było ironię i
szyderstwo...
Szyderstwo to przebijało się najwyraźniej wtedy, gdy hr.
Daniel przywołał
lekarza takiego, który otwarcie jemu samemu, albo jego
krewnym i przyjaciołom
zapowiedział był blizki a nieochybny koniec. Regularnie po
kilku latach
przywoływał takiego Eskulapa i witając go osłabionym
głosem, mówił:

— Miałeś rację konsyliarzu kochany, miałeś rację, kiedyś mi przed trzema laty przepowiedział, że za dziesięć dni najdalej umrę! I usta chorego drgały przy tych słowach zazwyczaj uśmiechem słabym, ledwie widzialnym, ale tak subtelnie szyderczym, że biedny lekarz radby się był schować pod ziemię.

— Moi drodzy! — mawiał do krewnych, ile razy którego z nich ujrzał u siebie — moi drodzy! Żał mi formalnie, że znowu muszę tego roku pojechać do kąpiel, że w ogóle tyle pieniędzy wyrzucam na leki i lekarzy, którzy nic mi pomódz nie mogą.

Wy, których Bóg zdrowiem obdarzył, użylibyście lepiej mego majątku a ja go uszczuplam niepotrzebnie... Ale on wasz będzie jutro, po jutrze najdalej...

— Wszakże wiecie — ciągnął dalej rzucając złośliwe spojrzenia z pod na pół przymkniętych powiek — doktor Rabę to sławny był lekarz, a on przecież obliczył z matematyczną dokładnością, że najdłużej rok mego mizernego istnienia na świecie... Wszakże pamiętacie doktora Rabo... to ten sam, co umarł przed sześciu laty...

Szczególna miał hr. Daniel passję: nie opuścić pogrzebu żadnego z tych lekarzy, którzy go kiedykolwiek leczyli.

Wtedy nabywał w jakiś niewytłumaczony, cudowny sposób sił — i choćby to było

zimą lub o jesiennej, przykrej porze, opuszczał swój fotel,
ubierał się i każąc
się wieźć do pomieszkania zmarłego, wysiadał z karety i z
miną zasmuconą,
żałobną szedł spory kawał pieszo za trumną...
W tej ustawicznej chorobie swojej, która nie dała się nigdy
zdefiniować, a na
którą składały się najrozmaitsze cierpienia, a głównie brak sił
żywotnych —
miewał hr. Daniel chwile takiego pogorszenia, że zdawał się
być całkiem
sparaliżowanym, i że każde prawie tchnienie jego było
policzone.
Ale właśnie po takich przesileniach następował zwrot dziwny
i niespodziewany,
chory nagle wstawał z łóżka, ubierał się, chodził i z
uśmiechem ironicznym na
ustach, patrzył na zdumione miny lekarzy, służby i kochanych
krewnych, dla
których to ostatnich był zawsze Nielitościwie słodkim i
czułym...
Mimo tak opłakanego stanu zdrowia hr. Daniel był wzorem
dobrego gospodarza. Jak
już wiemy, posiadał znaczny majątek, który rozsądna
administracją o wiele
powiększył. Nie można go było jednak żadną miarą pomawiać
o skąpstwo; przeciwnie
lubił żyć ÓW wystawnie, wydawał bardzo wiele na
utrzymanie arystokratycznego
splendoru i miewał nawet różnemi czasami różne szlachetne
passje, które go
bardzo dużo kosztowały — ale że budżet swój umiał
regulować zawsze miarą

rozsądną, więc nie spożywał nigdy więcej, niżli wynosiły jego czyste dochody.

W prawdziwe zdumienie wprawiał hr. Daniel wszystkich swoich znajomych tem, że administracji majątku swego doglądał sam osobiście, że nigdy nie wyręczał się w ważniejszych sprawach zastępcami. Nikt pojąć nie mógł, z ką w człowieku, którego życie uważano za ustawiczne dogorywanie tylko, brały się siły do pracy, do wytrwałości żelaznej, z ką czerpał tę bystrość myśli, którą umiał wszystko ogarnąć, wszystko przeniknąć! Bystrością tą swoją wprawiał nieraz w paniczny przestach officjalistów, z których niejeden licząc na jego medołęztwo fizyczne, na znękanie ogromne, usiłował z początku bogacić się nierzetelnym zyskiem i zrywkami. Mimo że trzymał sekretarza i lektora, zawsze sam kontrolował wszelkie rachunki i raporta, a wtedy najmniejsza nawet niedokładność nie uszła jego uwadze. Gdy przyjechał doń kiedy officjalista z rachunkami, witał go zawsze skargą na swój stan smutny, i mawiał:
— Rachunki, raporta! Na co mi się to zdało, kochanie! Jestem chory, bezwładny, gdzież ja wasze rachunki skontrolować jestem w stanie? Spuszczam się na waszą uczciwość, kochanku, i spodziewam się że macie wzgląd na swego pana. Jak mnie poderw.

pan, będziesz miał grzech podwójny na sumieniu, a
najmniejszej, uważasz,
najmniejszej zasługi sprytu!
Słowa te mówił tonem biednej, bezsilnej ofiary, która zdaje się
na łaskę lub
niełaskę i do miłosierdzia tylko chrześcijańskiego apeluje.
Oficjalista uderzał się też w piersi, z namaszczeniem prawił o
swej
sumienności, o szczęściu, jaku m go przejmuje zaufanie p.
hrabiego, i uważał już
sprawę za załatwioną.
— No, jak powiadani — mawiał wtedy hr. Daniel — na nic
się nie zda moja
kontrola, ale kiedyś już przyjechał, nie chcę, aby fatyga twoja
była daremną.
Siadaj proszę i czytaj.
Oficjalista siadał i począł odczytywać specyfikację dochodów
i wydatków,
spiesząc się i rzucając powodzią cyfr.
— Proszę cię łaskawco — odzywał się hr. Daniel — czytaj
powoli, nie dla tego aby
to coś pomogło mi do objęcia raportu, ale widzisz, może
zasnę, bo takie powolne
czytanie usypia mnie, a sen dla mnie, to dobrodziejstwo i
jedyna ulga....
Mówiąc to, kazał poprawić sobie poduszkę, wyciągał się
wygodnie w fotelu i głowę
pochylał bezwładnie na piersi. Tak leżał z twarzą obojętną, z
oczyma zmrużonemi,
od czasu tylko do czasu wydając bolesne, westchnienia —
niezdolny, zda się,
pochwycić choćby treści czytanej rzeczy.

Gdy oficjalista skończył czytać, hr. Daniel otwierał trochę powieki, rzucał na biedaka swe zwykle złośliwe spojrzenie, uśmiechał się z ironją i mówił:

— Pomyliłeś się w rachunkach. Skutek to zapewne nieuwagi. Widzisz, mój kochanku, dochód z młynów wynosi o dwieście reńskich więcej. Sągów sprzedanych niebyło sto trzydzieści pięć, ale sto pięćdziesiąt trzy. To mała pomyłka, zamiast piątka po trójce ma być trójka po piątce. W rubryce dochodów opuszczono podobno ostatnią odstawkę okowity. W multiplikacji. nie jesteś mocny, a substrakcja także się nie udała, od , to nie , braknie jeszcze !

I kiedy zdumiony do najwyższego stopnia ekonom lub rachmistrz nie mógł słowa przemówić, poczynął dopiero hr. Daniel wytykać wszystkie mimowolne: łumyślne pomyłki i omissje, i pokazywało się, że- nie Iruszła mu najdrobniejsza cyfra, że przerachował w myśli za czytającym wszystkie pozycje, że skontrolował rachunek z najściślejszą dokładnością.

— Idź, moje serce — kończył hr. Daniel — idź i raz jeszcze uzupełnij raport i przelicz dobrze, aby nie było bałamuctwa, bo jak ty, zdrów i swobodnej myśli człowiek, będziesz się mylił, to jakie ja chory i znękany potrafię zrektyfikować ? Musiałbym przyjąć kogoś, co lepiej umie liczyć. Idź serce i przerachuj, jutro cię czekam znowu.

Słowa te mówił tonem grzecznym, słodziutkim, ale tchnęło z nich takie szyderstwo
piekące, że nieszczęśliwy oficjalista nie mógł wybąknąć i
słowa, i w konfuzji
swej macał za klamką, choć jasny dzień nie poskąpił światła.
Ale najdowcipniejszą sztuczką spletał hr. Daniel, dobiegając
czterdziestki.
Skazany z góry na śmierć przedwczesną, wiecznie chory i
wiecznie opuszczany
przez lekarzy, hr. Daniel zapewne nigdy nie marzył o miłości,
nigdy nie oglądał
się za towarzyszką życia.
Mimo słabowitości swej a właśnie może dla niej łatwo by się
był mógł ożenić.
Podsuwano mu nawet partje, swatano go nieraz, spekulowano
na rękę bogatego,
umierającego człowieka, który miał czem pocieszyć pozostałą
po sobie wdowę.
Dotąd jednakże spiski te rozbijały się o opór hrabiego, który
zanadto był
rozumny, zanadto bystro patrzył na świat i ludzi, aby nie
zdołał przejrzeć
niezgrabnie stawianych mu sideł.
Otóż przed kilku laty, licząc od czasu w którym się powieść
nasza rozpoczyna,
hr. Daniel bardziej chory niż kiedykolwiek wybrał się do wód
za granice.
Zazwyczaj do każdej takiej podróży ofiarował mu się
za towarzysza któryś z czułych krewnych, a hr. Daniel
przyjmował chętnie jego
propozycje, mając w tym cel swój odrębny, ironiczny.
Towarzysz taki był zazwyczaj pewnym, że go nie dowiezie do
celu podróży, lub ze

stanąwszy w końcu na miejscu, będzie miał smutny
obowiązek podania
współspadkobiercom wesołej wieści o zgonie, tak długo
przepowiadany.
I tym razem odprowadzał go jeden z kuzynów, pomógł do
ulożenia się, przeczekał
czas jakiś, jak też będzie ze zdrowiem kochanego Daniela, a
nareście wrócił do
domu, bo życie u wód dla zdrowych kosztowniejsze jest
jeszcze niż dla chorych, a
hr. Daniel nie miał zwyczaju podejmować narzucającego się
opiekuna własnym
kosztem.

Wracając jednak do domu, uprosił kąpielowego lekarza, aby w
razie
niebezpieczeństwa telegrafował natychmiast do niego.
Minęło kilka tygodni — gdy naraz kuzynek otrzymał
telegram, że hr. Daniel ma się
źle bardzo, że blizkim jest śmierci. Jakkolwiek wiadomość tę
zatrzymał w
najściślejszym sekrecie i potajemnie wybrał się w drogę,
Przecież cudem jakimś a
prawdopodobniej tą samą drogą dowiedziała się o tem i reszta
krewnych, i pewnego
pięknego poranku pół tuzina cioteczno-
przyrodniostryjecznych podążyło z szalonym
pośpiechem do umierającego.
Zjechawszy się niespodzianie razem, i równe mając powody
do wstydu i
pomieszania, prędko skwitowali się nawzajem z kłopotliwej
sytuacji, złożyli
sejmik generalny i wysłali do hr. Daniela deputację z dwóch
osób złożoną, która

miała zbadać stan rzeczy.

Obaj czuli kuzynowie udali się do pomieszczenia chorego,
przed którym zastali

drogę wyłożoną słomą, co uważali za wskazówkę, że chory
ma się źle bardzo. Na

zapytanie, jak się ma hrabia? odpowiedział stary lokaj, wielki
ulubieniec i

poufnik Daniela, z uśmiechem ironicznym, którego zda się
nauczył od swego pana,

że chory ma się lepiej i zameldowawszy gości, prosił ich
natychmiast do salonu.

Obaj kuzyni weszli, ale zastali historyczny fotel hrabiago
próżny. W salonie nie

było nikogo. Naraz drzwi od sąsiednich pokojów się
otworzyły i ku nieopisanemu

zdziwieniu ujrzeli krewni hr. Daniela w stanie zdrowia, w
którym dotąd nigdy go

nie widzieli. Hrabia wszedł sam, bez pomocy, opierając się
tylko na lasce, do

salonu i uśmiechem wesołym powitał gości. Ubrany był
elegancko, nawet z pewną

młodzieńczą pretensją, włosy miał ufryzowane a w pętelce
modnego surduta tkwiła

kamelja.

Krokiem nieco chwiejnym, ale dość szybkim zbliżył się do
krewnych, uścisnął im

dłoń serdecznie i zawołał:

— Co za traf szczęśliwy was tu sprowadza, moi drodzy!

Wymarzyć niepodobna

lepszego natchnienia! Was mi tylko brakło, moi kochani, a oto
i was przy-

padek nadnosi. Ale poczekajcie chwile, poczekajcie, zaraz
powrócę!

rzekłszy to hrabia wyszedł z salonu. Ledwie obaj kuzynkowie mieli czas ochłonać z pierwszego zdumienia, kiedy gospodarz powrócił. Nie wszedł tym razem sam. Zamiast na lasce, opierał się na ramieniu młodej, ślicznej kobiety, uśmiechniętej wdziękiem młodości i powabu. — Moi kochani, przygotujcie się na usłyszenie dobrej wieści. Rekomenduję wam — moją żonę... — Żo... żonę... — powtórzyli przeciągłym tonem kuzynkowie i osłupieli z zdziwienia. — Tak jest, moją żonę — potwierdził hr. Daniel tonem, który ironicznym swym akcentem budził z osłupienia obu krewnych. — Ożeniłem się... i proszę was dla mojej żony o tę samą życzliwość, o to same przywiązanie, którem mnie samego dotąd raczyliście obdarzać. Niepodobna wyobrazić sobie powszechnego zdziwienia, które wzbudziła wieść rozniesiona szybko przez kuzynów. Najkomiczniejszą atoli była scena, która z tego powodu odegrała się w jednym z salonów stołecznych. Jeden z kuzynów hr. Daniela, zastąpiony na owym kongresie generalnym przez swego brata, znajdował się Właśnie na wieczorze w bardzo licznej towarzystwie, kiedy nagle doręczono mu telegram, którego się spodziewał i który tu przynieść kazał. Telegram pochodził od brata, a datowany był z miejsca kąpielowego, w którym

właśnie znajdował się hrabia Daniel. Z gorączkowym tedy pospiechem porwał podany telegram i rozrywając szybko kopertę, rzucił okiem na papier. Na samym początku spostrzegł słowa: "Wielce smutna wiadomość..." Odczytawszy te pierwsze słowa a nie przebiegłszy jeszcze następnych pewnym był, że telegram przynosi mu wieść o zgonie hrabiego.

W tejże chwili zapytali go najbliżej siedzący znajomi, kto i o czym mu telegrafuje?

— Telegram od mego brata, o biednym Danielu... — odparł zapytany.

— Cóż tedy donosi? — zapytano zewsząd ciekawie — Hrabia był podobno bardzo chory... Czyż by zdarzyć się miało nieszczęście?

— Niestety — odparł czuły kuzynek przybierając minę żalobną — ale nie odczytałem jeszcze całego telegramu...

I zbliżając się z kartką do światła począł czytać głośno i tonem wzruszonym:

— Bardzo smutna wiadomość. Dnia bieżącego miesiąca hrabia Daniel...

Tu nagle przerwał czytanie i jakby z przestrawienia opuścił telegram na posadzkę.

— Umarł!... — dokończono w salonie — Ha, cóż robić, szkoda go, ale to była rzecz do przewidzenia... Tak długo się męczył...

Czuły kuzynek zaprzeczył ruchem głowy i milczał chwilę jeszcze, nie mogąc przyjść do siebie z pomięszania, aż wreszcie zawołał w zapomnieniu:

— Ale gdzie tam, moi państwo! Wyobraźcie sobie — on się o... o... ożenił!

— Ożenił się! — zawołało całe towarzystwo jednym chórem zdumienia.

— Ależ to niepodobna! — wołano dalej — to chyba żart, chyba omyłka jakaś!

Jeden z gości pochylił się po telegram a podniósłszy go przebiegł okiem i czytał

tonem parodjowanej uroczystości:

— Nie, moi państwo! To nie pomyłka, telegram jest wyraźnym. "Bardzo smutna

wiadomość": Dnia

b. m. hrabia Daniel — — — się ożenił... Młoda pani ma lat dwadzieścia i taka ładna, że aż rozpacz zbiera. Twój Alfred..

Nacisk tragiczny, z jakim żartowniś odczytał ten telegram, wzbudził homeryczny

śmiejch w całym gronie, Ten i ów posunął do pomieszanego i zawstydzonego kuzynka

z słowami kondolencji. Biedak bronił się słabo, silił się na dowcip, ale uśmiech

zastygał mu na ustach:

— Ten paliwoda Alfred... Zawsze mu pustota na myśli...

Dawać do takiej wieści

taki wstęp... Słowo honoru przestraszyłem się...

— Jest nawet czego — szepną? mu złośliwie jeden z przyjaciół — teraz to już

pewnie biedny Daniel pożegna się rychło ze światem.

— Wiesz co — odparł mu w konfidenckim wprawdzie, ale wychodząc z kontenansu kuzyn

hrabiego — niech sobie teraz żyje jak żyd wieczny!...

I nie chcąc odgrywać dalej komicznej roli w salonie wybiegł do domu.

Na drugi dzień wiadomość ta gruchnęła po całym mieście.
Nikt jej zrazu wierzyć
nie chciał i przypuszczano, że telegram był tylko mistyfikacją.
Ale wkrótce
nadbiegły wiadomości najpewniejsze. Powróciły osoby, które
w tych samych co
hrabia Daniel przebywały kąpielach, i potwierdziły pogłoskę.
Hrabia Daniel ożenił się istotnie. Daremnie jednak
dopytywano się o bliższe
szczegóły. Nikt nie umiał opowiedzieć, jak się to stało. Cała
historja zaślubin
okrytą była najgłębszą tajemnicą. Wiedziano o fakcie, ale nie
znano
najmniejszych nawet akcesorjów.
Nikt z najbliższych nawet znajomych i towarzyszy
kąpielowych hr. Daniela nie
wiedział, gdzie poznał swoją żonę, z kąd ją przywiózł, i jakim
cudem jej rękę
pozyskał. Wiedziano tylko, że hrabina była młodą i cudnie
piękną.
Kiedy wiadomość ta przybyła, Amadeusza nie było w stolicy.
To też skoro się
tylko zjawił, pierwsza wieść, którą go przywitał znany już
naszym czytelnikom p.
Henryk, była:
— Amadyś, czy ty wiesz, czy ty zdołasz uwierzyć... Ten
hrabia Daniel...
— Ten hrabia Ahaswer... — poprawił Amadeusz z obojętnym
uśmiechem.
— Ten hrabia Ahaswer... ożenił się!
— Z kim? kiedy?
— Z prześliczną, młodą kobietą, przed miesiącem. Ciekaw
jestem go teraz widzieć,

tego chorego Ahaswera...

— A ja panią Ahaswerową — odparł z uśmiechem Amadeusz
— skoro istotnie młoda i
prześliczna!

— Patrzcie Don-Żuanka! — zawołał Ri. — Zobaczymy!
zobaczymy! Nie ty jeden
zagniesz tu parol! Ale słuchajże dalej. Hrabia Ahaswer trzy
głupstwa odrazu
popęłił: primo ożenił się, secundo zamiast uciec z zdobyczą
w ustron

najskrytszą, zjechał tu do stolicy; tertio otwiera salony...

— Dużo będzie miał gości! Przypomnij mi Ri, pójdziemy
zaraz... Ta kobieta musi
być arcyciekawem zjawiskiem... Pragnę ją widzieć jak
najprędzej...

Rozmowa ta odbywała się na ulicy wieczorem, a właśnie
kiedy Amadeusz ostatnich
słów domawiał, nadjeżdżający powóz zmusił obu przyjaciół
do umknięcia na
stronę... Przepędziła koło nich przepyszna karetka, uprzężona
dzielniemi rumakami.

— To on, hrabia Daniel! — zawołał Ri, który znał
wyśmienicie każdy ekwipaz, i po
koniach, po cyfrach i barwach lokajów odgadywał zaraz, do
kogo należą.

— I to z nią nawet! — dodał Amadeusz. — Patrz, skręcają do
teatru! Chodźmy,

ujrzemy ja dziś jeszcze!

Obaj udali się zaraz do teatru.

Amadeusz znalazłszy się w sali teatralnej począł ciekawie
przeglądać łoży,
szukając hr. Daniela i jego młodej żony. Niebawem odkrył
młode małżeństwo...

I wówczas to po raz pierwszy ujrzał Amadeusz tę kobietę
ośniewającego uroku, tę
prześliczną szatenkę z namiętym, marzącym wzrokiem i
dziwnie niepospolitym
wyrazem twarzy, ku której w długi czas później, owego
wieczora teatralnego,
opisanego przez nas w pierwszym rozdziale, zwracały się
ustawicznie jego oczy
pałające namiętnością, gorączką i rozpaczliwą dumą
zarazem...

Prosta ciekawość kierowała jego wzrokiem przy tem
pierwszem spotkaniu, ale
ciekawość ta zmieniła się rychło w żywe, głębokie nawet
zajęcie... Amadeusz ócz
nie mógł oderwać od żony hr. Daniela. Widok jej ośnił go
formalnie — jej
charakterystyczna, niepospolita piękność uwięziła go odrazu...
Amadeusz odniósł jedno z tych wrażeń fatalnych,
błyskawicznych, decydujących w
jednej chwili o całej przyszłości...

Kilka razy oczy pięknej kobiety spotkały się z jego wzrokiem.
Wówczas dotknięty
takim przelotnem spojrzeniem, Amadeusz doznawał takiego
uczucia, jak gdyby go
oblewały fale magnetyczne, jakby kąpał się w strudze
magicznych blasków...

Ta kobieta miała oczy czarodziejskie...
— I ta kobieta oddała rękę Danielowi! — rzekł w myśli do
siebie Amadeusz. — To
zagadka!... To sfinx-kobieta!..

Zapatrzony w piękną hrabinę Amadeusz nie uważał nawet jej
męża. Biedny hrabia

Daniel nikał też zupełnie wobec swej młodej żony. Cofnięty w głąb łoża, otulony w futra i szale, siedział blady, schorzały, zmęczony. Twarz jego bardziej wydawała się cierpiącą niż zazwyczaj, tylko powieki były rozwarte i odkrywały oczy, spoglądające z złośliwą ciekawością i ukontentowaniem. Hrabia Ahaswer zdawał się śledzić wrażenie, jakie sprawia widok jego żony, a na ustach igrał mu przy tem lekki uśmiech. Wzrok jego padł na Amadeusza i utkwiał w nim nieruchomo. Zajęcie młodego człowieka, jego zapatrzenie się w piękną kobietę, zdawało się bawić wielce hr. Daniela. Gdy raz przecie spojrzenie Amadeusza przebiegło przelotnie po postaci hrabiego, podchwycił je tenże skwapliwie, podniósł się nieco z krzesła i ukłonił się uprzejmie, serdecznie, ale z szyderczym uśmiechem. Amadeusza ukłon ten zmięszał nieco i na chwilę przestał patrzeć na hrabinę. Tymczasem hr. Daniel spoglądał po sali teatralnej, i gdzie dostrzegł tylko któregoś z młodych znajomych, Opatrzonego tak jak Amadeusz w jego żonę, usiłował zwrócić uwagę jego na siebie i kłaniał mu się z tą samą uprzejmością, z tym samym uśmiechem, tak słodkim a tak szyderczym...

Ten biedny, chory, upośledzony człowieczek zdawał się szydzić ze wszystkich niemiłosiernie, i wyzywać formalnie tem spojrzeniem, pełnem pewności, kontenansu i swobody.

— Tam w tej loży, tam się znajduje istna szarada! —
zauważył trafnie któryś z
lwów balkonowych do siedzących obok towarzyszy.
— Rozwiążemy ją koniecznie! — odpowiedziano mu na tę
uwagę.
Jakoż istotnie każdy z lwów salonowych, każdy z Lovelaców,
począł od tej chwili
kombinować i układać plan kampanji. Kampanja ta rozpoczęła
się istotnie
niebawem. Nazajutrz posypały się karty wizytowe u hr.
Daniela, który jakby na
umyślnie nie przyjął nikogo — ale w kilka dni zaprosił
wszystkich do siebie.
Odtąd roilo się od gości w salonach hrabiego, który zdawał się
być z tego wielce
zadowolonym. Był wzorem gościnnego gospodarza i ideałem
rozumnego męża. Nie
raził nigdy nawet cieniem zazdrości.
Najczęściej hr. Daniel pokazywał się na chwilę tylko w
salonie, a potem znikał
na cały wieczór. Gdy się jednak zdarzało, że stan zdrowia
pozwolił mu zostać w
gronie gości, wtedy siedział na swoim zwykłym miejscu przy
kominie i rozmawiał
obojętnie z starymi znajomymi, lub z pochyloną na piersi
głową zdawał się
drzemać.
Tymczasem rój młodzieży otaczał jego żonę, prześliczny
Sylwię. Kobieta ta od
pierwszej chwili straszne sprawiła spustoszenie w sercach
salonowych Adonisów.
Powabem swej urody, wdziękiem umysłu, wykształceniem
wysokiem, żywością

temperamentu i nadobną swobodą czarowała wszystkich —
nie ośmielała nikogo.

Oryginalna całym swym usposobieniem, kapryśna, to wesoła
do pustoty, to smutna i

rozmarzona, to roztrzepana na pozór, to znowu apatyczna, to
dająca swym

wielbicielom wrzekomo awansy, to znowu sztywna, dumna i
odtrącająca — kobieta ta

była prawdziwą zagadką.

Ci, których przykuła jak tryumfatorka do rydwanu swych
wdzięków, łudzili się

czasem, roili najśmielsze nadzieje, w głębi duszy przypisywali
sobie preferencję

— ale gdy się po jakimś czasie obliczyli dokładnie, okazało
się z rachunku —

zero...

Amadeusz, który najpierwszy zapisał się w szereg jej
wielbicieli, obliczył się

także. Obliczył się najpierw w myśli z tą kobietą i z rachunku
wyszło także zero

— obliczył się z samym sobą i rezultat był zatrważający-
Amadeusz zakochał się namiętnie....

Jak wiemy nie był sam — miał wielu towarzyszy niedoli. Z
pomiędzy wszystkich

wystawał on namiętnością swoją — a stosunek jego do
hrabiny, choć nie wzajemny i

nie upoważniający do najmniejszych przypuszczeń, stał się tak
zdecydowanym, że

nikt nie wy-

mówił imienia p. Sylwji, aby mu przytem mimowolnie nie
stał na myśli

Amadeusz...

Nie dziw, że o p. Sylwji mówiono wiele, że przyćmione przez nią gwałtownie
piękności salonowe, na jej wspomnie zgorszone stroić poczęły
minki.

Hr. Daniel słyszał wszystko, patrzył na wszystko i zdawał się
być rad wielce ze

wszystkiego. Tymczasem neutralniejsi widzowie, którzy
koniecznie chcieli się

zorientować w tym świecie, w którym królowała Sylwja,
zamykali rezultat swych

badań w słowach:

— To dziwna kobieta. Wystawcie sobie, ona kocha szalenie

— hrabiego Daniela...

IV.

NOWE FIGURY.

Amadeusz przed owa majątkową katastrofą, która go była
spotkała, był jednym z

najczęstszych gości u hr. Daniela. Czar, którym go od
pierwszego wejrzenia zaraz

uwięziła piękna hrabina, zmienił się, jak już wiemy, w miłość;
miłość przybrała

rozmiary namiętności. Gwałtowny, szalony prawie charakter
Amadeusza znalazł w

uczuciu tem z początku troche miary a nawet statku pewnego.
Złagodniał,

rozmarzył się, spoważniał. Czarodziejskie oczy Sylwji
ugłaskały lwa — trzymały

go na pasku marzeń i słodkich nadziei. Wkrótce jednak to
samo, co zdawało się

tworzyć ciszę i harmonję w duszy naszego młodego szaleńca,
stało się tylko

palnym materiałem, podsycającym do najwyższego stopnia wrodzoną jego namiętność.

Amadeusz kochał się bez najmniejszej nadziei, bez żadnej, a żadnej rękoi skutku.

Kobieta, ku której zapłonął namiętną miłością, była żoną innego.

Między Amadeuszem a nią stały silną zaporą względy towarzyskie i moralne. Aby miłość taka mogła mieć skutek, trzeba było zerwać najświętsze węzły, potargać najsilniejsze ogniwa, zdeptać śluby, których nigdy nie narusza się bezkarnie...

To wszystko nie zatrzymało jednak Amadeusza.

W namiętności swojej nie uznawał on granic podobnych.

Namiętność ta była u niego najwyższym prawem, w przekonaniu jego miała ona moc rozwiązywania i zawiązywania.

W obec niej, w obec udzielnej, wszechmocnej namiętności, mały wszelkie prawa moralne, wszelkie względy towarzyskie i rodzinne do poziomu przesądów.

— Jakie prawo może być na ziemi dla serc nad namiętność ?

Gdzie są tak potężne

ogniwa, aby ich ona nie zerwała, gdzie tak silne przesady, aby ich nie zmiotła

jednym tytanicznym tchem huraganu, gdzie względy takie, któreby umilknąć nie

musiały w obec jej piorunnego głosu?...

Tak rozumował Amadeusz, a rozumowanie to było religią jego. Nie był to więc

człowiek, któryby zadrzał w obec przeszkód tego rodzaju...
Ale między nim a
ubóstwianą przez niego kobieta stała zaporą inną.
Zapora ta była tym razem silniejszą, niż wszystkie przysięgi,
niż kodeks
moralności, niż głos świata.
Sylwia po prostu nie kochała go. Taki przynajmniej wypadł
rezultat, gdy się
Amadeusz obliczył z wszystkimi szansami swoich stosunków
do pięknej kobiety. Co
więcej, kobieta ta nie wiedziała może nawet, że jest szalenie
kochaną.
Któż jej o tem powiedział? Chyba plotka obiegająca salony,
chyba przeczucie
własne — Amadeusz bowiem nie zdobył się dotąd na
stanowczy objaw swego uczucia.
Trudno wprawdzie było przypuszczać, aby wzrok kobiety nie
wyczytał od razu z
całego postępowania Amadeusza wyznania namiętnej miłości,
ale wyznanie to czyż
zupełnie wystarcza tu mogło?
Amadeusz nigdy nie mógł się zdobyć na tyle odwagi, aby jeżeli
już nie z otwartą
stanowczością, to przynajmniej w bardziej bezpośredni i
wyraźny sposób objawić
swe uczucia. Mimo całej namiętności, mimo zuchwalstwa,
które w niej czerpał
dotąd zawsze na zawołanie — nie ośmielił się Amadeusz do
podobnego kroku.
Nigdy jeszcze w życiu nie spotkał takiej kobiety. Nigdy nie
widział się jeszcze
w tak bezradnej sytuacji, on, popsuty faworyt szczęścia,
okrzyczany zwycięzca

serc niewieścich.

Piękna hrabina zdawała się być stokroć silniejszą od niego.

Igrała ona z nim,

jakby bawić się chciała swą ofiarą. Nieraz zdawało mu się, że
w oczach jej

cudownych czyta wyznanie wzajemności, ię głos jej drży
uczuciem, że rumieniec

serce zdradza, że słowa każą się domyślać...

Wtedy Amadeusz blizkim był stanowczego kroku, a na usta
wydzierało mu się słowo

śmiałego wyznania.. Ale w tej samej chwili jedno spojrzenie,
jedno zimne słówko

wystarczało, aby zmusić go do milczenia, odebrać wszelką
odwagę, i odrzucić go o

całą nieskończoność od upragnionego celu...

Kobieta ta miała w sobie coś dziwnie imponującego.

Amadeusz pod jednym

spojrzeniem jej w pokorne zmieniał się pacholę.

Przed chwilą pusta i swawolna, okrywała się nagle majestatem
powagi, przed

chwilą wyzywająca prawie, odpychała wkrótce od siebie
surową sztywnością. Jedno

jak lód chłodne, śmiertelnie obojętne słowo, zacierało od razu
wrażenie całej

rozmowy, w której zdawało się przebijać uczucie, jeden
ironiczny uśmiech, tak

odstraszający swym wyrazem, przecinał w jednej chwili cało
różowe pasmo

poprzednich spojrzeń, tak upajających, tak pełnych obietnicy i
namiętnego prawie

uczucia.

Nie była to zwyczajna sztuka kokieterji.

Amadeusz znał przecież sztukę tę tak doskonale, widział ją
tyle razy
praktykowaną w najwyższym stylu i z jenjalną zręcznością,
rozumiał się wybornie
na jej zagadkach, na całym jej hieroglificznym abecadle...
Namiętność Amadeusza rosła z dniem każdym. Szukał ulgi w
szalonym życiu, uciekał
się do najheroicznie-
szych środków, jakie mu tylko poddać mogła jego gwałtowna
natura, aby zapomnieć
o zagadkowej kobiecie.
Kiedy się Amadeusz znalazł w opłakanym położeniu bankruta,
kiedy szaleństwa jego
rzuciły go na bruk bez podstaw i środków świetnego bytu, do
którego był
przywykł, ona jedna, ta przecudna, nieodgadnioną kobieta,
wstrzymała go od
rozpaczliwego kroku i nie dała mu skończyć tak, jak skończył
stryj jego.
Bez najmniejszego żalu byłby pożegnał świat ze wszystkim,
co mu na nim było
drogiem lub przyjemnym — ale nie mógł zerwać tej niewoli,
w którą go rzuciła
namiętność do Sylwji.
Gdy go nagle los wydobył z ruiny i oddał mu stracone jutro,
Amadeusz Sylwję
zrobił znowu królowa tego jutra.
Zaraz nazajutrz po owym wieczorku, na którym Amadeusz
wszedł znowu tak
oryginalnym sposobem w prawa gospodarza, postanowił
zacząć na nowo kampanję, ale
zacząć ją i skończyć już zarazem.

— Kocham jak student — rzekł sam do siebie — i jak z studenta szydzi ze mnie ta kobieta. Z takiej upokarzającej sytuacji wyjść muszę koniecznie od razu, przebojem! Dziś jeszcze muszę się z nią widzieć. Pójdę natychmiast i — wyznam jej wszystko!

Przy tych ostatnich słowach zawahał się nieco Amadeusz. Zdało mu się, że widzi przed sobą Sylwję, jak mu oniemia usta swem spojrzeniem imponującym, swą godnością i duma odpychającą i zimna.

— Tak, pójdę — zawołał jednak wkrótce Amadeusz — i powiem jej, że ją kocham! Gzy upoważnia mnie co do tego? Jeżeli nie upoważnia mnie ona, to upoważnia mnie moja namiętność! Vogue la galère!

— A zresztą — mówił dalej — czyż to nie będzie tak dobry hazard, jak każdy inny? Dotąd nie uląknę się nigdy hazardu i dziś rzucę nań śmiało moje nadzieje i marzenia wszystkie!

Rzekłszy to do siebie Amadeusz, natychmiast począł się zbierać do wizyty.

W planie całym, który układał, hrabia Daniel nie wchodził wcale w rachubę.

Amadeusz nigdy nie myślał o nim jako o przeszkodzie, z którąby się liczyć wypadało. Biedny, chory człowieczek tak był zawsze serdeczny dla niego, tak mile go witał w swoim domu, tak wolnym był od cienia nawet zazdrości, że Amadeusz w

myślach swych i kombinacjach nigdy nie widział obok Sylwji jej małżonka.

Wprawdzie nieraz miał Amadeusz sposobność, zauważać na bladych ustach hrabiego

Ahaswera uśmiech dwuznaczny, podejrzany, piekącą ironją zaprawny — ale tłumaczył

go on sobie tem, że wieczny pacjent do tego stopnia jest filozofem, iż potrafi

się wznieść aż do samobójczej ironji i szydzić z własnej sytuacji.

Ubrawszy się, Amadeusz z niecierpliwością oczekiwał stosownej do wizyty godziny,

a doczekawszy się jej

wreszcie, kazał zajechać powozowi i wieźć się do domu hrabiego Daniela.

Tymczasem w gabinecie swym miał właśnie hr. Daniel gości.

Trzech mężczyzn

siedziało około jego fotelu i brało udział w żywej rozmowie.

Nie była to wizyta

zwykła. Hr. Daniel od kilku tygodni miał się znowu

nadspodziewanie lepiej i

skorzystał z tego, aby zakończyć niektóre swe sprawy administracyjne.

Jak wiemy, hr. Daniel należał do najdzielniejszych gospodarzy w kraju. Między

dobrami swemi miał on także kilka wiosek górskich,

nieposiadających żadnych

gruntów ornych, ale lesistych. Dotąd wioski te żadnego prawie nie niosły

dochodu, aż hr. Daniel umiał wyzyskać ich wartość. Zawiązał z dwoma sąsiednimi

właścicielami spółkę, przybrał do niej zręcznego ajenta i porobił układy o

dostawę drzewa budulcowego, materiałów kolejowych,
masztów na okręty itd.
Spółka zrobiła świetne interesa. Obaj sąsiedzi, którzy dotąd
ledwie kawałek
chleba mieli z swych jałowych wiosek, poprawili byt swój od
razu, a hr. Daniel
zarobił więcej, niż mu kiedykolwiek ofiarowano ryczałtem za
cały klucz górski.
Spółka ta rozwiązała się teraz. U hr. Daniela odbywała się
właśnie sessja
ostatnia, na której zamknięte zostały ostatecznie rachunki.
Chory hrabia i tym
razem wprowadził w zadziwienie współników swą bystrością,
swoją energja, której
nikt przypuścić nie mógł w człowieku pasującym się ciągle z
cierpieniami
fizycznymi.
Jak zwykle siedział hr. Daniel otulony szlafrokiem futrzanym
na swym fotelu,
bladą, wynędzniałą twarz pochylał na piersi i zabierając głos
mówił cichym,
zmęczonym tonem, który nieraz przechodził w szept ledwie
dosłyszany. Obok niego
siedzieli trzej współnicy. Były to trzy typy odmienne, trzy
postacie w swoim
rodzaju charakterystyczne.
Jeden z nich był to mężczyzna już szpakowaty, z twarzą
wychudłą i zawiędłą, z
poważnym, prawie surowym wyrazem na twarzy, ubrany
skromnie, po staroświecku.
Drugi liczyć mógł zaledwie lat dwadzieścia kilka i był
prawdziwym typem naszej

młodzieży wiejskiej. Przystojny, z twarzą dorodną i wyrazem zdrowia okraszona, z oczyma żywymi i pełnymi ruchu, z butą i fantazją w całej postaci — zdawał się być najbardziej wesołym, najbardziej zadowolonym ze wszystkich. Najmniej ze wszystkich zajmowała go specjalno-rachunkowa strona sessji. Wiedział, że przypada na niego zysk spory, że otrzyma sumę, której może nigdy w życiu posiadać się nie spodziewał — i to mu wystarczało. Jeżeli się też odezwał z czem na tej sessji, to zawsze przywoływano go do porządku, bo mówił o wszystkim raczej na świecie, niż o interesie. Trzeci był to wspólnik ostatni, który przystąpił z kapitałem tylko i usługami ajenta. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że był żydowskiego pochodzenia, choć usiłował widocznie maskować stan, z którego wyszedł. Był to młody jeszcze mężczyzna z twarzą piegowatą, sprytna i przebiegła, z nosem dużym i zakulbaczoną, na którym osadził złote okulary, z dużymi bakenbardami rudymi, z oczyma wypukłymi, biegającymi ustawicznie dokoła. Ubrany był z widoczną intencją elegancji i wytworności, ale intencja ta wypadła niefortunnie co do rezultatu. Miał na sobie jakiś żółtawy żakiet, kraciaste inexprissibilia, pomarańczową krawatę, lakierowane trzewiki wyszywane w esy-

floresy, z których osobliwie zdawał się być dumnym, bo
spoglądał na nie z
nietajonem ukontentowaniem. Przy zegarku wisiał gruby
łańcuch złoty, na palcach
świeciło się mnóstwo pierścionków. Usiłował mówić po
polsku płynnie i mówił
istotnie lepiej, niż to się zdarza żydom, ale mimo to co chwila
popępiał
najkomiczniejsze błędy w zwrotach i akcencie.
Pierwszy z tych gości, których powierzchowność po krótko
opisaliśmy, nazywał się
Adam Ożarko, i był jak już wiemy, właścicielem małej
wioseczki, sąsiadującej z
górkim kluczem hr. Daniela. Stary kawaler, ograniczający się
na najmniejsze
potrzeby, oszczędny aż do skąpstwa, po drobiazgowemu
skrętny, natury trzeźwej
aż do najoschlejszego pedantyzmu — Ożarko zakopał się w
swem odludnem ustroniu i
z oporem, po długim wahaniu się, przystąpił do spółki.
Urodzony w ubóstwie Ożarko drogą powolnego, ciężkiego
dorobku doszedł do swej
nędznej włości,
natulawszy się przedtem po świecie jako prywatny oficjalista.
Ciasnego poglądu
na świat i jego stosunki, upatrujący jedyną rękojmię bytu w
wytrwałości
mrówczej, liczący się skrupulatnie z każdym groszem, nie
pojmował on innego
sposobu poprawienia fortuny nad drobny dorobek, bał się
szalenie wszelkiego
przemysłu, drżał przed najmniejszym ryzykiem, a namówiony
do spółki tchórzył

ustawicznie, choć nie stawiał przy niej nic na niepewną kartę.
Teraz nawet, kiedy zamknięcie rachunków wykazało, że
przypada mu zysk bardzo
znaczny z lasów, które dotąd najmniejszych prawie nie niosły
mu dochodów, nie
tyle cieszył się pomyślnym rezultatem co dziękował Bogu, że
go szczęśliwie
wyratował z tego "wielkiego hazardu", za jaki uważał interes
dostawy budulca i
masztów.

Drugi z członków spółki, ów młody, dorodny mężczyzna,
nie tylko wiekiem i
temperamentem ale i całym charakterem swym stanowił
prawdziwy kontrast do p.
Adama Ożarki. Nazywał się Zygmunt Szarski i tak jak
wszyscy jego antenaci
biedował na malutkiej wioseczce Szarkach. Nie miał już
rodziców, ani żadnego
rodzeństwa — a do ubożuchnej gospodarki wiązała go miłość
gniazdowej wioski a
głównie może konieczność, która przykuwała go do owsianej
gleby rodzinnej.

Wychowany przez jednego z bogatszych swych krewnych
dość starannie, w
najpierwszych latach swej młodości powołany przez chorego
ojca na wieś, nie
ruszył się już po śmierci jego z Szarek, w których odgrywał
role małego
Prometeuszka. Pełen fantazji, usposobienia niezmiernie
żywego, z umysłem
wyrywającym się po za granice dotychczasowej egzystencji, i
istotnie

posiadającym wszelkie warunki do szerszego zakresu życia,
przytem lekkomyślny i
wrażliwy — biedny Zygmunt jak duch pokutujący tłukł się w
ciasnej swej klatce
górskiej.

Gospodarować nie lubił i nie umiał, wszelką ekonomją
pogardzał, a mimo że ciągle
walczył z biedą, zadłużył wioskę swoją i blizkim już był
zupełnego
wywłaszczenia, kiedy hr. Daniel mu pomógł, otwierając
źródło zysku obfite i
niespodziewane.

O trzecim z kolei, figurze z ryzami bakenbardami i
pomarańczową krawatką na
szyi, wiedzą już czytelnicy, że był żydem. Był to pan Izydor
recte Icek

Szwinder, agent dla wszystkich i do wszystkiego. Szwinder był
prawdziwym typem
galicyjskiego żydka, który liznął trochę niemieckiej
cywilizacji. Sprytny,
obrotny, przebiegły, chciwy, wadami i zaletami wszystkimi
nieodrodny syn swego

plemienia, miał on przy tem osobny rodzaj ambicji.
Ambicja ta polegała na tem, aby uchodzić za człowieka
wykształconego, za
postępowego emancypanta, aby odznaczać się nawet
wytwornym tonem i elegancją.

Ideąlem jego był szyk wiedeńskich takzwanym "Mauszlów"
salonowych; silił się
też w najkomiczniejszy sposób, aby przywłaszczyć sobie ów
odrębny, tyle śmieszny
i paro-

dystyczny polor komtuarowy. Chciał być "nobel", chciał
oślńiewać "geszeftowym"
szykiem, i być sobie według najnowszego żurnalu
wiedeńskiego "ein jüdischer
Cavalier". Mówił wiele o literaturze niemieckiej, o sztukach
pięknych, cytował
Heinego, pracował nawet nad językiem polskim — i był
prawdziwą perłą rodu
Szwinderów.

W spółce odgrywał on rolę ajenta i jako taki istotnie wiele się
do pomyslnego
rezultatu przyczynił, przy czym też sam bardzo znaczne
odniósł zyski, bo i hr.

Daniel imieniem spółki zapewnił mu znaczny procent
dochodu i prusczy
przedsiębiorcy, między którymi pośredniczył, hojnem
wynagrodzili go honorarjum.

Sama główna cześć interesu była już załatwioną i toczyła się
jeszcze tylko

rozmowa o drobnych, ubocznych rzeczach.

Hr. Daniel, który lubił obserwować ludzi i bawić się nimi
niejako, był dzisiaj w

szczególniejszem usposobieniu do robienia studjów
psychologicznych i z
upodobaniem śledził każdego z swych gości.

— Widzisz tedy, panie Adamie — odezwał się do Ożarki —
bałeś się naszej spółki i

ledwie cię sforsować było można do przystąpienia. A teraz,
panie Ożarko,

przyznać musisz, że zrobiłeś dobry interes...

— Przyznaję, panie hrabio — odparł Ożarko — ale powiem
panu otwarcie, że już

drugi raz nigdy do podobnych interesów nie dałbym się
zniewolić. Tym
razem uszło mi na sucho, panie hrabio, ale ja te wszystkie
spekulacje zawsze za
hazard uważam...

Hr. Daniel uśmiechał się, a Szwinder podchwycił zaraz ten
uśmiech i zawtórzył mu
ironicznym spojrzeniem, skierowanym na Ożarkę.

Właśnie gdy hrabia miał coś odpowiedzieć, dały się słyszeć
kroki w sąsiednim

pokoju. Był to Amadeusz, który zastał hr. Sylwję jeszcze nie
ubraną i czekać

postanowił, dopóki nie będzie przyjętym. Hr. Daniel zapytał
zaraz lokaja, kto

przyszedł, a dowiedziawszy się, że to wizyta Amadeusza do
jego żony, uśmiechnął

się nieznacznie i kazał prosić gościa do siebie.

Zaraz też wszedł Amadeusz. Na twarzy jego widocznym był
niepokój, który na widok

hrabiego zmienił się w pewne pomieszanie.

Daniel powitał go uprzejmem skinieniem głowy i z grzecznym
uśmiechem podał mu

swą dłoń wychudłą.

— Moja żona czasami długo się ubiera — rzekł — być może,
że i tym razem długo

każe ci czekać. Jeżeli cię to nie będzie nudzić, poczekaj tu u
nas. Nie lubisz

interesów, wiem o tem, a tu mowa o nich, ale nieraz i to lepsze
nad samotne

oczekiwanie.

Amadeusz wolałby był stokroć samotność, ale nie śmiał jakoś
odmówić wezwaniu

hrabiego. Spotkanie hrabiego przed widzeniem się z Sylwią
zmieszało go i prawie
się czuł schwytanym na gorącym uczynku. W takim
usposobieniu nie miał siły
oprzeć się i machinalnie usiadł na wskazanem krześle.
— Poczekajże p. Ordawski — odezwał się hr. Daniel —
muszę ci przedstawić moich
gości. To jest pan Adam Ozarko, mój sąsiad łaskawy, a to
drugi sąsiad p. Zygmunt
Szarski.

Amadeusz skłonił się z lekka obom. Szarski, który ciekawie
patrzył na
nowoprzybyłego, okrył się nagle rumieńcem, gdy usłyszał
nazwisko Amadeusza.

Spojrzał na niego bystro, a oczy dziwnie mu się zaiskrzyły.
— A to... panie Amadeuszu — ciągnął dalej hrabia, wskazując
na trzeciego — to
jest p. Izydor Szwinder... mógłbym powiedzieć nawet
anticipando pan baron Izydor
Szwinder, człowiek znakomitych zdolności finansowych...
Szwinder, nieprawdaż, że
będziesz baronem jeszcze ?

Szwinder podniósł się z swego oddalonego nieco krzesła i
ukłonił się z
kwintessencją kontuarowej elegancji.

— Co? nieprawdaż, że będziesz? — ciągnął dalej z
nielitościwym uśmiechem hrabia

— zasługujesz na to z pewnością! Naprzykład, jakby to
brzmiało ładnie: Izydor

Szwinder Baron von Schwinderwind...

Zygmunt mało nie parsknął głośnym śmiechem a Amadeusz
także mimo pomieszania
swego uśmiechnął się na żart hrabiego.

— No, wróćmy do rozmowy — rzekł dalej hr. Daniel. —
Więc twierdzisz panie
Adamie, że to był hazard?...

— Jak dla kogo, panie hrabio — odparł sucho Ożarko — dla
mnie takie
przedsiębiorstwa zawsze będą ryzykiem. Ja biedny człowiek,
liczę się ściśle i
przy
podobnych interesach nie tyle cieszę się z zysku, co winszuję
sobie, że
zaawanturowawszy się, wyszedłem przecież cało...

— Ja to zawsze powiadam — ośmielił się odezwać Schwinder
— w naszym kraju handel
i przemysł nigdy nie pójda na górę! Dla czemu? Dla temu: że
u nas nie ma tego,
co to się nazywa höherer Geschäftsgeist. Mój brat Dr. Arnold
Schwinder, redaktor
od Neue freie Speculirpresse pisał do mnie raz o tem...

— Słuchajże Amadeuszu — przerwał Schwinderowi hrabia
Daniel, zwracając się do
Ordawskiego — tłumaczyłeś mi tu kiedyś, że każdemu
człowiekowi wrodzonym jest
pociąg do próbowania losu, do hazardu. Masz tu zaraz p.
Ożarkę, który stanowczo
kłam zadaje tej teorji. Uważa on nawet interes
najbezpieczniejszy za hazard...

Amadeusz, który niechętnie tylko przysłuchiwał się
rozmowie, widział się
zniewolonym przez wzgląd na hrabiego wziąć w niej teraz
czynny udział.

— Nie wierzę temu — odparł — nie wyobrażam sobie
człowieka, któryby nie musiał

brać w rachubę trafu i przypadku losu... Los ten zawsze stanowi osobną pozycję w tej rachubie, choć nie zawsze zastanawiamy się nad tem. — Otóż właśnie — odezwał się znowu Szwinder — pod tym względem chciałem tu państwu powtórzyć, co mój brat, doktor Arnold Szwinder, redaktor przy Neue freie Speculirpresse... — Moi panowie — przerwał mu tym razem Ożarko, odzywając się tonem surowym — mówicie to z waszego stanowiska, na którym ja nigdy nie stałem... Przebywałem inną szkołę. Los mi nic nie dał nigdy. Jeżeli doszedłem do skromnego kawałka chleba, to pracą i rachubą. — Praca to tyle, co podróż piechotą, a rachuba, to tyle co fura jednokonna, a spekulacja to tyle, co kolej żelazna — wmięszal się znowu Szwinder tonem sentencyjnym. — Nu, proszę państwa, teraz mamy wiek XIX! Za co dzisiaj ma kto chodzić piechotą, albo jeździć furą, kiedy jest kolej żelazna?... — Ale na tej ostatniej najłatwiej podobno kark skrócić — odparł Ożarko. — Więc idziesz tylko pracą i rachubą, kochany panie sąsiedzie — odezwał się znowu hrabia. — Powiedz mi tedy, według jakiej ty zasady rachujesz? — Na to jest przecie od wieków jedna formułka... — Ale jaka?... — Dwa razy dwa jest cztery. — Dwa razy dwa jest cztery? kiedyż to nie prawda! — rzekł hr. Daniel.

Ożarko z pewnym rodzajem zgorszenia spojrział na hrabiego.
Szwinder dowcipnie
łypnął z poza okularów oczyma.
— Nie umiecie dobrze rachować, jak widzę — mówił dalej hr.
Daniel. — Muszę was
wziąć na egza-
min. Panie Szwinder, powiedz mi tedy, ile jest dwa
razy dwa?
— Dwa razy dwa? panie hrabio — rzekł Szwinder. —
To zależy od tego, jaki mam porachować procent? Przed
pięćdziesięciu laty było
dwa razy dwa = cztery; dzisiaj dwa razy dwa jest — sześć.
Tak ja zawsze rachuję.
— Mylisz się tedy, panie Szwinder — odparł hrabia. —
Nieprawdziwą jest twoja
formułka, tak jak nieprawdziwą jest formułka p. Ożarki. Aby
dwa razy dwa było
cztery, trzeba istotnie jakiegoś wyjątku.
— Pan hrabia żartuje z nas wszystkich — odezwał się Ożarko.
— Przeciwnie mówię z najgłębszego przekonania i na serjo.
Dwa razy dwa, moi
panowie, to najczęściej trzy, rzadziej już pięć, ale najrzadziej
cztery...
— To znaczy, hrabio — wtrącił Amadeusz, który czuł na
sobie ciągle obserwujący
wzrok Daniela — że właściwie rachować na nic się nie zda.
Wiem to oddawna i
zasady tej trzymam się zawsze... Widziałem ludzi, którzy tak,
jak p. Ożarko
opierali się na liczbach tylko i liczyli, liczyli, liczyli, i jakiś
czas dobrze
im to szło, aż nagle los ślepy zmięszał rachunki jednym figlem
swym dziwacznym i

w rezultacie postawił zero. Cobyś pan w takim razie zrobił panie Ożarko?

Szlachcic popatrzył poważnie na Amadeusza i rzekł sucho:

— Zacząłbym rachować na nowo...

— Amadeusz ma trochę racji — ozwał się znowu hr. Daniel.

— Los w całej rachubie

naszego życia odgrywa rolę owego gospodarza w przysłowiu niemieckim...

— Mann soll die Rechnung nicht ohne den Wirth machen! —
pospieszył zacytować

Szwinder.

— Tak jest — mówił dalej hrabia — i dla tego też los tak często mięsza

najmatematyczniej obliczone szyki. Ale na to jest sposób. Nie liczcie nigdy bez

losu! W pozycjach cyfr niech będzie jedna pozycja, jedno x dla niego.

Uwzględniajcie go zawsze w rachubie, a wtedy jego tajemna władza igrać z wami

nie będzie. I oto, dla czego ja nigdy nie liczę: dwa razy dwa jest cztery. Po za

pewnością szans, po za granicami najtrzeźwiejszej, najostrożniejszej nawet

kombinacji, po za cyframi i algebra — jest zawsze nieprzewidziany traf, jest

ślepy przypadek, jest coś, co należy także do rachunku, choć się żadną nie da

ująć cyfrą. Tym sposobem się dzieje, że z dwóch a dwóch zrobi się trzy albo

pięć. W pierwszym razie los ci coś urwał, w drugim dodał.

Tak się dzieje w

najzwyczajniejszych interesach, tak się dzieje i w najważniejszych rachubach

życia. Ale przy zachowaniu mojej formułki nie bolą już tak strata i zawód, a cieszą tem bardziej niespodziewane korzyści. Los wtedy ani nie straszy swą niechęcią, ani upokarza swą dziecinną protekcją...

— Niech pan hrabia pozwoli sobie powiedzieć komplement —
— ozwał się Szwinder —

pan hrabia jest bardzo geistreich! To rai przypomina, jak mój brat, doktor Izydor Szwinder, który także jest okropnie geistreich, napisał raz fejleton do Neue freie... Ale hrabin i tym razem nielitościwie przerwał Szwinderowi.

— Widzicie z tego — rzeki — że stoję co do moich zasad między panem Ożarkiem a tobą, panie Amadeuszu.

Amadeusz, który się niecierpliwi? ogromnie i radby był jaknajprędzej wyrwać się z fałszywej pozycji, ocknął się i zapytał:

— Zkądże ja wchodzę w porównanie?...

— Wszakże sam nieraz śpiewałeś przedemną hymny na cześć hazardu... Ty boisz się rachuby, p. Ożarko boi się losu. Les extremes se touchent....

Jednostronnością swoją stykacie się obaj, i obaj się hazardujecie...

— Kto! ja się hazarduję! — zawołał prawie z przestraczem p. Ożarko.

— Hazardujesz się, kochanie — potwierdził hr. Daniel — Ignorować los i jego

nieodgadnione wyroki jest zarówno niebezpiecznie, co ignorować cyfrę i realne warunki powszedniego życia.

— Już ja teraz rozumiem — wyrwał się znowu Szwinder — co jasny pan hrabia myśli!

Rozumne ryzyko!

— Czy jest jakie rozumne ryzyko?

Każda wyższa spekulacja jest rozumne ryzyko. A giełda
naprzykład, gra na
dyfferencję, Hausse i Baisse — czy to nie najpiękniejsza
spekulacja!

— A kiedyż ryzyko jest głupie?

— Wtedy, jasny panie hrabio — pospieszył żydek z
odpowiedzią — kiedy
rozumniejszym byłby rachunek. Tam tylko, gdzie ja z
rachunku byłbym głupi, tam
ja mądrym być mogę tylko z ryzyka!

Wszyscy śmiać się poczeli na taką definicję "głupiego ryzyka"
— a po chwili

Zygmunt Szarski, którego uwaga podzieloną była dotąd
między rozmowę a
przyglądanie się Amadeuszowi, odezwał się z swoim
zdaniem:

— Ja myślę — mówił — że hazard, albo jak chce pan
Szwinder, ryzyko, wtedy jest
mądrzem, jeżeli utraci swe szansę niebezpieczne a zatrzyma
tylko korzystne.

Istnieje bowiem, zdaniem mojem, takie i tego rodzaju hazard.

Kto nic nie ma a

hazarduje się, ten wszystko zyskać może a nic nie straci

Rzucanie na niepewną

kartę losu tego co się posiada, jest moje nieraz nagany

godnem. Ale jeżeli ja

nie mam stawki żadnej, i nic nie rzucam na igrzysko

przypadku — po czyjej

stronie szansa ? Dla tego też hazard powinien być chyba

ucieczką tych, co nic

nie mają do stracenia.

— Otóż musisz wiedzieć, panie Szarski — odpowiedział Daniel — że najpierw bez stawki nie ma wygranej, powtóre, ie nie masz na świecie takiego człowieka, któryby nic nie miał do stracenia... co tym razem na jedno wychodzi...

— Co do tego, panie hrabio — wtrącił Amadeusz — to pozwól sobie zaprzeczyć. Znałem człowieka, który dziś jest panem milionowym i poważanym. Ten człowiek znajdował się raz w takiej pozycji, że już nic nie miał do stracenia. Faktem jest bowiem, że postanowił sobie odebrać życie. Było to w miejscu, gdzie był bank gry. Na kilka chwil przed wykonaniem tego rozpaczliwego zamiaru, rzucił resztkę swych pieniędzy na ruletę, a począwszy wygrywać, grał dalej i odegrał się zupełnie...

— Gdybym szukał racji w drobiazgach — odparł hr. Daniel — wytknąłbym ci zaraz, że miał coś jeszcze do stracenia, bo jak powiadasz, postawił resztkę swych pieniędzy. Ale ten człowiek rzucał daleko wyższą jeszcze stawkę. Stawił on przecież życie!...

— Życie to nie było już nic warte...

— Dla niego, czy dla świata ?

— Dla obóh stron, zdaje mi się.

— To być nie może. Jeżeli nie było nic warte dla świata, to nie mogło być

równocześnie bez wartości dla niego.

— Dla czego?

— Dla tego, Je życie nigdy od razu nie traci swej wartości wobec jednostki i wobec jej otoczenia. Zawsze ktoś pierwszy musi zacząć pogardzać naszym życiem: świat albo my sami. Jeżeli zaś świat pogardzi nim pierwej, niż sam człowiek, to skoro człowiek taki przeżył już podobną degradację, dał tem samem dowód, że życie nic nie warte dla innych, ma wartość jeszcze dla niego.

— Takie subtelne ocenienie wartości życia trochę na paradox zakrawa — odparł Amadeusz.

— Więc inaczej jeszcze się zapytam. Od czego ten człowiek grac zaczął?

— Od pieniędzy przecież.

— A na czym skończył.

— Powiedziałem już, na życiu.

— Otóż nie wypływa z tego jeszcze, ie ten człowiek grał do ostatniej stawki, którą posiadał. W grze hazardów nie zawsze życie bywa stawką ostatnią.

— A jakąż?

— Czasem przedostatnią zaledwie. Czasem nawet ktoś, co postawił na hazard życie i przegrał je, dowiódł tem tylko, że umiał się dość wczesnie zatrzymać w szale...

— Nie rozumiem cię, hrabio.

— Wytlumaczę ci to zaraz, panie Amadeuszu. Biorę hazard w znaczeniu ściślejszem i obszerniejszem zarazem — bo nie obejmuje on tylko zielonego stolika ale i

życie całe człowieka. Otóż najpierw rzuca się naprzykład na hazard pieniądze,
potem marzenia, potem ostatnią nadzieję, potem sumienie i honor, na koniec życie.

Czy nie przypuszczasz, że można zmienić porządek tych stawek? Czy nie można naprzykład mając już tylko dwie stawki do stracenia: honor i życie, rzucić
wpierwej na igrzysko losu życie?...

— Nie tylko można, ale należy nawet... — potwierdził Amadeusz.

— Więc przekonałem cię! Nie zaprzeczysz mi bowiem, że życie, które się ceni
niżej od czci i honoru, ma jeszcze wartość wielką, a tem samem grubą jest
stawką!

— Masz rację hrabio.... — rzekł z zamyśleniem Amadeusz.

— Aj, jak to było geistreich! — zawołał Szwinder. — Tego trudno zrozumieć i tego
nie można zastosować według giełdy, ale to było geistreich! Ja passyami lubię
takie dysputy. My całemi godzinami tak dysputowali z moim bratem, doktorem
Arnoldem Szwinder, redaktorem od Neue freie Specular-
Presse !

Amadeusz, który z początku z niechęcią tylko brał udział w rozmowie, zajął się
nią teraz na prawdę.

Hrabia poruszył temat, który nie był obojętnym dla Amadeusza. Czując w sobie
niepohamowaną, namiętą skłonność do zuchwałego igrania z losem, do wszystkiego,

cokolwiek objętem być mogło hazardem, próbował nasz bohater nieraz zastanowić się głębiej nad tą właściwością swego charakteru, usprawiedliwić ją niejako osobnym, wyrozumowanym systematem.

— Istotnie, bardzo dowcipnie poprowadziłeś spór, panie hrabio — odezwał się po chwili namysłu — jednakże nie mogę rozumowaniu twemu przyznać innej zasługi, nad zasługę zręcznie kombinowanego paradoxu.

— Mój kochany Amadeuszu — odparł hrabia Daniel — rozmowa nasza poruszała się na polu, na którem paradox służyć musi za broń nieraz jedyna. Chodzi tylko o to, kto z nas oparł bardziej argumenta swoje na prawdzie, a przynajmniej na doświadczeniu...

— Otóż właśnie doświadczenie uczy — odpowiedział Amadeusz — że życie absolutnie nie da się pojąć bez ślepego igrzyska losu, co więcej, że całe nasze życie jest jednym hazardem tylko. Ludzie, którzy tyle prawią o tych ślepych trafach i igraszkach losu, z tysiąca wypadków hazardu znają tylko kilka i przed temi kilkoma drżą i przestrzegają. Tymczasem hazardujemy się co chwila prawie, przy każdym stanowczym kroku, nie wiedząc o tem wcale...

— Cóż tedy wypływa z tego?

— Wypływa z tego, że całą różnicę między ludźmi rozwagi a ludźmi hazardu jest ta, iż pierwsi nie wiedzą a drudzy wiedzą, że stoją pod zaklęciem tajemniczem

losu...

— Do którychże liczysz siebie, panie Amadeuszu? — zapytał hrabia.

— Bezwątpienia do drugich.

— A zatem, skoro wiesz, że stoisz wiecznie pod zaklęciem losu, że mimowoli

jesteś i będziesz przedmiotem jego igraszki, czyż nie wypływa ztąd wyraźnie, że

tem bardziej, tem ostrożniej liczyć się z nim musisz?... Tego właśnie domagałem

się w moich twierdzeniach, i dla tego uważam za rzecz konieczną:

pozostawić w rachubie życia zawsze jedną pozycję dla nieprzewidzianych zrządeń

losu....

— Pan hrabia zapomina jednak — odezwał się teraz Ożarko

— że wobec losu nie sama

tylko rachuba nam przysłużą....

— Cóż tedy?

— Pozostaje jeszcze walka z losem.

— Nie zapominam o tem — odparł hr. Daniel — ale to temat już inny. Mówiąc o

walce z losem, odbieglibyśmy od właściwego przedmiotu naszej rozmowy.

Pomienialibyśmy tym sposobem dwa różne zdaniem mojem pojęcia. Pan masz na myśli

ów los w zwykłym, codziennem pojęciu, wobec którego człowiek zajmuje stanowisko

biernie niejako — my zaś mówimy głównie o tym losie, wobec którego człowiek staje

na stanowisku czynnem, który sami wyzywamy zuchwale.

Mówimy o hazardach...

Zresztą, moi panowie, spór nasz już i tak przybrał zanadto wielkie rozmiary, skończmy go tedy.

— Nie! — ozwał się Amadeusz — pozwól mi jeszcze na jedno zagadnienie. Chcę stanąć jeszcze raz w obronie hazardu.

— Słucham.

— Czy nie wyobrażasz sobie hrabio żadnego hazardu szlachtetnego?

— Na pytanie, pytanie. Co rozumiesz pod szlachtetnym hazardem?

— Rozumiem hazard taki, który jest zasługą. Rozumiem pod nim namiętność dla ideału, dla szczytnego jakiegoś celu. Rzucenie wszystkiego drogiego, co się tylko posiada, na stawkę, poświęcenie szczęścia i życia dla szlachtetnego celu — nie jestże hazardem szlachtetnym? Nie hazardujęz siebie obywatel, skoro się poświęca z zapalem dla powszechnego dobra, nie hazardujęz siebie żołnierz w walce?...

— A! jestto niezawodnie hazard szlachtetny — odpowiedział hr. Daniel — ale jestto hazard w poetycznym, a nie zwyczajnym tego słowa znaczeniu! Taki hazard z hazardem, o którym mówiliśmy, ma tylko wspólność nazwy. Ale takie szlachtetne kuszenie losu nie jest już hazardem.

— Dla czego?

— Bo w takim hazardzie nigdy się nie przegrywa.

— Nigdy?

— Nigdy! Stawka jest tu nieskończenie niższą od wygranej. A wygrana zawsze jest po twojej stronie, czy stawkę stracisz czy nie.

— Jesteś niepokonanym — rzekł Amadeusz z uśmiechem i spojrzał na zegarek.

— Zdaje mi się przecież — odparł hrabia także z uśmiechem — że bardziej cię

znudziłem niż przekonałem. Czas skończyć naszą dysputę.

Rzekłszy to, hr. Daniel zadzwonił na służącego.

— Czy pani już ubrana? — zapytał.

— Pani hrabina jest już w salonie.

Amadeusz odetchnął głębiej. Porwał się z krzesła i podał hrabiemu rękę na pożegnanie.

Koniecznienie chciał on dotrzymać słowa sobie samemu, widzieć się z Sylwią,

niezważać na nic i mówić z nią stanowczo i otwarcie. Czuł, że zamiar to był

szalony, hazardowny, i właśnie dla tego wykonać go postanowił.

— Poczekaj, gdzie idziesz? — zapytał hr. Daniel — czy do mojej żony?...

Amadeusz potwierdził niemym ruchem głowy, usiłując przytem zachować minę swobodną.

— To dobrze — rzekł hrabia — pomożesz mi tedy pójść także do salonu. Pójdziemy

razem. I pan Zygmunt może raczy nam towarzyszyć. Pana Ożarki nie proszę, bo

wiem, że mi odmówi...

Istotnie Ożarko z kapeluszem w ręku i z dłonią wyciągniętą na pożegnanie, stał

już od chwili przy fotelu Daniela. Hrabia pożegnał go
uprzejmie, a potem
podnosząc się zlekka na fotelu, rzekł:
— Pomożesz mi tedy wstać. Tak jestem słaby, tak znużony!...
Zda mi się, że
wszystkie me siły ledwie wystarczą na same oddechanie.
Podajcież mi ramiona!..
Amadeusz zgrzytnął zębami. Zmusił się jednak do miny
uprzejmej i podał rękę
hrabiemu. Za jego przykładem poszedł także Zygmunt
Szarski, i tak niosąc prawie
na swych ramionach biednego, chorego człowieczka, obaj
zwrócili się ku drzwiom
wiodącym do salonu.
Za nimi toczył lokaj fotel hrabiego wraz z poduszkami i
ciepłym okryciem.
Szwinder, który zdawał się czekać inwitacji, stał na środku
pokoju, pozując się
o ile możności w najbardziej elegancką figurę. Gdy widział, że
hrabia z obu
młodymi ludźmi już odchodzi, wysunął się trochę naprzód, i
szurując nogami po
posadzce, zawołał za odchodzącymi:
— Sługa jaśnie pana hrabiego! Polecam się łaskawej pamięci
do dalszych
interesów. Proszę nie zapominać na Izydora Szwindera!
Hrabia zatrzymał się na chwile i zwracając się nieco w stronę
Szwindera,
odpowiedział:
— A! bądź zdrów panie Szwinder! Bądź zdrów i rób dobre
interesa, a miej tam
litość i nie cygań bardzo, kochanie!

— Pan hrabia chwala Bogu zawsze w dobrym humorze —
odparł Schwinder z uśmiechem.

— Ktoby już dzisiaj cygań, panie hrabio! Cygańić po
staremu, to strasznie
zacofana rzecz, a cygańić po nowemu — nu, to już nie
cygaństwo! Das ist nur
überlegener Geschäftsgeist, Herr Graf! U naszego kraju, ja to
jeszcze raz
powtórzyć będę musieć — dopóty...

— Dopóty nie zakwitnie przemysł — dokończył hrabia —
dopóki nie zniknie zupełnie
zacofane pojmowanie szachrajstwa, nieprawdaż, to chciaeś
powiedzieć, panie
Schwinder?.. .

— Prawie to samo — odparł z wesołym, cynicznym
uśmiechem Schwinder. — Ale żart na
bok, jasny panie hrabio. Otwieram od jutra wielki
Etablissement, Bank-
Commissions-Wechselstube! Najałem śliczny lokal! Proszę
pamiętać o mojej firmie!
To będzie pierwszy, postępowy kontuar do wszystkich
spekulacyi i interesów!

— Dobrze, dobrze — odparł hrabia — tylko tak dalej, a jak
powiedziałem, będziesz
jeszcze baronem! Adieu, panie baronie von Schwinderwind!
Słowa te wyrzekł hrabia już przy samych drzwiach do salonu,
a Schwinder raz
jeszcze kłaniając się wśród głośnego suwania nogami po
posadzce, uśmiechnął się
trochę szyderczo i rzekł już sam do siebie:
— Schwinderwind! Schwinderwind! Czemużby nie! Izidor
Schwinder Baron von

Schwinderwind?! Czy to nie echt aristokratisch nazwisko? I to
moje przyjść z
czasem!

— I tam za temi drzwiami — dodał wskazując oczyma na
drzwi do salonu — może
kiedyś będę! Mój brat, doktor Arnold Schwinder, redaktor, on
bywa sobie u
financministra na salonach, a financminister mówi do niego:
Mein lieber Doktor!

— Albo to jeden już został baronem von unsere Leut' ?.. —
mruczał do siebie
dalej, poprawiając śmiało przed zwierciadłem swej
pomarańczowej krawatki. — A
baron von Fleckeles, a baron Schnokeles von Schnokelgold, a
baron Wucherstein, a
Reb Ritter von Korkes, a Abraham Edler von Mandelpfandel!
Aj,

oni wszyscy żydzi od Jarosławia, od Drohobycza, od Lwowa,
a w Wiedniu oni dziś
są die wahre, goldene Blüthe des Adels!

I uśmiechnąwszy się raz jeszcze z upodobaniem do siebie
przed zwierciadłem,

Schwinder zadarł głowę do góry, i odbierając od lokaja
zarzutkę, pomacał się po

kieszeni i rzekł mu tonem bardzo dystyngowanym:

— Nie mam drobnych! Inszym razem!

V.

RYWALE I RYWALKI.

Zaledwie otwały się drzwi do salonu i w progu ukazał się hr.
Daniel, niesiony
prawie w powietrzu przez Amadeusza i Zygmunta Szarskiego,
kiedy już z żywością

młodziutkiej dziewczynki wybiegła naprzeciw pani Sylwja.
— A! papo, to ty! — zawołała piękna kobieta — i to z
gośćmi! Patrz ja tu mam
także gości...

— Bon jour! — zawołała z lekkim skinieniem głowy,
odpowiadając na ukłon
Amadeusza. — A! i pan Szarski tu! Witam, witam, panie
Zygmuucie, towarzyszu
zeszłorocznych moich wycieczek górskich! Ale iakże
niezgrabni panowie jesteście,
jak go nielitościwie szarpiecie! Puśćcież go, puśćcie zaraz, ja
go sama
odprowadzę!

I wygłosiwszy to wszystko jednym tchem, hrabina
wdzięcznym, zgrabnym ruchem
podała ramię Danielowi i nie zważając wcale na gości
odprowadziła go do fotelu,
który tymczasem ustawił już lokaj.

— Jak zdrowie, mon pauvre ami, mój drogi pacyencie? Ciągle
lepiej, nieprawdaż? —
mówiła pomagając Danielowi do zajęcia swego miejsca.
I jakby nikogo nie było w salonie oprócz niej i hrabiego
Daniela, z naiwnością
dziewczynki obsypywać go poczęła najczulszemi
pieszczotami.

Uklękła przed nim i obsypała całusami jego ręce, potem z
wdzięcznym i słodkim
uśmiechem białą swą dłonią pogłaskała twarz jego cierpiąca i
nachyliła mu do ust
czoło swoje.

Twarz hrabiego Daniela rozpogodziła się, z ust jego ustąpił
ów stereotypowy

uśmiech ironji, a przygasłe źrenice zdawały się rozpromieniać blaskiem wesela i pogody.

Ujął on w dłonie swe głowę Sylwji i nurzając je w bujnych, ciemnych splotach włosów, ucałował czule i jakby z rzewną jakąś wdzięcznością piękne jej czoło.

Amadeusz, który nie ruszał się od progu, stał nieruchomy i nie spuszczał oka z hrabiego. Na twarzy jego odbijała się całą siłą namiętność, zda się, że wszystkie fibry w niej zadrżały.

Nagle Sylwja powstała i zwracając się do gości, rzekła:
— Przepraszam panów... Źle wypełniam rolę gospodyni, ale mój Nelly, le bon, pauvre enfant, tak znowu dziś źle wygląda, tak mnie martwi! Nelly, niedobry Nelly!

Na te słowa hrabiny Amadeusz ocknął się, objął jej postać całą raz jeszcze płonąącym wzrokiem i posunął się machinalnie na środek salonu.

Hrabina, jeżeli to być mogło, jeszcze piękniejszą, jeszcze czarowniejszą była niż kiedykolwiek. Strój jej ranny, wykwintny choć bez pretensji, uwydatniał jaknajkorzystniej powab jej postaci. Jaśniała ona całym przepychem swych wdzięków a twarz jej opromienioną była bardziej niż zazwyczaj swobodą i wesołością.

Zbliżając się do Amadeusza, hrabina rzuciła na niego swe czarowne, upajające

spojrzenie i podając mu dłoń swą, rzekła:

— Pana Amadeusza, dwa razy powitać się godzi... Vous etes un revenant, aby się posłużyć najnowszym dowcipem! Ale już nic nie ma w panu z nieboszczyka!

— Ale żart na bok — dodała modulując głos swój dźwięczny w ton współczucia

lekkiego — tyle o panu mówiono!...

Dziękuję za współczucie — odparł Amadeusz, wpatrując się silnie w oczy hrabiny

i przytrzymując jej dłoń w swojej dłoni — dziękuję

podwójnie, tak jak pani

hrabina podwójnie mnie wita... Współczucie doznane bywa nieraz taką rozkoszą, że

warto dlań umierać...

W tej chwili zdawało się Amadeuszowi, że czuje silniejszy nieco uścisk pięknej

dłoni. Chciał tę dłoń przytrzymać jeszcze dłużej, ale hrabina umknęła jej nagle

i z uśmiechem żartobliwym rzekła:

— Jak widzę niczegoś pan na tamtym świecie nie zostawił, a przede wszystkim

galanterji...

— I owszem zostawiłem wiele illuzyj, a wyniosłem wiele wdzięczności — odparł

Amadeusz, który pamiętało szczegółach raportu, zdanego mu przez Henrflfa.

— Wszak to także illuzja.

— Ale najmniej niebezpieczna. Zostawiłem także wiele pragnień i nadziei...

— Tem gorzej...

— Ale wróciłem z jednym, najgłówniejszem....

— Tem lepiej.

— Przepraszam, że przerywam — odezwał się nagle hrabia Daniel — ale mówiłaś, że masz także gości? Nie widzę nikogo...

— Ach prawda! — zawołała hrabina — otóż widać, jak straszliwie jestem dziś roztrzepaną! Jest gość, jest, i to znany tu wszystkim! Zgadnijcie panowie, kogo zamknęłam tam w drugim pokoju! — Ślicznie się spisałam — mówiła dalej, podbiegając do drzwi ubocznych — trzymam mego gościa jak w więzieniu! I otwierając z lekka drzwi zawołała:— Wyjdźże, proszę, daremnie uciekłaś...

Musisz

wyść koniecznie. Sami znajomi i to dobrze znajomi I znikając na chwilę w ubocznym pokoju, powróciła niebawem ciągnąc po pod ramie młodą, pomieszana nieco kobietę.

Amadeusz i Zygmunt na widok jej porwali się równocześnie z fotelów i

równocześnie prawie odezwał się z ich ust stłumiony okrzyk: — Panna Irena!...

— Tak, panna Irena — powtórzyła Sylwia — gość bardzo rzadki u mnie, za co jej

tak mocno nie lubię, jak serdecznie kocham!

Panna Irena była to wysoka, smukła blondynka, tak niepospolitej, wybitnej

piękności, że rywalizować mogła z hrabiną Sylwią.

Twarz jej, ujęta jak w złote ramki w zwoje prześlicznych jasnych włosów,

ośniewająca przedziwną, świetlaną prawie delikatnością i białością cery, duże,

wymowne oczy, z których szafirowej głębi przyświecał urok
nadobności, szlachetny
wyraz regularnych, choć może za subtelnych nieco rysów,
postać wyniosła a
wdzięczna, powiewna a całym powabem form niewieścich
strojna, to wszystko
składało się na całość, która zająć i uwięzić zdołała
najwybredniejsze oko...
Splecione ramionami obie towarzyszki, przedstawiały
odmiennym typem swej urody
dziwnie uroczy widok.
Irena wszedłszy do salonu, rzuciła spojrzenie przelotne na obu
młodych mężczyzn
i zatrzymała się nagle, jakby doznała jakiegoś silnego a
niespodziewanego
wrażenia. Oczy jej podniosły się na chwilę, żeby się
zwrócić ku Amadeuszowi, a równocześnie rumieniec
pomieszania zmienił się na
dziwna bladość....
Poznać było można od razu, że piękna Irena doznała jakiegoś
głębokiego
wzruszenia.
Niemniej dziwne wrażenie malowało się na obu młodych
mężczyznach. Amadeusz wydał
się dziwnie pomieszany. Twarz jego przybrała wyraz pewnego
nieprzyjemnego
zakłopotania, malowało się na niej nawet trochę gniewnego
zdziwienia.
Zygmunta twarz na widok Ireny oblała się silnym pąsem, a
oczy jego błysnęły
żywiej. Ochłonawszy z tego pierwszego wrażenia, Zygmunt
objął Irenę przeciągiem

wejrzeniem, które następnie zwróciło się na Amadeusza i chmurnie ale badawczo utkwilo w jego twarzy. Chwilkę małą trwało to ogólne pomięszanie. Była to scena niema ale wymowna. Dość było, nawet niezbyt badawczym spojrzeniem objąć to małe grono gości, zgromadzonych w salonie pięknej hrabiny, aby domyśleć się od razu, że większa połowa obecnych znalazła się nagle w sytuacji bardzo fałszywej i prawie nieznośnej. Irena usiadła jakby machinalnie na kozecie obok Sylwji, a twarz jej oblaną była rumieńcem pomięszania. Amadeusz stracił zwykłą swobodę i gryzł usta z miną człowieka, na którego los sprzysiągł się, aby mu pokrzyżować wszystkie plany. Zygmunt z każdą chwilą zdawał się być bardziej rozdrażnionym, a oczy jego, ilekroć przestały spoglądać na Amadeusza, zwracały się ku Irenie. Jedna tylko hrabina Sylwja zachowała wszelką swobodę i humor najlepszy w świecie. — Nie prawdaż, co za rzadki gość? — ozwała się ściskając rękę Ireny. — Stęskniłam się za tobą na prawdę... A oprócz mnie zapewne ktoś jeszcze... Ostatnie te słowa wypowiedziała hrabina tonem figlarnej pustoty, i oczy jej, pełne uśmiechu, przeleciały po męskiej części towarzystwa.

Nie można było poznać, kogo miało na celu to spojrzenie.
Przebiegło ono po
Amadeuszu i Zygmuncie zarazem — i obaj je też wzięli do
siebie. Na obu bowiem
sprawiła ta lekka, złośliwa alluzja widoczne, choć
niejednakowe wrażenie.
Zygmunt zarumienił się jak student, Amadeusz
zaambarasował się jeszcze bardziej.
Irena jednak głównie poniosła kosztą tej małej złośliwości
swej przyjaciółki.
Chwilkę milczała głęboko pomieszana, a potem odparła:
— Wierzę ci, żeś trochę tęskniła za mną, bo i ja tęskniłam za
tobą, a ja wierzę
zawsze w wzajemność tęsknoty...
Przy tych słowach Irena nabrała trochę swobody, oczy jej
podniosły się śmielej
do góry, a Zygmuntovi zdało się nawet, że z wyrazem
jakiegoś wyrzutu spoczęły
chwilkę na Amadeuszu.
— Teorją trochę niesprawiedliwa... — ozwał się Amadeusz
głosem obojętnym.
— I co gorsza, nie uprawnia do wyrzutów... — dodała pani
Sylwja.
— Dla czego? — zapytała skwapliwie Irena, jakby ja uwaga
Sylwji mocno
zainteresowała.
— Bo daje zawsze dwom stronom równe prawa i równe
pretensje... — odparła z
uśmiechem Sylwja.
— Jak to pani rozumie? — zapytał Zygmunt, który czuł, że w
milczeniu swem pełnem
pomieszania trudno mu wytrwać dalej bez zwrócenia na siebie
uwagi.

Hrabina spojrzała na pytającego z uśmiechem ironicznym i odparła:

— Całkiem naturalnie. Nie tęsknic za kimś i upatrywać w tem dowód, że ten ktoś nie tęskni za nami, to znaczy, dawać takiż sam argument drugiej stronie... Moi panowie, nieprawdaż, że ktoś przecie pierwszy musi zacząć tęsknić?...

— Więc pani nie wierzysz w równoczesność jakiegoś uczucia? — zapytał Amadeusz, wpatrując się w Sylwję.

— I owszem, wierzę w nią — odparła hrabina z tym samym pustym uśmiechem, który dziś zdawał się nie chcieć ani na chwilkę opuścić jej różanych, pełnych usteczek

— wierzę w nią, panie Amadeuszu.. U was mężczyzn zwłaszcza, trafia się bardzo często.., ta równoczesność uczucia...

— Dla czegoż u nas tylko?...

— Bo równocześnie umiecie podobno szafować uczuciem swem na dwie strony...

— Pani hrabina jest sofistka — odparł Amadeusz — nie chciałem mówić o równoczesności uczucia, skierowanego ku dwom osobom, ale o równoczesnej jego wzajemności...

— W to nie wierze., stanowczo nie wierzę... — odparła hrabina.

— W żadnym wypadku?

— W żadnym... Powtarzam, zawsze ktoś zacząć musi pierwszy.

— Są uczucia, którym zaczyna się ulegać razem i jednocześnie.

— Na przykład?

— Miłość!...

— Voila le mot! — zawołała śmiejąc się Sylwja. — Miłość! miłość! Jak to u was gładko idzie! Jakąż to miłość stawisz pan za przykład?... Czy ową, która się w romansach "błyskawiczną" nazywa, ową na pierwsze wejrzenie?...

I śmiejąc się figlarnie, dodała z parodystycznym patosem:

— Coś jak w owej starej balladzie; "Spojrzał Lenardo, Blandyna spojrzała!..."

Amadeusz próbował zawtórzyć śmiechem swobodnym, lecz nie zupełnie mu się to udało.

— Ach! panie Amadeuszu — szczebiotała tymczasem dalej hrabina — o czymś podobnym powinniście raz przestać mówić!

— Dla czego? Mais c'est une fatuite! Jak można być tak zarozumiałym?

— Czyż to zarozumiałość, wierzyć w nagły, równocześnie budzący się instynkt serca?

— Zapewne! Wszakże tym sposobem wymaga się, aby kobieta ujrzawszy po raz pierwszy mężczyznę, natychmiast zakochała się w nim szalenie! Co za pretensja doraźnego zwycięstwa!

— Ależ to zwycięstwo zawiera w sobie zarazem i klęskę; azatem tryumf dzieli się w równej mierze...

— Albo to prawda! Zwycięstwo — klęska! Ani jednego, ani drugiej nie pojmuję bez walki!

— Zgoda! — zawołała Amadeusz, który zacząwszy rozmowę więcej z potrzeby niż z szczerzej ochoty, począł się coraz bardziej animować. —

Zgoda! ale w takim razie koniecznie także trzeba, aby druga strona nie była bierną... Do walki potrzeba dwóch stron przeciwnych i trzeba wyzwania...

— A przedewszystkiem równej broni.

— Jest to punkt, którego właśnie pani, stając w obronie kobiet, poruszać nie powinna...

— Bardzo to grzecznie — rzekła ziewając nagle pani Sylwia

— ale.... ale... cała

nasza rozmowa musi być nudną, bo patrzcież państwo, Nelly, biedny Nelly, usnął w najlepsze!

Istotnie hr. Daniel drzemał z pochyloną na piersi głową.

Hrabina natychmiast

położyła paluszek różowy na ustach i robiąc minkę

nakazującą, zwróciła się ku

hrabiemu. Lekkim krokiem, na palcach, przysunęła się do fotelu i przyglądając się

się z pewną czułością hrabiemu, rzekła do swych gości:

— Przejdźmy do drugiego pokoju, moi państwo... A nie zbudźcie mi mego biednego, chorego Nelly!...

Drugi, oboczny pokój, do którego pani Sylwia zaprosiła

swych gości, wyglądał jak

istna kwieciarnia. Gabinet ten był istnem cackiem. Go tylko smak i fantazja,

połączone z przepychem, uczynić zdołały, łączyło się tu w

jedną dziwnie uroczą

całość.

Jedno tylko, bardzo duże, w włoski łuk sklepione okno
oświetlało ten pokój —
którego meble składały się z samych otoman i kozetek.
Światło dnia barwiło się
od różowych firanek jakimś wielce uroczym, rzecz można
jutrzenkowym brzaskiem, i
jakby uśmiechem patrzyło na mnóstwo najpyszniejszym
egzotycznych kwiatów, które
przepełniały cały pokój.
W czterech kunsztownie lecz z całą swobodą fantazji i smaku
obmyślanych,
ogromnych grupach, stały w kątach olbrzymie egzotyczne
rośliny, kształtem
fantastycznym swych liści i przepychem barw kwiatu
przypominające
najwdzięczniejsza wegetację Wschodu. Ustawione na
etażerach o wykwintnej, pełnej
prawdziwego piękna formie, spletały się te kwiaty liściem
swem i kwieciem w
przepyszny chaos barw i zieleni.
Wśród ich cienia, dosięgane z lekka tylko promieniami
jasnego światła, lśniły
basenie ze szkła i marmuru, te ostatnie z prześlicznymi
ozdobami rzeźby, a
w nich płały złociste rybki, podczas gdy bukietem srebrnym
strzelały w górę
małe wodotryski.
Cztery te grupy kwiatów, połączone były niejako z sobą
żywymi festonami
bluszczu, który oplatając mozaikowane ściany salonu, siecią
zielonej koronki
obrzucał cały pokój... Kilka małych posążków z białego
marmuru, dłuta

wytwornego, dopełniało dekoracji saloniku — wznosząc swe
śnieżne czoła po nad
sploty kwiatów i bluszczów.

Cały pokój sprawiał dziwnie urocze, upajające wrażenie. Cały
on był przepelniony
światłem, zielenią i wonią — a balsamiczny chłód rzeźwił w
nim zmysły w
najrozkoszniejszy sposób. Był to ulubiony pokój hrabiny
Sylwji, w którym
spędzała skwarne dni letnie, jeśli choroba Daniela nie
pozwoliła jej opuszczać
miasta.

W małym tym, rozkosznym przybytku kwiatów i woni małe
nasze grono usiadło na
otomanach, a po napomnieniu Sylwji, aby po cichu mówiono i
nie przerywano snu
Danielowi, rozpoczęła się na nowo rozmowa.

Konwersacja nie szła jednakże składnie. Amadeusz był nie
kontent i dziwny jakiś
rozstrój malował się w całym jego usposobieniu. Zygmunt był
smutnym, rozmarzonym
i milczącym, Irena dotąd nie mogła otrząść się z pomieszenia.
Jedna tylko
hrabina zachowała ton swobodny i wesołość, ale wszelkie jej
usiłowania, aby
ożywić rozmowę, były daremne.

— W dziwnym jesteście humorze, moi państwo — ozwała się
Sylwja — i możnaby
naprawdę pozazdrościć Danielowi jego drzymki! Panie
Amadeuszu, jesteś pan
nieznośnym dzisiaj... Kiedy nie idzie nam rozmowa wspólna,
to opowiadaj pan

przynajmniej. Tyle nagadano się o panu i o pańskich
dziwnych przygodach, że
byłabym bardzo ciekawą, mieć do tego wszystkiego
komentarz z ust pana...

Amadeusz korzystając z tego zagadnienia powstał z oddalonej
nieco od Sylwji
kozetki i usiadł tuż koło niej. Wzrok Ireny towarzyszył mu w
tym ruchu, a piękna
twarz blondynki zbladła nieco. Wkrótce jednak odwróciła
oczy od Amadeusza i
zwracając się ku Zygmuntowi rzuciła mu jakieś obojętne
zapytanie. Zygmunt
skwapliwie podchwycił zapytanie i z nietajonem
ukontentowaniem zbliżył się ku
Irenie.

Tymczasem Amadeusz pospieszył z odpowiedzią hrabinie.
— Interesowano się mną więcej, niż należało — rzekł do niej
— i przejść musiałem
przez cały czyściec najrozmaitszych plotek.
— Rozpowiadano formalne awantury o panu...
— Tymczasem szło o rzecz najpospolitszą w świecie —
uzupełnił Amadeusz...

Chodziło o stosunki tak płaskiego, bo czysto materialnego
rodzaju, że znudziłbym
panią śmiertelnie, gdybym chciał o tem opowiadać. Znajomi
moi łamali sobie po
prostu głowę nad
zagadką, co pocnie człowiek, który na chwilę ujrzał się
wyrzuconym z
dotychczasowej majątkowej pozycji...

— Owszem, rzecz to bardzo zajmująca — odparła hrabina —
bo zakrawała na bajko

arabską... Mówiono o jakimś' tajemniczym, nagłym spadku —
miał to być cały
romans fantastyczny. A propos! Mój panie Amadeuszu, czy
pan wiesz, że obiegała
nawet jednego dnia wieść, żeś sobie życie odebrał!...
Amadeusz uśmiechnął się i zapytał:
— A pani, czy wierzyłaś temu?
— Nie znając pana dość dobrze, nie mogłam robić żadnych
przypuszczeń.
— I jakież to sprawiło wrażenie? — zapytał dalej Amadeusz.
— Na mnie... żadnego...
— Jakto, żadnego? — zapytał Amadeusz.
— Nie miałam ani prawa, ani obowiązku żałować pana.
— Co do obowiązku, wierzę, ale co do prawa, nie... Któż nie
ma prawa być
litościwym?...
— Cóż panu byłoby po tem — odparła Sylwja — tyle razy
słyszałam z ust pana, że
litość jest to najpobożniejszy sposób wyrządzenia komuś
urazy....
— Nie cierpię w ogóle litości, ale drogą by mi była przecież w
jednym,
wyjątkowym razie...
— W jakim, jeżeli wolno zapytać?
— Gdyby nie była chrześcijańską cnotą tylko, ale egoizmem
poniekąd...
— Litość z egoizmu! A! to wybornie! Jestto zagadka, której
nawet pan sam
rozwiązać nie potrafisz!...
— Rozwiązałbym ją, gdyby mi było wolno....
— Nim panu pozwolą, ja ją panu rozwiążę. Litość z egoizmu
— to nic innego, jak
chyba litość nad sobą! Nieprawdaż?...

— Niezawodnie!

— Takiej więc litości lubisz. pan być powodem?

— Tak jest; być powodem takiej litości u pewnych wyjątkowych osób, byłoby dla mnie szczęściem.

— Wyjątek na wyjątek! Gzy potrafiłbyś pan wymienić jedną taką osobę?

— Mógłbym od razu, nie namyślając sio, i bez wyboru... Znam bowiem jedną, jedyną tylko taką osobę...

— Rozciekawiasz mnie pan na prawdę... Kogoż to...

— Panią!

— Mnie! — zawołała Sylwja mierząc z uśmiechem Amadeusza. — Komu pan chciałeś powiedzieć niegrzeczności, mnie czy sobie?

— Prędzej sobie i światu całemu... Ale nie rozumiem tego zapytania...

— Jaktó, powiedziałeś pan, że lubisz tylko litość z egoizmu, to znaczy, litość nad sobą... Więc litując się nad panem, musiałabym litować się nad sobą!

Każde uczucie na korzyść drugiej osoby, musi mieć coś z abnegacji...

— Doznajesz pan w tej chwili jakiego uczucia?...

— Aż do namiętności! — rzekł stłumionym głosem Amadeusz i objął płomiennym spojrzeniem piękna hrabinę.

— Jakaż tedy łączy się z niem abnegacya?

— Najsrozsza, jakiej doznać można — odparł tłumiąc do szeptu głos swój Amadeusz.

— Łączy się z niem przymus gwałtowny, niedozwalający ustom wymówić słowa, które się wydziera z serca...

Sylwja słuchała dotąd prawie niedbale i odpowiadała tonem swobodnym, jakby chodziło w całej tej rozmowie tylko o grę dowcipu. Kiedy Amadeusz zdawał się tracić wszelką zimną krew i unosić się — Sylwja rzuciła spojrzenie na przeciwną stronę pokoju, jakby ja zaniepokoił świadkowie tej całej rozmowy.

Zygmunt oglądał razem z Ireną jakiś zbiór sztychów angielskich — ale wzrok jego rozmarzony i uniesiony zarazem nie zajmował się w istocie rysunkami, ale tkwił nieustannie w twarzy Ireny.

Irena pochylona nad albumem, zdawała się być niem zajęta, ale dziwne wzburzenie malowało się na jej pięknym obliczu, które to bladło to rumieniło się na przemian.

Sylwja uspokojona nieco, pochyliła się z niedbałą ale nieporównaną gracyą na otomanę a zrywając kwiat purpurowy bawiła się nim, i zdawała się z zajęciem słuchać zwierzeń Amadeusza...

Amadeuszowi zdawało się nawet, że pierś jej wznosi się tchem przyspieszonym, i że karminowe usta pięknej hrabiny, które rozwarły się zlekka półuśmiechem, drżą nie znacznie....

— Słowo, które się wydiera z serca... — powtórzyła po chwili Sylwja tonem powolnym a zagadkowym, bo zarówno zajęcie jak ironię wyczytać w nim było można.

— Gzy tak pan powiedziałeś? — dodała natychmiast, ale tym razem głos jej przybrał cechę swawolną i figlarną.
Amadeusz potwierdził lekkim westchnieniem.
— Biedne serce! I jedno tylko słowo, jedno słowo, ma serce to do powiedzania?
— Jedno tylko — powtórzył Amadeusz, nie uważając szyderstwa w głosie i spojrzeniu pięknej hrabiny.
— To pewnie nie pierwsze!
— Ale ostatnie!
— To serce pańskie nie bardzo wymowne.
— Słowo to cały świat mieści w sobie, cały świat marzeń, namiętności, pożądań, nadziei, rozpaczy...
— Ale jest ostatnie... Szkoda!
— Dla czego pani żałujesz tego? — Bo tego słowa nie usłyszę...
— Od pani zależy, abym je wypowiedział...
— Nie mogę tego żądać... Jeżeli pan wypowiesz to ostatnie, najostatniejsze słowo, cóż panu pozostanie?
— Odpowiedź...
— Czy także słowem ostatniem...
— Choćby pierwszym...
— Czy jednym tylko? — Jednym,..
Sylwia rzuciła kwiat na ziemię i chwytając natomiast gałązkę bluszczu, co się tuż obok niej spuszczała ku otomanie, obwinęła nią białą swa szyję, robiąc sobie rodzaj kolji zielonej...
— Więc zrobmy układ z sobą... — rzekła nagle i spojrzała z uśmiechem na

Amadeusza.

— O co? — zapytał Amadeusz, chwytając to spojrzenie jak więzień jasny promień

słońca, wdzierający się do ciemnej celi.

— O to słowo. Pan mi powiesz to słowo?

— O pani! Czy wolno mi będzie?..

— Pan mi powiesz to jedno słowo — mówiła Sylwja, nie zważając na zachwyt, który

się malował w oczach Amadeusza — pan mi powiesz to jedno, ostatnie słowo... Ale

pamiętaj pan, ma to być jedno tylko słowo! Zgoda?

— Zgoda, ale stawię warunek. Pani mi odpowiesz?

— Niech i tak będzie, ale także tylko jednym słowem.

I pochylając nadobną swą twarzyczkę ku ziemi, z lekkim rumieńcem, jakby od

zawstydzenia, zapytała:

— To słowo?...

— Kocham! — odparł Amadeusz tłumiąc swe uniesienie.

— Kogo? — odpowiedziała Sylwja.

Amadeusz chciał odpowiedzieć i usta zadrżały mu już pod słowem, które się na nie

cisnęło, ale w tej chwili hrabina porwała się szybko z miejsca i kładąc palec na

usta szepnęła:

— Ani słówka więcej. Układ z stron obu dotrzymany. Na jedno słowo odpowiedziałam

jednym słowem!

I podbiegła szybko ku Irenie, oplótła jej szyję swymi ramionami i całując ją w

czoło zawołała pustym głosem:

— Dowiedziałam się wielkiego sekretu... ogromnego sekretu!..

— Cóż takiego? — zapytała Irena, zmuszając się do wesołego uśmiechu.

— Słuchajcie! — odpowiedziała hrabina tonem ironicznej powagi — pan Amadeusz... kogoś kocha!...

Irena spłonęła na chwilę rumieńcem a potem twarz jej okryła się bladością...

Wyrwała się z objęcia hrabiny — a oczy jej rozognione spoczęły chwilę na

Amadeuszu. Amadeusz był gniewny i pomieszany. Znajdował się w sytuacji, z której nie widział wyjścia. Szukał daremnie jakiejś żartobliwej odpowiedzi, ale myśl odmówiła mu posługi.

Stał jak żak, pokonany i zawstydzony przez piękną hrabinę.

Głos hr. Daniela

odzywający się z drugiego pokoju wyratował go z tego przykrego kłopotu. Na głos

męża Sylwja poskoczyła jak łania i zniknęła w drugim pokoju. Za chwilę odezwał się głos jej, wołający gości do salonu.

Hrabia Daniel powitał powracających uśmiechem uprzejmym.

— Przepraszam, najmocniej przepraszam — rzekł do gości — ale nie spałem dziś noc

całą, a sen teraz zdradziecko mnie opadł... Czy długo drzemałem?...

— Pan Amadeusz bawił mnie tak interesującą konwersacją — odpowiedziała Sylwja —

że nie miałam czasu spojrzeć na zegar.

— O czymże mówiliście? — zapytał hr. Daniel z zwykłym swym ironicznym uśmiechem.

— O czym mówiliśmy panie Amadeuszu? — powtórzyła najswobodniej hrabina. — A!...

podobno o ostatnim jakimś słowie, które leży potąd na dnie
serca pana

Amadeusza...

— Czy to ostatnie słowo jest ostatnią stawką twego serca? —
zapytał żartobliwie
hrabia.

— Hrabia nie zapomniał jeszcze o naszej rozmowie... —
odparł siląc się do
swobody Amadeusz.

— Istotnie śnił mi się nawet ciąg jej dalszy. Mówiąc o
igrzyskach rozmaitych,
zapomnieliśmy o ślepej grze miłości i o hazardach serca...

— O strzeż się pan, panie Amadeuszu — zawołała Sylwja —
to hazard

najniebezpieczniejszy!

— Późna przestroga!

— Miałem tedy rację — wtrąci? tonem żartu hr. Daniel —
mówiąc o stawce

ostatniej... Jakież szansę? Czy wygrasz?

Amadeusz milczą? chwilkę, a potem porywając za kapelusz,
rzek? z rozdrażnieniem:

— Wygram!

Hrabia Daniel ziewną?, jakby zapomniał o wszystkim. Potem
wsta?, skłoni? się z

uśmiechem towarzystwu, ucałował czoło hrabiny i powolnym
krokiem, opierając się

na lasce, wyszedł z salonu.

Irena, która dotąd albo siedziała milcząc, albo prowadziła
obojętną rozmowę z

Zygmuntem, zabierała się także do wyjścia.

Amadeusz już z kapeluszem w dłoni zbliży? się do Sylwji i
podając jej rękę,

rzek?:

— Winienem pani odpowiedź! Upomnę się o wysłuchanie tej odpowiedzi. Przysięgam —

dodał cichym, wzburzonym głosem — że pani musi usłyszeć odpowiedź!

— A toż na co? Nie pytałam o nic?

— Przed chwilą zapytała mnie pani: "kogo?"

— A! przypominam sobie — zawołała Sylwja — i na to pan masz odpowiedzieć? Ależ

ja pana uwalniam od odpowiedzi!

— Nie mogę być posłusznym.

— Ależ ja nie ciekawa, panie Amadeuszu.

— Więc pani wiesz....

— Można niewiedzieć, a nie być ciekawym — odparła szybko Sylwja i pospieszyła ku

Irenie, która ubrana już zwróciła się ku niej z pożegnaniem.

— To demon nie kobieta! — szepnął do siebie Amadeusz, przygryzając wargi od wzburzenia.

W tej chwili żegnając się, Irena podała mu rękę. Amadeusz pospieszył uścisnąć

dłoń podaną, a przy tej sposobności wzrok jego spotkał się z wzrokiem Ireny.

Oczy pięknej blondynki pałały gorączkowo i zdawały się chcieć dotrzeć do duszy

Amadeusza.

Nie wypuszczając dłoni Amadeusza z swej dłoni, Irena stała chwilę, jakby w

zupełnem zapomnieniu. Amadeusz czuł drżenie ręki Ireny, a wzrok jej mieszał go

dziwnie. Nie mógł wytrzymać tego spojrzenia i spuścił oczy ku ziemi...

Irena nagle zachwiała się i nie wydobywszy z siebie żadnego głosu, padła na

ziemię. Sylwia wydała okrzyk przestachu i rzuciła się ku zemdlonej... Amadeusz chciał upadającą spiesznie podtrzymać, ale w tej chwili Zygmunt zbliżył się i podnosząc Irenę z ziemi, odtrącił na bok Amadeusza, rzucając mu spojrzenie pełne oburzenia i gniewu....

VI.

KARJEROWICZ I MILIONERISSIMUS.

Wróćmy teraz do jednej z figur naszej powieści, którą już trochę znają nasi czytelnicy. Figurą tą jest p. Albin Wywilski, z którym to miał Amadeusz rozprawę na owym wieczorku kawalerskim. Kto był p. Albin i czym się trudził? Na to pytanie moglibyśmy odpowiedzieć jednym słowem: był to karjerowicz. Słowo to jednak nie wystarcza nam zupełnie do scharakteryzowania Albina Wywilskiego. Różne bywają na świecie karjery i różni ciem samym karjerowicze. Wywilskiego zaliczylibyśmy do jednego z najcharakterystyczniejszych moich, a najświetniejszych i najsubtelniejszych zarazem rodzajów karjerowiczów: do takzwanego karjerowicza salonowego. Wywilski był typem karjerowicza, który za pole swego działania wybrał sobie salon i takzwaną wielką świat. Człowiek ten mógł uchodzić za jęzusza między karjerowiczami. Przewyższał on

wszystkich swoich kolegów zawodu o cały horyzont sprytem niesłychanym,
bystrością zdumiewającą. Nikt tak jak on nie odgadł i nie posiadał tej tajemnicy,
jak połączyć brak majątkowych funduszków z egzystencją dostatnią, prawie zbytkowną, a lekceważenie wyższych skrupułów sumienia z wszelkimi pozorami przyzwoitego człowieka.
Pochodzenie jego, stosunki rodzinne, cała przeszłość, okryte były mrokiem zagadkowym. Mieć wiele do zdradzenia a nie zdradzić się nigdy, być zagadką, a nie dać się rozwiązać, jest to zawsze sztuką niepospolitą. Sztukę tę posiadał w najwyższym stopniu Wywilski.
Miał on najściślejsze stosunki z całą niemal młodzieżą arystokratyczną w stolicy, znachodził wstęp do najświetniejszych salonów, liczył się w kontyngens wykwintnego towarzystwa — ale gdy kto z obcych zapytał: — Kto jest właściwie ten p. Wywilski? — z pewnością innej nie otrzymał odpowiedzi, jak następująca:
— Wywilski? Kto jest Wywilski? Wywilski jest to... Wywilski!... No cóż ja wiem, c'est un bon garçon, un aimable compagnon... Należy do najlepszych viveurów i koniec.
— Czy ma jaki majątek?
— Wiesz, nie wpadło mi nigdy na myśl pytać o to... Coś oczywiście mieć musi, bo żyje sobie wygodnie...

Na temby się ograniczyły wszelkie wskazówki co do p.
Wywilskiego.
Zkąd się zjawił w stolicy, tego nikt nie wiedział, a po kilku
latach nawet
nikogo to nie obchodziło. Zresztą należało to do
najpiękniejszych talentów
Wywilskiego, pojawiać się zgrabnie, w porę, i z szykiem.
Znał formy doskonale i wiedział, że ma do czynienia głównie
ze światem, któremu
najczęściej forma wystarcza za wszystko.
Znał na palcach wszystkie sekreta, służące do zwrócenia na
siebie uwagi,
wybornie przyswoił sobie gentlemańską rutynę, jak
Bulwerowski Pelham znał kodeks
dystynkcji, począwszy od paragrafów tyczących się
garderoby, aż do warunków
kuchni, którą się człowiek arystokratycznego poloru żywić
powinien.
Gdy przybył do stolicy, pojawił się najpierw kilka razy na
balkonie w teatrze,
potem zaprezentował się w loży, potem przejeżdżał się
eleganckim factonikiem,
potem poafiszował się romanssem z aktorką, potem przegrał w
kole złotej młodzieży
kilka set reńskich z najlepszym smakiem, potem brawował
zakładami na wyścigach i
popisywał się znajomością sportu.... potem pojawiła się W
niektórych domach
wpływowym
karta z napisem Le chevalier Al. Wywilski, a potem za karta
pojawił się i sam
jej właściciel.

Pojawił się i podobał. Był "dobrze", miał wiele szyku, mówił gładko po francuzku, opowiadał wiele o zagranicy i niedbale o wysokich przebąkiwał koneksjach.

Za miesiąc poznał się z kilku lwami, za dwa miesiące poczęło go protegować lwic kilka, za trzy miesiące bywał tu i owdzie, za rok wszędzie.

I nie można się było temu dziwić nawet. Wywilski miał tyle pięknych talentów!

Był tak doskonałym petit maitrem, umiał tak przyjemnie bawić młodzież, aranżował tak wybornie wieczorki, był tak znakomitym konessorem kobiet, zrobił się tak potrzebnym każdemu, kto tylko chciał być bon vivant'em, ogrywał z taką gracją swych towarzyszy, tak zgrabnie pośredniczył w bezkrwawych pojedynkach, miał tyle z tego popłatnego, salonowego je ne sais quoi — że wolno mu było rósć tam gdzie go nie posiano, że jeżeli go nie zupełnie akceptowano, to go przynajmniej tolerowano.

Dla intruza zwykle tolerancja jest już osiągnięciem najważniejszego celu.

Osiągnąwszy cel ten Wywilski był jakby w domu.

Zaklimatyzował się, i kombinował plany dalszej kariery, Plany te były dość przezrocyste. Gdzie tylko znajdowała się panna posażna, tam najczęściej kręcił się p. Albin, gdzie tylko była

kobieta, choćby nie młoda już i wdziękiem nie grzeszna, byle miała wolną rękę, a w wolnej ręce kluczyk, a do kluczyka kasę, a w kasie pieniądze, tam już z pewnością spotkać się można było z śladami Albina.

Tymczasem z czego żył, czem opędzał koszta wykwintnej na pozór przynajmniej egzystencji — o to nikt nie pytał. Wywilski nie siał i nie orał i Pan niebieski

nie żywił go także — ale przecież umiał on się utrzymać na stopie dość świetnej.

Jak? niewiadomo było. Wiadomo było tylko, że lubił grywać namiętnie, że p. hr.

Beta przegrał raz do niego . p. Gama . , p. Delta kilkanaście nawet.

Ale komuż wpadło na myśl bawić się addycją takich dochodów! Faktem było, że p.

Albin grał przyjemnie, przegrywał jeszcze przyjemniej, a wygrywał najprzyjemniej.

Zazwyczaj bywał najprzyjemniejszym.

Amadeusza lubić musiał bardzo a bardzo, bo zawsze był w obec niego

najprzyjemniejszym przy zielonym stoliku. Jak się atoli ten przyjemny stosunek

skończył, jak przyjemnie rozmówił się Amadeusz z przyjemnym panem Albinem i jak

to musiało być w końcu przyjemnie temuż panu Albinowi — o tem już wiedzą nasi czytelnicy.

Wywilski gdy wrócił do swego dawnego mieszkania, które miał już opuścić, aby

przenieść się do apartamentu Amadeusza, jako jego spadkobierca, i w którym wszystko było już popakowane, doznawał zapewne uczucia Adama, wypędzonego z raju.

Wywilski był zmiészany i zgryziony. Obelga, której doznał nie oburzyła go w gruncie, nie wprawiła w gniew szlachetny, bo gniew taki był obcem dla niego uczuciem. Ale scena, która odegrała się przy tak licznych świadkach, kompromitowała go ogromnie, zachwiewała jego reputację — psuła mu karierę.

Wywilski obliczył, ile mu szkody wyrządzić może zajście z Amadeuszem i dopiero rezultat tego obliczenia, dopiero widok zagrożonych interesów, wzbudzał w nim gniew i nienawiść.

Wrócił do domu zadumany, ponury, niespokojny, i mimo bardzo spóźnionej już pory, ani pomyślał o spoczynku. Nie zapalił nawet światła, ale rzuciwszy się na sofę w ciemnym pokoju, począł myśleć i rozważać wszystkie możliwe następstwa całej affery.

— Do stu szatanów! — zawołał sam do siebie — czyż popełniłem nieostrożność jaką!

Ktoż u licha mógł przypuszczać, że ten bankrut zjawi się tuż nazajutrz z krociami w kieszeni!... że mu jakiś głupi djabeł przystawi złotą flotę.

— Zrobił mi brzydką scenę! To rai mocno szkodzić może — rozważał dalej w myśli —

to mnie kompromituje... Prowokował nawet pojedynek. Dał mi nawet wskazówki,
przez kogo mu mam powiedzieć jutro: Dzień dobry!
— Wszystko to głupstwo — mówił do siebie dalej w myśli. —
Nie takie to straszne
rzeczy! Ci wszyscy głupcy byli pijani, który z nich będzie pamiętał jutro,
co się dziś stało? Załatwię to gładko, nie tak jestem skory do słuchania
gwizdających kul, jak ten warjat! Pocieszywszy się tak w duchu Albin wstał i
przeszedł się kilka razy po ciemnym pokoju.
— Ale ten przekłety człowiek moje mi zawadzać, zawadza mi już nawet, krzyżuje mi
plany wszystkie. Gdybym tylko wiedział, jaka jest sytuacja jego istotna, czy na
prawdę zmieniła się pomyślnie?.... At! dajmy temu pokój, zrekonstruujmy jutro
stan rzeczy — a potem zobaczę co nastąpi: kapitulacja czy wojna?..
Tak rzecz rozważywszy Albin zapalił świecę, przetarł znużone bezsennością oczy i
usiadłszy przed biurkiem" rozpoczął przegląd swych kieszeni. Przy tej rewizji
rozpogodziła mu się twarz nieco, a na usta wystąpił nawet lekki uśmiech
zadowolenia.
Począł wyrzucać na biurko pomięte pliki banknotów, a niebawem urosła ich dość
spora kupa:
— Opima spolia! — mruknął sam do siebie Albin — wieczór był szczęśliwszy niż
kiedykolwiek!

Sięgnął do ostatniej, jeszcze niewypróżnionej kieszeni
piersiowej i wyrzucił z
niej noty bankowe na biurko.

Wraz z pieniędzmi wypadł mały, elegancki liścik, Gdy go
Albin ujrzał, zapomniał
o pieniądzach i zawołał:

— A! o tej zdobyczy zapomniałem! Kto wie, może ona być
cenniejsza niż moneta!

List ten był to ten sam, który na owym wieczorku,
wyprawionym przez Albina w
pomieszkaniu Amadeusza, jeden z gości znalazł na kominie.
Jak sobie czytelnicy przypominają, rozochoceni, na pół pijani
goście rozgrywali
się o ten liścik i Albin go wygrał.

— Monsieur Amadee Ordawski — odczytał Albin adres. —
Ręka widocznie kobieca,
litery jak perełki!

— Na pieczętce — mrucał dalej list oglądając — korona i I.
Bilecik woniejący, i
bezwątpienia słodki! Już to Amadeusz szczęśliwym bywał
zawsze w takich
intrygach... Ale zobaczmy!

I nie czując najmniejszych skrupułów, Albin zgrabnie oderwał
pieczętkę i
wyciągnął list z koperty. Przebiegł szybko oczyma wiersze
napisane.

— Wybornie! — zawołał — przepysznie!

I powstawszy nagle od biurka, przeszedł się z zadowoleniem i
szybko po pokoju.

— Kiedyż to? W piątek? Tak jest w piątek! — mówił do
siebie zaglądając do listu.

— Dziś mamy czwartek. Jutro tedy!

Albin złożył list starannie, wsunął go do koperty i schował do biórka.

— Co za szalone szczęście ma ten człowiek! — zawołaj —
gdybym miał choć cząstkę
tego szczęścia! Ale tym razem obejdzie się może bez tego —
wystarczy rozum i
zręczność...

Zadzwoił silnie i przeciągle. Po kilku minutach pojawił się w
pokoju zaspany
służący.

— Słuchaj, gdybym jutro długo spał, zbudź mnie! Gdy
służący odszedł, Albin
począł się rozbierać powoli, rozmyślając ciągle i kombinując.

— Jutro wieczór... — powtarzał sobie z listu — o godzinie tej
lub itej... W

parku, w grocie lewej... furtka będzie otwarta.... Dom sam stoi
obecnie pustką!

— Mały plan kampanji mam już gotów — rzekł po chwili do
siebie — a kto wie, czy
ten na pozór tak drobny wypadek z tym liścikiem, nie będzie
dla mnie zyskiem
ogromnym.

— A gdyby go sprzedać? Ach! jak dobrze by go sprzedać
można: Najpierw Amadeuszowi

— potem jej samej? Cha! cha! zapewne bardzo chętnie by go
wykupiła... Zobaczymy!

I jakby na głośne stwierdzenie ukontentowania swego, Albin
Wywilski zagwizdał

sobie jakąś wesołą aryetkę. Potem znalazłszy się już w łóżku
zapalił sygaro,

zgasił świecę, i myślał dalej:

— Jutro tedy rozpoczynam kampanję — rzekł sobie znowu.

— Najpierw dyplomatyczna

wizyta... a potem romantyczna wyprawa... Mamy teraz pełnię... — dodał patrząc na blask księżycowy, który się przedzierał przez spuszczone firanki. — Będzie to romantyczna wyprawa... Qui pro quo wycięte z romansu, oprawione, w tajemnicze ramki nocy, oświetlone światłem księżycy... Co najmniej zabawię się dobrze, nie ponosząc żadnych kosztów...

Na drugi dzień Albin mimo nieprzespanej nocy bardzo wcześnie się obudził.

— Godzina ósma dopiero! — rzeki do siebie patrząc na zegarek! Za trzy godziny rozpoczynam kampanję, za godzin dziewięć będę samozwańczym bohaterem sceny tajemniczej... I tak mi będą świecić gwiazdy, jakby jemu!... Zaczynam być niecierpliwym! Jest to wada, którą po raz pierwszy dopiero odkrywam w sobie...

Jakoż niecierpliwość ta wypędziła Albina z łóżka, choć nie było zwyczajem jego wstawać o tak ранней porze. Ubrał się w szlafrok i rozpoczął przechadzkę po pokoju, rozmawiając sam z sobą.

— A jeżeli przyjdzie tam prawdziwy bohater?... Jeżeli się pojawi Amadeusz, uprzedzony o wszystkim innym sposobem?... Nie, to być nie może. Ten szaleniec utonął w pięknych oczach pani hrabiny Ahaswerowej i nie pamięta już o dawnych związkach.

— A jeżeli nie będzie bohaterki? — ciągnął dalej Albin. — Choćby i tak się

stało, nie stracę nic na tem, a zyskać mogę wszystko!

Służący przynosząc herbatę przerwał mu monolog.

— Słuchaj — zawołał do niego Albin — na godzinę jedynastą zamów mi powóz...

Przygotuj mi frak czarny i co do tego należy! A teraz ruszaj i nie przeszkadzaj mi!

Po zniknięciu służącego Albin na nowo począł się przechadzać i rozmyślać.

— Albo on będzie i ona będzie — mówił do siebie — albo ona będzie a jego braknie, albo może on sam tylko będzie, a ona zawiedzie, albo nareszcie do licha nie będzie nikogo!... Kombinacje najrozmaitsze niema co mówić, ale to pewna: że ja będę...

Długo jeszcze tak rozprawiał się z własnymi myślami Albin, aż nareszcie widząc, że zbliża się godzina ta, wypił spiesznie zimną herbatę i począł się starannie ubierać.

Wkrótce był ubranym a równocześnie prawie wybiła godzina jedynasta.

Albin wszedł do powozu, który stawił się punktualnie na czas oznaczony i zawołał do woźnicy:

— Do pana Żywickiego, na jezuicką!...

Powóz ruszył a Albin naciągając rękawiczki, uśmiechnął się z zadowoleniem i szepnął sobie:

— I niech mi kto powie, że nie mam jeniałnych pomysłów! Zobaczymy, co powie

Milioneerissimus, gdy się dowie, że tak dobrze znam jego stosunki!

Za kilka minut powóz stanął u celu. Wywilski wyskoczył, a znalazłszy się na pierwszym piętrze, zadzwonił i kazał się lokajowi, przybranemu w bogatą liberję, zaanonsować.

Nie wiem, czy jasny pan... dzisiaj... tak rano... — zauważył mrukliwie galonowany Gerber.

— Powiedz panu — rzekł Wywilski tonem ostrym i stanowczym, który zaimponował mocno kamerdynerowi — że w interesie specjalnym, pilnym. Za chwilę wrócił lokaj i zaprosił Albina do salonu.

Przybierając minę pełną kontenensu i strojąc usta swe w grzeczny a tajemniczy zarazem uśmiech, Wywilski wszedł do salonu.

Salon ten jaśniał przepychem magnackim, uderzając zarazem bogactwem jak wysoce arystokratycznym smakiem.

Nie było w nim jeszcze nikogo. Albin usiadł na fotelu i rozglądając się dokoła, zawołał:

— Pięknie sobie mieszka — ten pan Milioneerissimus! Niedarmo go tak nazwano! Co za przepych i zbytek! Przypominam sobie, że mi opowiadano, że p. Żywicki ma trzy salony do przyjmowania, według rozmaitego stopnia gości! Coś jak słup ów na podwórzach ma gnackich z trzema kołkami, złotem, srebrnem i zelaznem, o których gdzieś czytałem.

— W którym też salonie się znajduję? — zapytał Wywilski oglądając obrazy na ścianach — w najpierwszym czy w ostatnim?

— Hm! jeżeli w ostatnim, szaraczkowym, o czym bym z pozoru mógł wątpić; to trzeba się tak zwinąć, abym drugi raz znalazł się w najpierwszym. Jeżeli zaś jestem w najpierwszym, trzeba się trzymać, aby nie zostać zdegradowanym.

I śmiejąc się z własnego rozumowania Albin usiadł znowu, czekając cierpliwie na gospodarza.

Nareszcie po dobrym kwadransie pojawił się w salonie p. Żywieki, alias Nabob, alias Milionerissius! Tak bowiem zwano w całym mieście Żywickiego, o którego fortune bajeczne obiegały wieści.

Mówiono o nim, że oprócz znacznych dóbr w pobliżu stolicy, w których

przemieszkiwał, posiada olbrzymie włości na Podolu, na Wołyniu, na Litwie, w

Inflantach i Bóg wie gdzie jeszcze nawet, że oprócz tych dóbr milionowe kapitały

złożone ma po rozmaitych bankach rozmaitych stolic angielskich, francuzkich,

belgijskich i amerykańskich. Żywickiemu bardzo pochlebiała taka reputacja, owszem

czuł się nią nawet uszczęśliwionym, a przydomek żartobliwy "Milionerissimus",

który mu dawano, był mu najmilszym tytułem.

Zdawało się formalnie, że cała ambicja Żywickiego polegała na tem, aby uchodzić

za człowieka milionowej fortuny, aby jaśnieć aureolą dukatową Krezusa...

Było to jego słabością, którą nawet nieraz zdradzał dość niezgrabnie. Sam zawsze tylko niedokładnie wyrażał się o swym majątku, a ta tajemniczość właśnie przyczyniła się do tego, że fortuna jego urosła w opinii do bajecznych rozmiarów.

Paktem wszakże było, że Milionerissimus wiódł istotnie życie na stopę najokazalszą, że wydawał jak Nabob ogromne sumy rocznie w kraju i za granicą, że roz-

wijał na każdym niemal kroku wystawę najświetniejszą i przepych prawdziwy, że córka jego jedynaczka, zapewniony miała posag milionowy w ziemi i w złocie...

Przy tem wszystkim jedna okoliczność dziwiła mocno wszystkich i zjednała

Żywickiemu nazwę dziwaka. Ile razy chodziło o to, aby nasz Milionerissimus

przystąpił do jakiejś finansowej spółki, zawsze wymawiał się od tego

najrozmaitszemi sposobami, ile razy proponowano mu jakiś interes, w którym by

musiał wystąpić z pewną gwarancją swego majątku, zawsze najuporczywiej się

wzbraniał i z dziwną, niemal trwożliwą cofał się skwapliwością.

Jedni przypisywali to po prostu dziwactwu lub ograniczonym pojęciom bogacza,

inni atoli brali ztąd pochop do szeptów, że Milionerissimus nie jest prawdziwym właścicielem majątku, którego dochody spożywa, że administruje go tylko, że używa go na czas nieograniczony...

Ale przejdźmy od tych pogłosek do samej osoby Żywickiego, który właśnie wszedł do salonu.

Milionerissimus miał już lat około pięćdziesiąt. Miernego wzrostu, dobrej tuszy, trzymał się prosto i wielce poważnie. Głowa jego połyskująca duża łysiną, wznosiła się dumnie do góry, twarz ogolona gładko uderzała wyrazem przesadnej, w śmieszność prawie przechodzącej powagi, czoło wcale pospolite choć dzięki łysinie bardzo obszerne, okryte było zawsze nimbem świątecznej jakiejś, uroczystej dumy. Usta z natury poczciwe sobie i wydatne, siliły się do wyrazu wysokiej dystynkcji, do uśmiechu, który że za wiele miał wyrażać, nie wyrażał w istocie niczego.

Gdy Żywicki stanął i wspaniale zabłysnął łysiną, gdy rękę schował w kieszeń, a wzrokiem potoczył z powagą do koła, zdawał się mówić całą swą postacią:

— Patrzcie i respektem przejmujcie się do głębi! Jestem Milionerissimus, a ta ręka, która spoczywa w kieszeni, trzyma złoty klucz do tysięcy i kroci... Moje oczy łagodnie świecą jak dukaty holenderskie, a blask ich grzeje, imponuje i

rozwesela, moje usta, gdy przemówią, szelestem nót
bankowych brzmieć się
zdają... I czy nie dobrze mi, czy nie pięknie mi, czy nie
wspaniale? I czy nie
miło mi, jak mnie w myśli obliczają na miliony, a każdy z
tych milionów jak
trabant od tłumu odgradza mnie złotą halabardą, czy nie
rozkosz mi, gdy słyszę
szept podziwu, z którego wybija się ku mnie kadzidłem
wonnem słówko: Ach! jaki
on bogaty!... Ach! jaki ja bogaty L
Tak zdawał się przemawiać całym wyrazem swej zaokrąglonej
figury Żywicki, gdy
spojrzał niedbale i zniżonymi oczyma na Wywilskiego,
który z uniżeniem i
uszanowaniem mu się skłonił.

— Mam zaszczyt przypomnieć się panu dobrodziejowi —
rzekł z eleganckim uśmiechem

nasz karyerowicz. — Jestem Albin Wywilski...

— Wywilski... — powtórzył z łaskawą dobrocią
Milionerissimus — Wywilski...

— Miałem to szczęście, Monsieur le comte

mówił dalej Wywilski — być przedstawionym na wieczorze u
hrabstwa Zmierskich...

Pan hrabia może zapomniał...

— O panie kochany — odezwał się Milionerissimus siadając
wygodnie — pozwól, bym

panu dał absolicję od tytułu... Hrabia!... hrabia!... kto to, panie
kochany, nie

jest dzisiaj hrabią?...

W istocie p. Żywicki nie był hrabią, choć na karetach i
guzikach służby wznosiła

się nad cyfrą jego korona o dziewięciu perłach.

— Jestem pod tym względem człowiekiem postępowym —
ciągnął dalej

Milionerissimus. — Co znaczy titulus, jeżeli braknie vitulus?
Wywilski pospieszył zaśmiać się entuzjastycznie na tę
filologiczną
reminiscencję.

— Czy wiesz pan — odezwał się Żywicki, co Włosi mówią...
Hm! Włosi powiadają:

Conte, che non conta, non conta nienie...

— Mają rację, ale to przysłowie dopiero w ustach pana
dobrodzieja nabiera całej
pełni swego sarkazmu...

— Ja jestem Żywicki, tylko Żywicki...

Skromną tę uwagę uczynił Żywicki z taką dumą i takim
poczuciem godności, jakby
chciał być właściwie powiedzieć:

— Ja jestem jaśnie omiljonowanym, jaśnie Ozłoconym, jaśnie
osrebrzonym

Żywickini... Ja Milionerissimus!

— To wystarcza za tytuł, panie dobrodzieju — dodał z
dowcipnym uśmiechem

Wywilski. — Dawniej dukaty brały nazwę od duków, teraz
duki biorą ją od
dukatów... W tem postęp epoki, panie dobrodzieju...

— Czemże panu mogę służyć, panie Wy. wywilski?... —
zapytał Milionerissimus,
dając tem zapytaniem do zrozumienia, że już dość długo
raczył tak przyjemnie
żartować.

— Najpierw było to mojem pragnieniem oddawna — odparł z
nizkim ukłonem Wywilski

— złożyć panu moje najgłębsze uszanowanie...

Milionerissimus zrobił minę, jakby chciał powiedzieć:

— To się samo przez się rozumie...

Nie powiedział jednak tego, ale natomiast w znaczący sposób powtórzył:

— Najpierw...

Było to wezwaniem, aby Wywilski zaczął teraz od słowa: powtóre...

— Powtóre — rzekł Wywilski tonem pewnym — mam do pana bardzo ważny interes...

— O kochany panie... hm... — odpowiedział arystokratycznie Milionerissimus — za pierwszy cel twych odwiedzin bardzo dziękuję, co do drugiego...

Tu przerwał i spojrzął na zegarek.

— Co do drugiego — dokończył Wywilski — jest on tego rodzaju, że nie cierpi

żadnej zwłoki... Powtarzam, jest to wielce ważna sprawa...

— Słucham pana tedy — rzekł Żywicki z rezygnacją.

— Przystąpię bez wstępów do rzeczy, choć one delikatnej są bardzo natury.

Przychodzę z przestroga...

— Ja tak jestem ostrożny! panie... hm!... Żywicki jakby się uwziął nazywać

Albina panem

Hm... Karyerowicz nie dał się jednak zbić tem z kontenansu.

— Pan jesteś bogatym, bardzo bogatym człowiekiem — odezwał się śmiało.

Milionerissimus wiożył drugą rękę do kieszeni.

— Źle zacząłem... — poprawił się Wywilski spoglądając badawczo na Żywickiego. —

Pan masz córkę... Nie, może lepiej powiedziałem pierwej...

Pan jesteś bardzo

bogatym....

Milionerissimus otworzył oczy jak mógł najszerzej i spojrzał karcąco na Albina,
jakby chciał mu spojrzaniem powiedzieć:
— Ośle ty, ośle!... Przychodzisz do mnie, do Żywickiego! a nie ułożyłeś sobie przemowy w przedpokoju... a bałamucisz tali nieprzyzwoicie!... Masz frak na sobie, a język twój w takim negliżu!!
— Od czegoż właściwie pan zaczniesz? — zapytał Wywilskiego patrząc na niego z obawą a zarazem z dostojną pobłażliwością. — Od czegoż pan zaczniesz? Chociaż mój kochany panie, ten początek...
— Ten początek dziwnym się panu dobrodziejowi wydaje? — dokończył Wywilski. —
Masz pan wszelką rację, ale widzisz pan, sprawa jest taka, że nie można jej inaczej rozpocząć jak tylko od pańskiego majątku, albo od pańskiej córki, albo właściwie od obojga razem... bo...
— Bo?... — powtórzył przeciągle Milionerissimus, zdobywając się na ton surowej, karcącej powagi.
— Bo są to dwa pojęcia, nieodłączne od siebie, dwa pojęcia, które są prawie identyczne, a przynajmniej w tak ścisłym z sobą stoją związku kauzalnym.. że., że....
Tu przerwał umyślnie Wywilski i spojrzał badawczo na Żywickiego. Żywicki nawzajem spojrzał na Albina i zdawało mu się przez chwilę, że młody człowiek ma lekkie pomieszanie zmysłów.

— Nie rozumiemy się jeszcze... — szepnął sam do siebie Albin.

— Otóż widzisz pan, poplątaliśmy się... — dodał głośno z effroncką miną.

— My?... — zapytał z zgorzzeniem Żywicki i powstał prawie oburzony z miejsca. —

Ja panie kochany nie płaczę się nigdy i nigdzie..

— Och, nie tak myślałem, szanowny panie — pospieszył poprawić się Wywilski — ja się poplątałem, a poplątałem się dla tego, że chciałem przecież zrobić wstęp jakiś do tego, co panu mam powiedzieć. Ale teraz widzę, że to się na nic nie przyda...

— Cest juste... momieur — odparł Żywicki — to sio na nic nie przyda...

I wyciągnął znowu zegarek z mina wcale nie uprzejma.

— Tylko dwa pytania, tylko dwa maleńkie pytania! — zawołał Wywilski.

I powstając z krzesła, przystąpił do Żywickiego i zapytał go z effroncką obcesowością:

— Pan masz olbrzymi majątek i córkę? nieprawdaż...

— Czy pan myślisz żartować ze mną, panie Wywilski?

— Broń Boże! Zapytam tylko dalej: Gdybyś pan nie miał majątku, miałbyś pan przecie skarb nieoceniony, miałbyś pan córkę?

— Panie! — zawołał rozgniewany Żywicki — panie, to już graniczy z...

— Z pytaniem drugim... — poderwał z najlepsza mina Wywilski. — Gdybyś pan nie miał córki, czy miałbyś pan majątek?...

Pytanie to drugie Wywilski wycedził z wolna, ale dobitnie, i skończywszy, przenikliwie i z lekkim uśmiechem spojrzął na Żywickiego. Żywicki nagle się zmieszał, pobladł, potem znów poczerwieniał i przestraszonym wzrokiem wypatrzył się na Wywilskiego...

— Strzała utkwiała... — szepnął sobie w duchu Wywilski i z flegmą usiadł znowu na fotelu, rozpierając się wygodnie.

Żywicki patrzył ciągle na Albina.

Im dłużej patrzył, tem bardziej się mieszał, na ustach

Wywilskiego bowiem wił

się bez przerwy uśmiech złośliwy... Żywicki stał czas jakiś, jak martwy, aż

nareszcie powoli zsunął się na fotel i usiadł...

— Nie... nie... rozumiem... — szepnął dość słabym głosem. —

Co pan chciałeś

właściwie powiedzieć?...

— Więcej chciałem wiedzieć, niż powiedzieć — odparł

Wywilski. — Chciałem

wiedzieć, czy to prawda, o czym przypadkowo słyszałem, że

istotnie, gdybyś pan

nie miał córki, nie miałbyś pan żadnego majątku, że pan, który uchodzisz za pana

miljonowego, sam właściwie nic a nic nie posiadasz, że

administrujesz tylko

majątkiem olbrzymim, którego właścicielką na mocy pewnego zapisu i pewnego

tajemnego układu jest córka pańska, panna Żywicka, i że w

końcu gdyby ta córka

oddała komuś administrację serca i ręki, tajemniczo i po za

pańskimi plecyma,

szczęśliwy ten śmiertelnik wzięłby także i administrację majątku, a pan...

pan... poszedłbyś nawet — bez kwitka...Żywicki struchlał cały.

— Czy to prawda?... — zapytał Albin.

— Nie prawda! — rzekł rozpaczliwie Żywicki. — Kto pana upoważnił wchodzić w moje domowe stosunki? — dodał tonem, który miał być surowym a wypadł prawie płaczliwie.

— Jeżeli nie prawda — odparł z flegmą Wywilski — w takim razie mocno pana przepraszani. Moja przestroga jest niepotrzebną, bo w takim razie nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo.

I biorąc za kapelusz, skłonił się mówiąc:

— Żegnam pana...Żywicki wstał z fotelu i zastępując drogę Albinowi, rzekł:

— Czekaj pan...

Wywilski uśmiechnął się tryumfująco.

— Czekaj pan, pomówimy... — powtórzył znękanym tonem Żywicki.

Potem chwycił dzwonek i silnie zadzwonił. W tej chwili pojawił się lokaj.

— Wody... — rozkazał Żywicki. Gdy służący powrócił z wodą, Żywicki rzekł mu:

— Nie puszczaj nikogo, pod żadnym pozorem... Niema mnie w domu, wyjechałem...

Potem odsapnął, napił się wody i zamykając drzwi od salonu na klucz, usiadł naprzeciw Wywilskiego.

Wywilski zatarł ręce z upodobaniem i rozparł się jak najwygodniej w fotelu.

VII.

MILIONERISSIMUS NA KONFESSACIE.

Ach! jakże znikomą jest wielkość ludzka, jak złośliwy przypadek szydzi i z godności i z powagi i z dostojnej dumy, jak zdradziecko godzi w słabą stronę i zdiera piękną maskę z twarzy, choćby ta twarz była tak okrągła, tak rumiana, tak imponująca blaskiem wyższości, jak twarz pana Żywickiego przed tak krótką... tak krótką chwilką!...

Taka żałosna reflexya musiałaby się była odezwać w każdym, ktoby był widział

Żywickiego przed kwadransom a oglądał go teraz....

Pocziwy Milionerissimus zmienił się do niepoznania.

Wyglądał jak człowiek po

przebyciu ciężkiej katastrofy. Twarz jego pobladła, ów wyraz wysokiego,

pogodnego zadowolenia znikł bez śladu, oczy pochylły się ku ziemi. To rumiane, jak księżyc łagodnie przyświecające oblicze wyglądało jak

lampa, z której ktoś nagle zdmuchnął światło...

Zdawało się nawet, że Milionerissimus schudł od razu, w jednej chwili. Łukiem

szlachetnym, zażywną, okazałą peryferją wystająca naprzód figura p. Żywickiego

straciła swą sprężystość, skurczyła się, zmałała, a ta podziwienia godna linja

piękności, którą przedstawiał front milionera, złamała się i spaczyła w

najopłakańszy sposób..

Ocierając sobie pot z czoła, usiadł Żywicki z miną człowieka znękanego,

złamanego okropnym ciosem. Wypił drugą szklanekę wody, odetchnął głęboko i

usiłując przyjść do siebie odezwał się urywanym głosem:

— Nierozumiem... co by... tego... Sauez vous... to dziwna...

Ale słowa nie kleiły się i Żywicki umilkł pod brzemieniem fatalnego

pomięszania...

W miarę, im bardziej tracił kontenans Żywicki, nabierał Albin tem pewniejszej,

tem śmielszej, tem zuchwalszej nawet miny.

— Nie przerażaj się tak, kochany hrabio — rzekł tonem protekcyjnym prawie — ja

nie lubię straszyć ludzi dla samego strachu... Wskazuje niebezpieczeństwo tylko

na to, aby podać zaraz środek ratunku...

Rzekłszy to, Wywilski oglądnięt się po stolikach a nie znalazłszy nigdzie kasetki

z sygarami, wydobył własne i zapalił je sobie najswobodniej w świecie.

Żywicki popatrzył na Wywilskiego okiem nędznej ofiary, która musi się ograniczyć

na bezsilnem oburzeniu i niemym proteście...

— Do tegoż przyszło — zdawał się mówić całym wyrazem swej twarzy — abyś ty miał

palić tu sygaro!...

I gdzież ty palisz to sygaro? W salonie Żywickiego!

I przed kim ty palisz to sygaro? niegodziwy, bezczelny

Albinie Wywilski? Przed

nosem Żywickiego palisz, przed nosem, który znieść nie może dymu tytoniowego,

palisz i dym puszczasz, jak kapral w koszarach; nic świętego nie ma dla ciebie!

Do tegoż przyjść miało, do tego!..

Albin nie umiał czytać na twarzy biednego Żywickiego.

Protest jego minął bez najmniejszego skutku.

— Proszę pana — zabrał przecież głos Żywicki, z lekka odpędzając dłonią kłęby dymu — powiedzże mi pan nareszcie, co właściwie mi grozi i z jakim odkryciem pan tu przychodzisz...

— Co do odkryć, łaskawy panie — odparł Wywilski — to najnieprzyjemniejsze dla ciebie już zrobiłem... Powiedz mi pan teraz otwarcie, nie prawdaż, że rzecz z twojami milionami ma się tak jak powiedziałem?

— To jest... panie Wywilski... ktoś... coś... kiedyś... bak jakiś...

Zmystyfikowano pana...

— Zmystyfikowano mnie — odparł z nielitościwym uśmiechem Albin — a pan mistyfikujesz mnie dalej, nie prawdaż ?... Więc pan kazałeś zamknąć drzwi, aby rai wygodniej zaprzeczyć, że moje odkrycie jest fałszem...

— Widzisz pan, tu chodzi o moja córkę..

— I o milionowy majątek...

— Ja mówię, panie najpierw jako ojciec...

— A skończysz pan jako milionerissimus... Zmieńmy porządek rzeczy... Zaczniemy

od majątku a skończmy na córce,.. Albo zrobmy tak, jak już zrobiłem,

zidentyfikujmy oba te pojęcia...Żywicki zakaszlał się od dymu i umilkł.

— Dziwnym przypadkiem — zabrał głos Albin —
dowiedziałem się o pańskiej
tajemnicy. Miałem rozmaite stosunki na świecie, stykałem się
z różnymi
ludźmi, cieszyłem się zawsze dobrym słuchem i dobrą
pamięcią...

— Niestety! — westchnął po cichu Żywicki.

— Otóż szczęśliwym trafem — ciągnął dalej Wywilski —
dowiedziałem się, że pewien
niezmiernie bogaty i oryginalny przytem człowiek...

— Warjat, panie, wierutny warjat... — wyrwał się nagle
Żywicki.

— Czy tak? — zapytał Wywilski — przyznam się panu, ie
miło mieć styczność z

takim warjatem... Ale mniejsza o nazwę... Akceptuję ją...

Dowiedziałem się tedy,

że pewien bogaty warjat zapisał ogromny majątek pańskiej
córcie, a pana jako ojca

zrobił majątku tego administratorem, a nawet panu pozory
własności zostawił...

Czy tak, tylko pozory?... Żywicki milczał smutny.

— Czemu pan nie chcesz przyznać? — mówił dalej Wywilski

— wszakże to panu chlubę

przynosi, Wszakżeś pan z tych pozorów tak świetnie umiał
korzystać.. Zaprawdę,

pan jesteś jedynym człowiekiem, który wart jest być bogatym,
bo umie być

bogatym... To sztuka wielka, wspaniała!... to trzeba umieć,
panie

dobrodzieju!...

— Bez wątpienia! — zawołał szybko Żywicki, rozczulony
tym komplementem i

zapominając na chwilę o swoim upokorzeniu. — Panie Wywilski, pan znasz się na ludziach i jak widzę cenić ich umiesz! Panie Wywilski, tak krótko się znamy, tak krótko, ale ja szanuję pana, ja ufam panu i będę mówić z panem otwarcie.

Wywilski uśmiechnął się z złośliwym ukontentowaniem i odparł:

— Tego się spodziewałem.. Mówmy więc, a mówmy otwarcie. Słyszałem tedy dniej, że układ ten, czy zapis, czy jak tam nazwać ten akt, na mocy którego pan administrujesz majątkiem olbrzymim swej córki, zawiera rozmaite warunki i klauzule, że daje on zarówno panu jak córce pańskiej pewne prerogatywy, i że cała rzecz zależy na tem, kto lepiej z swych prerogatyw skorzysta...

— Niedokładnie pan jesteś poinformowanym — odparł Żywicki, który już zdobył się na ten spokój, jaki nadawać zwykła rezygnacja.

— Proszę tedy o informacje dokładną...

— Bądźmy lojalni, panie Wywilski. Takich informacji nie daje się, nie będąc do tego zniewolonym.

— Cóż pana tedy zniewoliło przyznać się w głównej części?...

— Mówiłeś mi pan, że mi grozi niebezpieczeństwo...

— I mówiłem prawdę. Nie mam szczęścia znać córki pańskiej dokładnie. Słyszałem jednakże, że jest to natura namiętna, energiczna, niepospolita...

— Cóż z tego wynika, łaskawy panie?

— Zdaniem mojem to, że mogłaby uczynić krok jakiś, który mógłby pana bardzo dużo kosztować...

— Ona mnie kocha...

— A oprócz pana?

— Nikogo.

— Mam powody wątpić.

— Ja przynajmniej nic nie wiem o tem...

— Tem gorzej dla pana, tem lepiej dla mnie. Dowiedz się pan tedy, że córka

pańska kocha się namiętnie, gwałtownie, bez przesady mówiąc, w zatrważający sposób!

— Czy się pan tylko nie łudzisz? — odparł zaniepokojony Żywicki.

— Z pewnością nie. Mam dowody.

— Jakie?

— Mój sekret.

— W kim się kocha?...

— Mój sekret.

— Ależ panie — zawołał Żywicki — tak nigdy nie dojdziemy do końca!

— Przeciwnie, dojdziemy łatwo. Powiem panu, że ten, w którym się kocha, jest człowiekiem równie namiętym i szalonym i gotów się na wszystko odważyć.

— Czy to już wszystko?

— Jeszcze nie. Powiem panu dalej, że w tym całym stosunku zanosí się na krok

stanowczy, bardzo stanowczy... Czy nie dość już panu powiedziałem, i czy nie

czas, abyś pan teraz zaczął mówić? Żywicki, który miał czas ochłonać już z

pierwszego przestachu, postanowił uczynić krok rozpaczliwej odwagi. Chciał przynajmniej spróbować, czyli nie uda się pomieszać szyki Wywilskiemu, który za mało zdawał się wiedzieć, aby mógł być szkodliwym na prawdę.

— Nie wystarczy! — rzekł tedy z miną pewności Wywilski spojrzawszy badawczo na Żywickiego.

— Broni się — szepnął sobie w duchu.

— Czy to pańskie istotne zdanie? — zapytał głośno.

— Tak jest, panie Wywilski. Nie widzę powodu do zwierzeń. Dziękuję panu za przestrożę, skorzystam z niej...

— Cóż to znaczy?

— To znaczy — odparł zdobywając się na przebiegłość Żywicki — że wygrałeś pan już wszystkie karty...

— Nie wszystkie!... Przez to, że pan wiesz o niebezpieczeństwie, jeszcze niebezpieczeństwa tego nie usunąłeś...

— Usunę go...

— Jak?

— Mój sekret.

Zdawało się, że szansa zaczyna się przechylać na stronę Żywickiego, w którym odezwał się spryt niespodziewany.

— Zapóźno — rzekł Albin, ale już nie tak pewnym tonem, jak wpierwej — A zresztą, ja mam w pogotowiu repressalja!

— To się pokaże!

— Ale jak się pokaże, co będzie wtedy? — zapytał Albin — jak się pokaże, że pan

nic nie posiadasz, jak spadnie z pana ta aureola milionów, jak dzięki moim odkryciom, staniesz pan przed światem, jak człowiek, który nic nie ma, ale to nic, a nic... który w obec tych milionów jest tylko rodzajem chien du jardinier, czy to miło panu będzie?..

— Dochody moje zostaną mi... W moim bycie faktycznie nic się nie zmieni...

Wyjadę ztąd...

Albin przygryzł wargi.

— A jak pan trafisz na otwarty opór córki?

— Ona mnie kocha... Potrafię wpłynąć na nią.

— A jak ja, panie Żywicki, wpłynę na tego, który ją kocha i którego ona kocha,

jak mu zrobię odkrycia, i jak ten człowiek skorzysta z nich, a że skorzystać

potrafi, zatoć panu ręczyć mogę... Żywicki poruszył się niespokojnie na krześle.

Szansę walki poczęły się znowu przechylać na stronę karjerowicza.

— Może i temu potrafię przeszkodzić... — odpowiedział tonem trochę kapitulującym.

— Słuchajże pan tedy! — rzekł stanowczym głosem

Wywilski. — W ręku moim znajduje

się list ciekawy. List ten pisała pańska córka a pisała go do swego kochanka.

Jeżeli ja tego listu użyję, jeżeli nie dotrzymam dyskrecji, jeżeli dowiedzą się

o jego treści inni, a od tych innych dowie się o niej znowu ów bogaty warjat,

jak go pan nazwał, czy to panu będzie obojętnem?...

— Więc czegoż pan chcesz na miłość Boga? — zawołał przerażonym i rozpaczliwym tonem Żywicki.

— Chcę panu pomódz...

— Więc proszę o pomoc.

— Nie znam stosunków dość dobrze, abym mógł pomódz. To co wiem, wystarcza mi tylko, aby panu zaszkodzić. Musisz mnie pan pierwej wtajemniczyć w cały ów układ z bogatym warjatem.

— Kupię od pana list i sekret pański... Ile pan żądasz?

Wywilski uśmiechnął się z doskonale odegrana dumą.

— Nie umiem oznaczyć ceny.

— Niech się pan nie żenuje! Mów pan.

— Powtarzam, nie umiem oznaczyć ceny, bo nie wiem ile pan w całej tej sprawie masz do stracenia lub do zyskania. Muszę wiedzieć o wszystkim.

Żywicki z wyrazem wściekłości i rozpachy zarazem na twarzy milczał przez chwilę.

Wahał się i walczył z sobą widocznie.

Nagle powstał i rzeki z rezygnacją:

— Niech więc i tak będzie! Poczekaj pan, przyniosę panu papiery, które panu wyjaśnią wszystko!

Po niejakej chwili powrócił Żywicki znowu do salonu. Błady był i zmęczony, a

łysina mimo ciągłego ocierania chustką sączyła się potem.

Prawą rękę włożył do

piersiowej kieszeni swego tużurka, jakby coś w nią chował lub coś z niej wydobyć zamierzał.

— Przepraszam pana najmocniej — rzek! Albin tonem uprzejmości, która na gorzką zakrawała ironję — przepraszam pana, że go tak długo zatrzymuję.. Zbliża się podobno już godzina obiadowa, a nasz interes dotąd nie załatwiony....Żywicki skrzywił się tylko jak męczennik i rzekł:

— Panie Albinie, jakkolwiek mam wszelkie powody ufać panu — przy tych słowach Żywicki mało się nie zakrztusił — jakkolwiek uznaję sam wielkość niebezpieczeństwa, które mi grozi, jeżeli łaskawy pan się nie mylisz, przecież nim przystąpię do ostatecznych wyjaśnień, radbym otrzymać jeszcze jedną, szczerą i stanowczą odpowiedź....

— Racz pan tylko zapytać śmiało, jestem do usług! — odpowiedział Albin.

— Na miłość Boga, panie Albinie, czego pan żądać będziesz odemnie?

Albin uśmiechnął się tylko.

— Zwlekasz pan niepotrzebnie całą sprawę — rzekł wymijając odpowiedź — powiedziałem już panu, że niebezpieczeństwo nagłe! Musimy skończyć natychmiast, aby mi został czas do zrobienia przygotowań.

I wyciągając zegarek, spojrział nań i dodał tonem niejako uroczystym i złowrogim zarazem:

— Panie Żywicki, kilka godzin jeszcze tylko, a czeka pana katastrofa! Żywicki był

już teraz zupełnie rozbrojony. Widział, że zdać się musi na łaskę lub niełaskę.

— Wyjmij pan tedy to, co trzymasz dłonią swą w kieszeni...

— zawezwał

Albin. Żywicki w duchu pragnął, aby to, co istotnie miał w rękę i co miał pokazać

Albinowi, zmieniło się nagle w rewolwer.

— Słuchaj pan tedy — począł tonem rezygnacji — moja córka...

— Panna Irena... — dodał uzupełniając Albin.

— Moja córka, Irena — ciągnął Żywicki — jest istotnie, jak pan o tem nie wiem

z kąd i jakim dowiedziałeś się sposobem, właścicielką całego tego majątku, którym

zarządzam. Zapisał go jej człowiek, który posiada najdziwaczniejszy w świecie

charakter, człowiek fantasta i powiedziałbym nawet awanturnik...

— Czyli waryat po prostu, jak sie przed chwilą wyraziłeś, panie Żywicki! —

wtrącił Albin.

— A nawet waryat... Tak jest, mógłbym to śmiało powtórzyć. Otóż człowiek ten...

— Za pozwoleniem — przerwał Wywilski — Z jakiego tytułu człowiek ten uczynił pannie Irenie zapis podobny?...

— Jest to brat mojej nieboszczki żony — ciągnął Żywicki. — Kochał on ją szalenie

a kochał tem bardziej, ile że oprócz przywiązania braterskiego miał nadto wobec

niej wyjątkowy dług wdzięczności... Był bowiem czas, w którym człowiek ów był w

otwartej, przykrej wojnie z całą swą rodziną, w którym tylko ta siostra jego, a moja nieboszczka żona, broniła go i wspierała w najczulszy sposób... Ale tego wszystkiego, zdaje mi się, nie potrzebuję panu opowiadać, a nawet opowiedziećbym dokładnie nie umiał, bo mi historia ta nie jest znaną z szczegółami.

— Mniejsza tedy o tę historię... fakt sam mi wystarcza. Czy człowiek ten żyje jeszcze?

— Żyje.

— Jak się nazywa?...

— Czerski.

— Czerski... — powtórzył Albin — jak to wiem z opowiadań, ród w dawnych czasach ogromnie bogaty.

— Otóż ten Czerski, gdy go raz przypadkiem zagranicą spotkałem — opowiadał dalej Żywicki — poznał moją córkę. Moja żona już wówczas nie żyła, a Irena była zaledwie dziecięciem małym. Moje stosunki finansowe były w najgorszym, prawdziwie oplakany stan. Czerski uniesiony był Ireną, której piękności nie mógł się dość nachwalić, a w której upatrywał niesłychane podobieństwo do matki, zaprosił mnie nagle na konferencję i ni ztąd ni z owad oddał mi olbrzymi majątek w administrację. Miał to być majątek przeznaczony dla mojej córki...

— Dotąd nic nowego i nic ciekawego — rzekł Albin. — To zapewne wstęp tylko do

dalszych, ważniejszych odkryć, panie Żywicki?

— To jest właściwie wszystko.

— W najogólniejszej osnowie. Pozwólże pan teraz poindagować się dalej przezemnie. Gzy ten pan Czerski odstąpił majątek pannie Irenie na własność prawnie, formalnie?

— Nie. Pozostał on prawnie sam właścicielem, chociaż najzupełniej go się wyrzekł na rzecz moją, to jest na rzecz Ireny, tak, że ani grosza z majątku tego nie pobiera. W dwóch tylko wypadkach nadałby Czerski prawną sankcję temu układowi.

— Jakież to są wypadki?

— Gdyby umarł, zostałby po nim testament, zapisujący wszystko Irenie. Wszystko a nawet więcej, bo szwagier mój posiada jeszcze znaczne fundusze, z których obecnie sam żyje. Trzeba bowiem panu wiedzieć, że ten człowiek niezmiernie jest bogatym...

— Powtóre? — naglił Albin.

— Powtóre wtedy, gdyby Irena szła za mąż i gdyby narzeczony jej nie wahał się przyjąć tych warunków, jakie mu on ma podyktować.

— Jakież to są warunki?

— Nie wiem, ale domyślam się, że to będą warunki tak dziwackie, jak sam Czerski.

— Panu oczywiście postawić musiał także warunki, kiedy panu powierzył administrację i dochody z majątku?

— Tak jest i właśnie...

— I właśnie na nich nam głównie zależy! — przerwał Wywilski. — Przystąpmy tedy do nich. Żywicki wyciągnął powoli rękę z piersiowej kieszeni. W ręce pokazał się zwitek papieru.

— Warunki te są bardzo krótkie i węzłowate — rzekł — mieszczą się wszystkie na tem świstku. Spisane są w formie listu.

— Tem lepiej. Odczytaj je pan tedy. Żywicki za daleko się posunął w swej słabości, aby się już mógł cofnąć. Rozwinął papier i odchrząknął.

Kochany Euzebiuszu! — począł czytać — wręczyłem ci już pełnomocnictwo i papiery potrzebne do objęcia przeznaczonego dla twojej córki majątku...

Gdybym ja sam umiał znieść tryb życia spokojny i uregulowany, gdybym potrafił ustalić się i stać się raz, tak jak ty, porządnym człowiekiem... Albin, który podczas czytania wstał z krzesła i zaglądał do listu przez plecy Żywickiego, zapytał nagle i jakby złośliwie.

— Czemu ten wyraz "porządny" jest podkreślony?

— Nie wpadło mi to na myśl, dla czego — odparł Żywicki, i jakby chcąc przerwać dalsze złośliwe interpelacje Wywilskiego, czytał dalej prędko: ... Gdybym potrafił ustalić się i stać się raz, tak jak ty, porządnym człowiekiem, musiałbyś mi odstąpić wychowanie twojej córki a sam kontentować się odprawą. Racz mi bowiem wierzyć, najdroższy Euzebiuszu, że nie dla Ciebie to

robię, nie dla Ciebie, rozumiesz! ale dla Ireny. Gdyby Irena była choć trochę podobna do Ciebie, nie zrobiłbym tego i dla niej. Irena jest piękną i będzie jeszcze piękniejszą, jest dobrą i będzie jeszcze lepszą, jest rozumną i będzie jeszcze rozumniejszą. Kocham cię bardzo i szanuję, ale ty nigdy nie byłeś ani jednym, ani drugim, ani trzecim... Albin zaśmiał się za plecyma Żywickiego.

— Nie miałem racji — rzekł Żywicki czerwieniąc się od upokorzenia — kiedy tego człowieka nazwałem warjatem? A zresztą panie dobrodzieju, on lak źle nie myślał... On zawsze lubił żartować, a list ten pisał jeszcze po dobrym szampanio...

— In vino — mendacium... — zauważył dowcipnie Wywilski.

... Gdyby Irena była podobną do Ciebie, wystarczyłbyś ty jej sam za opiekuna.

Wiesz, co zrobiłem dla Ireny, i co dla niej zrobić zamyslałem.

Powierzam ci zarząd

tego, co jej przeznaczyłem, ale stawiam następujące warunki, które i ciebie i

Irenę obowiązują:

Primo: Irena jest nieograniczoną, wyłączną i udzielną panią wszystkich dochodów.

Secundo: Irena nic wiedzieć o tem nie powinna, ie ma takie prawa i takie

dochody. — I czy nie warjat to? — zakonkludował Żywicki, przerywając czytanie,

jakby chciał schwytać Czerskiego in flagranti na sprzeczności.
Potem czytał

dalej:

Tertio: Ztąd wypływa, stary... pocziwcze, że powinieneś
cała swa bystrość,
cały rozum twej głowy wysilać na to, aby odgadnąć wszystkie
jej pragnienia,
podchwycić wszystkie skinienia, dorozumieć się wszystkich
życzeń i kaprysów
nawet — i natychmiast im dogodzić.

Quarto: Jeżeli Irena zakocha się w kim, a ty o tem nie będziesz
wiedzieć i o tem
ja dowiem się prędzej, dowiedziesz takiego niedołęztwa, że
będę zmuszonym odjąć
ci natychmiast prawa, które ci teraz wobec ustąpionego
majątku przysługują.

Mężczyzna, który z postępowania kobiety nie pozna, że się
ona kocha, jest
głupcem, a jeżeli tym mężczyzną niedomyślnym jest nadto,
jak w danym razie:

ojciec, to ojciec ten... jest... jest... Żywicki przerwał czytanie,
jakby nie
mógł z siebie wykrztusić dokończenia.

— To ojciec ten jest potrójnym głupcem... Słowa
podkreślone... — dokończył

nielitościwie Wywilski. Żywicki otarł łysinę i czytał dalej:

Quinto: Jeżeli Irena będzie miała lat dwadzieścia a w nikim
się jeszcze kochać
nie będzie,

to wybierzesz jej sam męża w przeciągu roku dwudziestego
pierwszego jej wieku.

Męża tego wybierzesz jej na wzór siebie samego, bo w takim
razie Irena na nic

lepszego nie zasłużyła. Kobieta, która do dwudziestego roku nie zakochała się jeszcze, nie ma ani temperamentu, ani uczucia, i pewnie pójdzie za wyborem obcym. Trzeba jej dać męża, bo sama go sobie nie weźmie. Ponieważ mam tak dobre wyobrażenie o Irenie, że sobie męża sama weźmie, więc wypadek podobny mocnoby mnie zmartwił.

— Ile ma lat panna Irena? — zainterpelował w tym miejscu Wywilski.

— Ośmnaście.

— No, to pan Czerski nie ma już powodu do zmartwienia, ale na pana, panie

Żywicki, spada całym obuchem anathema paragrafu czwartego...

Milionerissimus pominął milczeniem wycieczkę Albina i ciągnął dalej czytanie:

Sexto: Jeżeli spostrzeżesz, że Irena kocha się, rozumiesz: jeżeli spostrzeżesz

sam tylko, a nie ona ci to powie, to powiedz sobie, żeś...

Domyślasz się, co

sobie masz powiedzieć... Ojciec, któremu córka nie wyzna, że się kocha, albo

niema jej zaufania, albo go ona bardzo mało ceni; w pierwszym i drugim razie

ojciec ten może być tylko... tobą... Jeżeli jednak tak się stanie, co, znając

cię, najdroższy mój Zebciu, przewidywać mogę

z łatwością, jeżeli będziesz miał pewność, że się twoja córka kocha, jeżeli ją

schwycisz na porozumiewaniu się tajemniczem z kochankiem, na korespondencji,

albo na schadzce miłosnej...

Albin zaparł przy tych słowach oddech w sobie i z podwójną uwagą śledził słowa

listu...

... natenczas sprowadzić musisz natychmiast stanowcze załatwienie sprawy, i

zażądać od stron obu finalnej deklaracji.

— To punkt ważny, bardzo ważny — zauważył Wywilski — i w arcyściśłym stoi

związku z naszą sprawą...

— Ba! panie! — zawołał prawie płacząco Żywicki — gdyby to na tem koniec! Ale

posłuchaj pan, co ten przekłety warjat mówi w następującym punkcie.

Septimo: Z powyższego paragrafu wypływa, co następuje.

Gdy zażadasz energicznie

wyjaśnień i decyzji, wywiązać się z tego może sytuacja czworakiego rodzaju:

) Albo oboje natychmiast zgodzą się na warunek bezwłocznego małżeństwa;

) albo on zechce oddać jej swą rękę, a ona nie;

) albo ona zechce, a on nie;

) albo nie zechcą oboje.

W pierwszym wypadku ślub w jak najkrótszym czasie ma przyjść do skutku.

Przekonaniem mojem jest, że należy iść zawsze za pierwszemi porywami serca, czy one są dobre czy złe. Jeżeli bowiem

pierwsze porywy są

dobre, to następne nie będą nigdy lepszemi; jeżeli są złe, to następne będą

zawsze gorszemi.

W drugim wypadku upoważniam cię, zmusić Irenę, choćby się temu najmocniej

opierała, do oddania ręki człowiekowi, z którym romans rozpoczęła. Kobieta,

która się bawi ogniem, popiec się powinna.

"W trzecim wypadku, wyzwiesz natychmiast kochanka i dołożysz starań wszystkich,

aby mu w łeb strzelić. Jeżeli znajdzie się inny młody człowiek, który kochał

także Irenę, i jeżeli cię on uprzedzi i wyzwie a skarci surowo uwodziciela, ręka

Ireny jemu się należy. Choćby go z początku nie kochała, prędzej lub później

szczęśliwa z nim będzie. NB. jeśli ma charakter.

"W czwartym wypadku, rób sobie co chcesz" W podobnego rodzaju stosunkach ani

jedną ani drugą stroną zajmować się nie warto. Irena traci w jakim razie prawo

do całego majątku i mojej życzliwości — a poprzestać musi na przyzwoitej

odprawie... "

Żywicki przestał czytać.

— To są panie Albinie główne warunki — rzekł — reszta traktuje o podrzędnych

sprawach administracyjnych.

— Oprócz tych warunków nic sobie nie zastrzegł Czerski?

— Nic. Zapowiedział jednak, że gdy Irena skończy lat ośmnaście, da mi ustnie lub

pisemnie nowe wskazówki i dodatkową informację.

— Ustnie albo pisemnie? Którego z tych dwóch wypadków pan się spodziewasz..

— Jestem przygotowanym na oba.

— Gdzie się teraz znajduje Czerski?

— Nie wiem.

— Czy myślisz pan, że mógłby przyjechać nagle?

— Cóż to niepodobnego u niego! Wszakże mówiłem panu, że to istny jest warjat.

— Kiedy panna Irena kończy lat ośmnaście?

— Tego miesiąca.

— Czy będzie pamiętał o tem Czerski?

— Niezawodnie.

— Krótki termin... — mruknął półgłosem Albin. Potem w zamyśleniu przeszedł się

po pokoju. Nagle stanął przed Żywickim i zapytał!

— I cóż pan na to?...

— Co ja na to?... — powtórzył Żywicki — ale to ja pana pytać o to powinienem?

— Wiesz pan, że niebezpieczeństwo jest ogromne...

Przeczuwam skutki jednego z

najstraszniejszych paragrafów Czerskiego!

— Któregoż to panie łaskawy?

— Tego, który mówi o konieczności zemsty, o strzeleniu w Jeb

uwodzicielowi...Żywicki pobladł.

— Panie, to okropność... Ja się wszystkiego wyrzeknę.

— Co mówię, nie ten jeden, ale wszystkie paragrafy oskarżają pana... Źle rzeczy

stoją, bardzo źle... Trzeba się dobrze zwinąć...

— Panie Albinie! — rzekł tonem błagalnym Żywicki — wypowiadałem się przed tobą

otwarcie, wiesz o wszystkim, obiecałeś mnie ratować... Cóż ty na to?

— Hm... środekby może się znalazł — rzekł poważnie Albin.

— Mów, panie Albinie, jaki to środek, wynagrodzę cię sowicie za to! Go chcesz za ten środek?

— Środek ten, środek jedyny usunięcia niebezpieczeństwa, jest zarazem i nagroda

dla mnie wystarczającą...

— Nie domyślam się...

Albin powstał, skłonił się Żywickiemu i rzekł tonem uroczystym:

Panie hrabio! Proszę Cię o rękę twojej córki, panny Ireny!

Żywicki spojrział z

osłupieniem na Albina.

To jest jedyny środek ratunku i ostatnia cena moja zerazem...

— Ależ panie — odezwał się, chłonąc z zdziwienia Żywicki.

— Wszakże znasz pan

warunki, czyż to jest możebnem?...

— W tem moja głowa, panie Żywicki — odparł tonem

pewności Albin. — Gdy

obszerniej z panem pomówię, przestaniesz się pan dziwić..

— To niepodobna, nie podobna... — mówił półgłosem

Żywicki.

— Zagadaliśmy się długo — rzekł Albin niezważając na

mruki Żywickiego — już

obiadowa pora. Wiesz co kochany hrabio, tytułem naszych

stosunków już zawartych

i przyszłych zapraszam się do Ciebie na obiad... Po obiedzie

przy czarnej kawie

pomówimy o naszym interesie. Żywicki nie protestował.

— A teraz możesz otworzyć drzwi, panie hrabio — mówił

dalej Albin.. Mamy czas

jeszcze do godziny dziewiątej wieczór...

— A o dziewiątej?... — zapytał Żywicki.

— O dziewiątej rozstrzygają się twoje, a możeby można

powiedzie: nasze losy! O

dziewiątej ruszam na wycieczkę bardzo tajemniczą i bardzo

ważną... Każ hrabio

przygotować sobie powóz na wieczór. Być może, że i ty mi

będziesz potrzebny.

— A propos — dodał — czy panna Irena będzie przy obiedzie?

— Zapewne, chyba żeby jej coś przeszkodziło....

— Nie raczyłybyś upewnić się o tem?

Żywieki, który raz dawszy opanować się Wywilskiemu, był mu już we wszystkim

machinalnie posłusznym, wysłał lokaja po wiadomość.

— Jaśnie panna chora, zostanie u siebie — zaraportował lokaj z powrotem.

VIII.

SCHADZKA.

W różowym humorze był Wywilski przy obiedzie, na który się sam zaprosił. Stół

nakryty był tylko na dwie osoby. Dobry humor Albina sprawił nawet na gospodarzu

rozweselające wrażenie. Choć był sam na sam z Żywickim, Albin zasiadłszy do

stołu przestał mówić o interesach, i jakby zupełnie puścił w niepamięć sprawę,

która go tyle zajmowała, począł rozmowę swobodną, obojętną, przyjemną.

W zwrocie tym objawiała się niepospolita zręczność naszego karjerowicza.

Odbywwszy zwycięzko całą przykrą stronę kampanji, wzięwszy szturmem niejako

Żywickiego, starał się teraz Albin zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, które mógł

sprawić na swym gospodarzu. Jak przedtem był natarczywym, obcesowym i

niemiłosier-

nym, tak znowu teraz przybrał ton uniżenia, szacunku i serdecznej życzliwości.

Znał doskonale słabe strony Żywickiego i umiał z nich
wybornie skorzystać.
Pochlebiał staremu, prawił najprzyjemniejsze komplementa,
karesował go
formalnie, a czynił to wszystko tak zgrabnie, tak gładko, że
Żywicki spoglądał
od czasu do czasu z pewnem zdziwieniem na Albina, jakby
niedowierzał, że to ten
sam. człowiek, który przed chwilą był mu w tak wysokim
stopniu nieprzyjemnym.
Rozjaśnił swą twarz pełną Milionerisimus, nabrał dawnej
pewności i owej
dostojnej pogody, z którą mu zawsze tak było dobrze, i
uśmiechając się słodko na
komplementa, które mu prawił Albin, jadł z najlepszym
apetytem. Cała gorycz
przebytej co dopiero niemiłej spowiedzi zniknęła bez śladu i
pocziwy
Milionerisimus wyrzucał sobie prawie, że się tak niezmiernie
przeraził i
zmartwił wizytą Albina.
— Kto wie — pomyślał sobie nawet - czy nie powinienem być
kontent z tego, co
zaszło? Ten człowiek uchyla odemnie rzeczywiste
niebezpieczeństwo, a jest tak
miły, tak grzeczny i tak pocziwy! To traf pomyślny!
Przy czarnej kawie rozmowa stała się jeszcze przyjemniejsza.
Milionerissimus
począł opowiadać Albinowi o swoich podróżach, o wysokich
znajomościach, o swych
jenialnych zdolnościach w wszystkich możliwych sprawach
wystawy, wysokiego tonu,
dystynkcji i magna-

ckiej wytworności — a Albin słuchał tak nabożnie, uśmiechał się z takim wyrazem podziwu i uznania, że Żywicki nie posiadał się prawie z ukontentowania.

L'esprit de la conversation consiste bien moins à en montrer beaucoup, qà'd, en

faire trouver aux autres — powiedział jeden z najgłębszych znawców natury

ludzkiej. Wiedział dobrze o tej prawdzie Wywilski i był zawsze przekonany, że

człowiek, który w rozmowie z nim zadowolonym będzie z swego własnego dowcipu i

rozumu, będzie także zadowolonym i z niego.

Irena nie tylko, że nie była przy obiedzie, ale od kilku godzin nie było jej

także w domu. Albin w ciągu rozmowy, jakby nawiasem tylko, zapytał Żywickiego,

gdzie się znajduje Irena. Żywicki zawołał lokaja i zapytał:

— Panny Ireny nie ma?

— Nie ma, wyjechała z starszą panią Starszą panią nazywano siostrę Żywickiego,

wdowę od lat kilkunastu, która zastępywać miała Irenie brak kobiecej opieki.

— Dokąd? — pytał dalej Żywicki.

— Do dworku.

— Go to za dworek? — zapytał obojętnie na pozór Albin.

— Ach, jest to sobie stara, jednopiętrowa rudera za miastem

— odparł Żywicki — z

dużym dzikim par-

kiem. Dwór ten należy także do Czerskiego i zostaje pod moją administracją.

— Czy zamieszkały?

— Gdzież tam... Od niepamiętnych czasów nikt tam nie mieszka. Jest tylko kilka pokoi utrzymanych w mieszkalnym stanie, które zarezerwował sobie Czerski na wypadek, gdyby kiedy tu przybył.

— Cóż tedy za powód ma do takiej wycieczki panna Irena? — zapytał Albin z uśmiechem.

— Upatrzyła sobie coś w ogrodzie, który dzikością swą bardzo jej się podoba. Żywicki tak dalece zapomniał już o wszystkim, co mu powiedział był Albin, że nie nasuwał mu się na myśl żaden związek między tą wycieczką Ireny a odkryciem Albina.

Wywilski nie uważał za rzecz potrzebną, zwracać jego uwagę na ten zbieg okoliczności. Zaczął mówić o czym innym, ale po kilkunastu minutach spojrzął na zegarek i porwał się jak oparzony.

— Czas już panie hrabio — rzekł chwytając za kapelusz.

— Dokądże tak spiesznie, panie Albinie... Jestem dziś zupełnie wolny, mógłbyś pozostać.

— Jakto, czyż zapomniałeś pan już o wszystkim? — zawołał Albin, którego zgorszyła już ta naiwność Żywickiego. — Powiedziałem panu przecież, że dziś wieczór rozstrzygają się już nasze losy. Panna Irena już wyjechała....

— Na miłość Boga, panie kochany.... więc to zaraz...

— Dziś, za godzinę, już, może... gdybym się spóźnił, mogło by być wszystko

stracone. Milionerissimus zbladł.

— Panie hrabio — rzekł Albin — muszę cię deranzować.
Będziesz mi potrzebny....

— Ja?... ależ ja jeszcze nie wiem o żadnych szczegółach...

Powiedz mi tedy

wszystko i poinformuj, co mam do zrobienia.

— Informacja bardzo krótka — odparł Wywilski — zbierz się
pan zaraz, każ

przygotować swój powóz i o godzinie pół do dziewiątej jedź
na miejsce...

— Na jakież, panią Albinie?... wszakże nic nie wiem.

— I niedomyślasz się pan? dokądże pojechała panna Irena?

— Mam tedy za nią jechać do dworku!

— Nie potrzebujesz pan udawać się wprost do dworku.

Mógłbyś pan popsuć wszystko.

Ale będę pana potrzebować... Musisz pan być w pobliżu.

Każesz się pan podwieść i

zatrzymasz się pan za dworkiem lub przed nim...

— A potem?

— Potem czekać pań będziesz na mnie. Gdy pana zawezwę,
musisz się pan stawić

natychmiast Milionerissimus był srodze zakłopotany.

— Dobrze — szepnął tonem dręczonej ofiary.

— A! jeszcze jedna pstrąga! Nie przestroga! Nie bierz pan
własnego powozu..

— A to dla czego?

— Mógłby on spłoszyć przedwcześnie. Weź pan
fiakra.

— Fiakra! — szepnął p. Milonerissimus — fiakra...

— Rozumie się krytego...

— Czy kryty czy nie kryty, kochany panie, ale ja tak nie lubię
jeździć

fiakrem... Kto ma pięć ekwipażów...

— Ten powinien raz przejechać się fiakrem, jeżeli tego koniecznie potrzeba, dla uratowania tych pięciu ekwipażów.

Milionerissimus nic nie dopowiedział. Uwaga trafiła do jego przekonania.

— Do widzenia tedy — panie hrabio — rzekł Albin zegnając się z Żywickim — gdy się sam udawać będę na miejsce, zobaczę się jeszcze z tobą koło dworku i dam ci bliższa informację...

— Będę czekał niecierpliwie. Nie trzymaj mnie pan długo na torturach.

Albin uściśnął kordjalnie i poufale Żywickiego i wybiegł z salonu.

Na ulicy czekał ciągle powóz najęty, którym przyjechał.

Wywilski wsiadł do

powozu i kazał się zawieźć do siebie. W domu przebrał się szybko. Spojrzał raz

jeszcze na zegarek i rzekł do siebie.

— Plan trochę awanturniczy i śmiały... Kto wie czy nie lepiej było sprzedać

odkrycie po prostu Żywickiemu a wyrzec się reszty... Ależ i to nie stracone, a

tymczasem kto wie, czy rzecz się nie uda. Mam do czynienia z człowiekiem, który

podwójnie jest w mej mocy: raz, że jest głupi, powtóre, że sam zależy od dziwaka

i warjata prawie.

— A teraz — dodał po chwili namysłu — ruszajmy. Według biletu mam jeszcze

godzinę prawie czasu. Pójdę piechotą. Tym sposobem lepiej mi się uda wstępny

rekonesans.

Przerzucił sobie przez plecy płaszcz jesienny, włożył na głowę okrągły, niski kapelusz z szerokimi krysami i spoglądając do zwierciadła szepnął z uśmiechem:

— Czy też podobny jestem do Amadeusza?... Potem zwrócił się ku drzwiom, ale nagle cofnął się do pokoju, wydobył z biurka mały, kieszonkowy rewolwer i schował go do surduta.

— Kto wie — mruknął — w najgorszym razie może się i to przyda.

Po upływie dobrego kwadransa znalazł się Albin za miastem. Na samym końcu przedmieścia, na lekkim wzgórzu stał dziwacznych kształtów dom stary. Był to dwór jednopiętrowy, z ogromnym gankiem i z oszklonym balkonem. Od dawnego czasu nie restaurowany, wyglądał prawie na ruinę. Mury poczerniałe, z których miejscami tynk poopadał, przedstawiały posepny widok opuszczenia.

Dom ten otoczony był dokoła ogrodem, który go prawie zupełnie zasłaniał swemi drzewami. Ogród ten, a właściwie park, był ogromnej objętości, a zamykał go zewsząd mur dość wysoki. Do głównego wchodu prowadziło kilkanaście schodów kamiennych, mchem porośniętych, jakby się nigdy na nich ludzka stopa nie znajdowała.

Główna brama była zamknięta.

Albin Wywilski znalazłszy się przy tym starym dworze, zatrzymał się i chwilę

przeglądał się mu uważnie.

Wieczór letni był śliczny. Księżyc w pełni, który przybladła tarczą ledwie

rysował się na niebie, przyćmiony blaskami zachodzącego słońca, zapowiadał noc jasna i pogodną.

Chwilkę stał Albin zajęty oglądaniem domostwa, gdy usłyszał lekki turkot. Był to

fiakier, wiozący Żywickiego. Fiakier o kilkaset kroków zatrzymał się przed

dworem. Albin pospieszył ku Żywickiemu, chwilkę z nim konferował i umieściwszy

go wraz z fiakiem za małym domkiem przedmiejskim, wrócił na dawne miejsce.

Albin owinąwszy się w płaszcz swój jesienny, zacisnął kapelusz jeszcze głębiej

na czoło, i począł szukać wchodu do parku. W bilecie, który przejął, była

wskazana furtka. Ostrożnie począł okrążyć ogród,

czyli raczej park dziki. Mur, który park ten dokoła otaczał, był wysoki i

niedozwalał widzieć wnętrza.

Park był bardzo rozległy, a Albinowi zdawało się, że mur, po pod który szedł

ciągle, nie ma końca. Po kilku minutach znalazł się w samym tyle ogrodu. Tu w

końcu znalazł Wywilski, czego szukał. Ujrzał w murze wążka żelazną furtkę, z

gęstej kraty złożoną. Mur ogrodowy sklepiał się nad nią i wyskakiwał w górę małą

wieżyczką.

— Otóż i tajemnicze wejście... — szepnął Albin. I zbliżywszy się ostrożnie

chwycił za klamkę. Furtka była otwarta. Albin wszedł do ogrodu i zatrzymał się chwilę, patrząc dokoła. Księżyc wschodził na niebo w całym swym blasku i oblewał park obfitą strugą łagodnego światła. W rozmaitych kierunkach prowadziły przez ogród szpalery, utworzone z lip starych, olbrzymich. W jednym z tych szpalerów, oddalonych bardziej od wchodu, ujrzał Albin dwie postacie kobiece. Mignęły się one na chwilę, oświetlone fantastycznie przez księżyc, i zniknęły wśród ogromnej grupy drzew i krzewów, których okiem nie można było przeniknąć.— Brawom... rekonessans — dalszy niepotrzebny — szepnął do siebie Albin — panna Irena jest bardzo punktualną... Cofnął się znowu ku furtce, wyszedł z ogrodu furtkę ostrożnie przymknął, Uczyniwszy to, szybko i prawie biegnąc Albin powrócił znowu do Żywickiego. Milionerissimus siedział w powoziku i zdawał się przebywać formalne tortury. Zasunął się w kąt i dusił się od gorąca w zamkniętym powozie, w którym z przesadnej ostrożności nie śmiał nawet otworzyć okien. Albin otworzył nagle drzwiczki od powozu. Żywicki drgnął przełęczony i zapytał: — Cóż tedy? — Nic jeszcze.. — odparł Albin. — Przyszedłem po pana. Ptaszek jest ale bez pary. Pójdiesz pan za mną do ogrodu i skryjesz się u samego wstępu. Żywicki rad

był bardzo, że został oswobodzony z swego więzienia ciasnego i niewygodnego.

Świeże powietrze wieczorne orzeźwiło go nieco i dodało mu otuchy.

— Czy to tylko nie mistyfikacja jaka, panie Albinie...

Przykroby mi było, gdybym kompromitował tak moją powagę... Pierwszy raz w mojem życiu uwikłany jestem w podobną awanturę.

— Cóż robić, kochany panie — odparł szyderczo Albin — obowiązki ojca!...

Niebawem stanęli obaj przed furtką. Albin otworzył ją z tą samą ostrożnością, co

przedtem i znalazłszy się w ogrodzie, rzekł do Żywickiego:

— Tu na prawo... zaraz, pod murem... widzisz pan tę ławkę?

Usiądź pan tutaj i

czekaj. Gdy wydam głośniejszy okrzyk, spiesz pan

natychmiast. ku nam... Wszak

znasz pan ten ogród?

— Znam go dobrze — odparł Żywicki. — Ale panie Albinie

— dokończył cichym,

plączliwym prawie głosem — tu wilgoć okropna... ja to

zdrowiem przepłacę..

Wywilski zaśmiał się tylko i ruszył powoli i na palcach prawie w głąb ogrodu.

Nie znał parku, który jak już powiedzieliśmy, był olbrzymi, i przedstawiał

formalny labirynt szpalerów i chodników. Wieczór był jasny jak dzień, a Albin

tem ostrożniej się posuwał naprzód, nie chcąc zapewne być przedwcześnie

widzianym.

Co kilkanaście kroków wstrzymywał się i nadśluchiwał uważnie, wyteżając zarazem wzrok swój dokoła. Usłyszał nagle szept jakiś i kierując się jego odgłosem, szedł ostrożnie dalej. Szept stawał się coraz wyraźniejszym a składały się nań dwa kobiece głosy. Postępując tak naprzód, Albin znalazł się przed gęstą grupą drzew i krzaków. Była to najdziksza partja parku. Krzewy nietknięte oddawna ręką ogrodnika splotły się w gęstą, nieprzeniknioną zasłonę, a drzewa do reszty zamykały widok. Głosy odzywały się teraz z pobliza. Za tą zieloną ścianą znajdować się musiały rozmawiające kobiety. Wywilski zatrzymał się i jakby namyślał się jeszcze po raz ostatni. Była to stanowcza chwila a nasz karjerowicz zdawał się wahać.... Zostawmy na chwilę Żywickiego i Albina w ich pozycji, a pospieszmy stać się świadkami spotkania, które sprowadzi nam na widownię nowych, niespodziewanych gości. Tego samego dnia, kiedy odbyła się w salonie pani hrabiny Sylwji owa opisana scena, a więc równocześnie z kampanią rozpoczętą przez Wywilskiego, Amadeusz spędził długi czas w swoim pomieszkaniu. Wyszedł on od Sylwji, upokorzony, zmieszany, i gniewny, ale bardziej jeszcze zakochany, niż był dniem przedtem.

Niepowodzenie, jakiego doznał i fatalna scena z Ireną
rozdrażniły go w
najwyższym stopniu. Zakazał służbie puszczać do siebie
kogokolwiek, i zamknięty
na klucz całą resztę dnia przebył to na rozmyślaniu ponurem,
to na wybuchach
szalonych, któremi zwykła sobie była folgować jego natura
namiętna.

Dopiero gdy wieczór zapadł, Amadeusz znużony i rozstrojony
wybiegł z domu i
puścił się bez celu jedną z ulic głównych miasta. Chciał uciec
niejako przed
sobą samym, chciał się rozerwać a niemogąc znaleźć
przedmiotu do pożądanego
roztargnienia, wodził błędnie oczyma po ulicy.

Właśnie miał wzrok przed siebie zwrócony, gdy o kilkanaście
kroków przed nim
przechodził przez szerokość ulicy człowiek, który zwrócił od
razu całą uwagę
Amadeusza na siebie.

Był to wysoki, barczysty mężczyzna, ubrany dziwacznie, w
oryginalnej bluzie i z
pomiętym kapeluszem na głowie.

Na widok jego Albin zatrzymał się i ledwie nie krzyknął
głośno. Człowiek ten
wyglądał zupełnie tak, jak ów zagadkowy oryginał, który się
w teatrze tak
dziwnie zaprezentował Amadeuszowi, a który mu tylko swe
imię Roch wyjawiał.

Amadeusz zapomniał w tej chwili o wszystkim uważnie
ścigał wzrokiem
nieznajomego. Nie łudził się. Była to ta sama, zagadkowa
figura, z którą w tak

dziwny i tajemniczy sposób zawarł znajomość. Poznał od razu, tę twarz kościstą,
ogorzała i ostro markowana, ocienioną zarostem bujnym i zdziczałym, te same
herkulesowskie kształty ciała, tę samą nawet, czerwoną koszulę na grubej,
muskularnej szyji.

— Roch!... — szepnął sam do siebie Amadeusz i stanął na miejscu, nie spuszczać z oczu tajemniczego człowieka.

Nieznajomy przeszedł przez środek ulicy i skręcił w ulicę boczną.

— Nie puszczę go już teraz! — rzekł do siebie w myśli Amadeusz — nie dam się mistyfikować jak żak! Muszę tego człowieka, skłonić do wyznań dokładniejszych!

I chciał od razu podbiec do nieznajomego i przemówić do niego, ale po chwilce namysłu inaczej się zdecydował. Przekonał się już, że z Rochem na nic się nie przyda postępować obcesowo i natarczywie. Obawiał się, aby to drugie spotkanie nie skończyło się tak samo, jak pierwsze. Umyślił tedy użyć podstępu i poprzestać na śledzeniu tajemniczego dziwaka.

— Nie umknie mi teraz — rzekł do siebie — przyczepię się do stóp jego i nie ustąpię, dopóki nie zasiągnę wiadomości o tem dziwacznym zjawisku!
I zostając trochę w tyle, udał się za nieznajomym. Brodaty jegomość szedł

krokiem silnym i szybkim. Amadeusz postępował za nim krok
w krok, nie
spuszczając go z oka. Zstąpił umyślnie na drugi bok ulicy,
i nacisnął kapelusz na czoło, aby go nie spostrzegł i nie poznał
nieznajomy, w
razie gdyby się odwrócił. Na szczęście człowiek w czerwonej
koszuli nie oglądał
się wcale i idąc spieszenie, patrzył tylko przed siebie, gwizdząc
przez zęby
jakąś włoską arjetkę. Minęła dobra chwila a Roch nie
zatrzymał się nigdzie, ale
szedł ciągle dalej. Amadeusz nie zrażał się tem wcale, ale krok
w krok
postępował za nim. Minęli tak kilka ulic, a nareszcie zostawili
za sobą główną
część miasta. Wkrótce znaleźli się obaj na przed-
mieściu dalekiem, a Roch szedł ciągle dalej.
— Cóż u licha — szepnął sobie Amadeusz, który zaczął się
już niecierpliwić — czy
ten warjat przypadkiem nie opuszcza miasta piechotą!
Dokądże on mnie zaprowadzi!
W tej chwili nieznajomy minąwszy ostatnie domki
przedmieścia skręcił w boczną
uliczkę. Była to ta sama uliczka, którą właśnie przed
kwadranssem szedł na
wyprawę Albin Wywilski.
Amadeusz ujrzał się w znanej sobie dobrze okolicy.
Przypomniawszy sobie, ile razy
tą wąską, przedmiejską uliczką dążył do osamotnionego
starego dworu.
Przypomniała mu się Irena, i owa przykra, tak nie w porę
zaszła scena w salonie

Sylwji. Uczuł wyrzuty i na chwilę tęskno mu się zrobiło w duszy za dawną, wzajemną miłością, która ustąpić teraz musiała namiętności szalonej i podwójnie niebezpiecznej, bo bez widoków i przyszłości... Tymczasem Roch szedł spieszenie dalej, a Amadeusz, który pod wpływem wspomnień szedł był już wolniej, musiał podążyć za nim. Nieznajomy wszedł w głąb uliczki i minął stary dwór. W półcieniach i półświatłach majaczyło stare domostwo a drzewa gęstego parku szumiały łagodnie. Te stare drzewa, oblane światłem księżycowym, zdawały mu się tak jak dawniej szeptać słodką tajemnicę miłosnej schadzki, ale serce nie rozumiało już tego głosu... Wspomnienia głuchły bez echa... Roch skreślił po pod mur ogrodowy. Amadeusz szedł za nim, nie spuszczać go z oka, a zdziwienie jego wzrastało coraz bardziej. — Zagadka po zagadce — mruknął do siebie — ten człowiek intryguje mnie zaprawdę, jak płaszczykowa komedia hiszpańska!... Cóż u licha sprowadza go w to miejsce? Nieznajomy tymczasem zbliżył się do furtki ogrodowej i otworzywszy ją znikł za murem... Amadeusz stał chwilę zdumiony i bezradny, nie wiedział czy pójść za nim, czy zaprzestać dalszego śledztwa. Postanowił w końcu bądź co bądź wytrwać do końca. Poskoczył ku furtce i wpadł do parku. Zobaczył, jak wysoka barczysta postać

nieznajomego poruszała się jednym z głównych szpalerów,
który wiódł do wnętrza
dworu. Równocześnie usłyszał szelest w drzewach tuż obok
siebie.

Był to Milionerissimus nasz nieszczęśliwy, który ujrawszy
dwie nowe postacie,
odskoczył w głąb parku i przysiadł za krzakami, klnąc los,
który go nawiedził
tak niewygodna sytuacją.

.....
Powróćmy teraz do Albina, który dotąd jeszcze nie
zdecydował się, co ma począć
właściwie. Stanowcza a do tego jeszcze bardzo drażliwa
chwila odjęła mu odwagę i
zwykłą effronterję, choć sobie całą przygodę z góry
jakkajdokładniej ułożył i
wykombinował.

Z poza drzew dochodził go ciągle odgłos rozmowy.

— Mylisz się może, a nawet mylisz się pewnie droga Ireno —
odezwał się głos
jednej kobiety — Amadeusz cię kocha równą miłością, co
przedtem.

— Nie mówmy już o tem — odpowiedział głos drugi,
stłumiony i drżący od
głębokiego wzburzenia. — Nie łudzę się... Czy myślisz, że nie
chwyciłam się
najmniejszych nawet pozorów, że nie uciekałam siędo
najbliższych przypuszczeń,
nim się rozstałam
z wszelką nadzieją?... O nie, ja tę pewność okupiłam drogo,
bo walczyłam
przeciw niej rozpaczliwie... — Jeżeli masz pewność,
znajdziesz i siły

przeboleć ją. Po cóż tedy to spotkanie?...

— Nie powinnam była może życzyć go sobie i wywoływać go sama — odparła Irena —

ale nie wiedziałam jakie to będzie spotkanie. Dziś już nie uczyniłabym była

tego... Wezwałam go przedtem, nim się przekonałam zupełnie, że odstąpił mnie

stanowczo... O tak... odstąpił mnie! Amadeusz nie kocha mnie więcej. To nasze

widzenie się będzie ostatniem... Miało ono być tylko sposobnością do uzalenia

się, do wyrzutów, do wyjaśnień, o których skutku wczoraj nie wątpiałam jeszcze; —

stało się inaczej, będzie pożegnaniem, dla niego obojętnem, strasznie dla

mnie... O! ileż mi potrzeba odwagi, bohaterstwa, aby mu powie-

dzieć: Jesteś wolnym!... i zachować przytem dumę i okazać jeżeli nie wzgardę to

stałość!... Drzę cała... ach, jakże słabą jestem!... Nastąpiła chwila milczenia.

— Patrz.... Jego niema jeszcze.. Czas oznaczony minął już. Może nie przyjdzie...

Ach, co za upokorzenie!...

W tej chwili Albin zdecydował się i wszedł w grupę drzewi
Gdy Irena ujrzała

postać, której rysów twarzy nie rozeznała w mroku wieczornym, cofnęła się w głąb

ławeczki, na której siedziała i jakby przelekniona tuliła się do boku swej

towarzyszki,

— Oto on... Boże, co ja mu powiem... — szepnęła. Albin zbliżył się i zdejmując

kapelusz z głowy, grzecznie się uklonił.

— Staję tu w pozycji człowieka — odezwał się głośno —
któremu...

W tej chwili przerwano mu. Irena i jej towarzyszka
spozstrzegłszy przed sobą obcą
i nieoczekiwaną osobę, wydały równocześnie głośny wykrzyk
przestrachu...

Na odgłos ten odezwały się z parku ze wszystkich stron kroki.
Krzyk dał się
słyszeć właśnie w chwili, kiedy nieznajomy z śledzącym go
Amadeuszem byli na
środku alei, wiodącej do dworu.

W jednej prawie chwili całe grono osób znalazło się wśród
partji drzew, w której
znajdowała się Irena z swą towarzyszką. Najpierw nadbiegł
Żywicki, który poznał
głos swej córki, następnie pojawił się Amadeusz, a w końcu
pokazała się wysoka,
herkuliczna postać nieznajomego...

Księżyc jasno oświetlał całą grupę osób. Wszyscy spoglądali
z przestrachem i
zdziwieniem po sobie. Jeden tylko Roch zachował spokój a na
twarzy jego nawet
uśmiechu dostrzedz było można,
— Czerski! — zawołał Żywicki spoglądając na nieznajomego,
i nie wiedział, co
począć z sobą.

Albinowi zrobiło się nie dobrze. Byłby może co prędzej
wyniósł się z miejsca
improwizowanej schadzki,
ale widziano go już, a ponury wzrok Amadeusza zdawał się go
przykuwać do
ziemi...

Nastąpiła chwila przykrego milczenia. Prawie każda z osób uważała ją za ciszę przed burzą, której pierwszy piorun może w nią samą miał uderzyć.

IX.

PIERWSZY OWOC INTRYGI.

Postacią swą olbrzymią zarówno, jak spokojem i kontenansem Roch zdawał się panować nad wszystkimi zgromadzonymi osobami. Mały uśmiech zdziwienia igrał na jego twarzy. Na wykrzyk Żywickiego, który go nazwał po imieniu, odpowiedział lekkim skinieniem głowy a potem zwracając się do całego towarzystwa zdjął kapelusz i skłonił się uprzejmie.

Nie zważając na nikogo, podszedł następnie bliżej ku obom kobietom, które nie ochłoneły dotąd jeszcze z przerażenia, wpatrzył się w nie bystro i łagodnym głosem zawołał:

— Panna Irena?...

Irena powstała i opierając się na ramieniu Żywickiego, który przedstawiał

politowania godny obraz po-

mieszania, patrzyła dokoła okiem biednym i drżąca cała.

— Irena... — powtórzył Roch — widzisz Zebciu, panna Irena nie poznaje mnie...

— Ireno — odezwał się niepewnym głosem Żywicki — patrz, czyż nie przypominasz sobie, to wuj Czerski!

— A! wuju! drogi, kochany wuju! — zawołała Irena, jakby przypominając sobie

nagle rysy Gzerskiego.

I rzucając ramię ojca poskoczyła ku Gzerskiemu i objęła go swemi ramionami.

— Przebacz, złoty wujaszku — wołała — ale to tak dawno, jak cię nie widziałam!

Ale mimo to gniewam się na siebie, jak mogłam cię niepoznać! Niedobry wujaszku, ja cię tak kocham, tak o tobie marzę zawsze, a ty tak długo na siebie czekać kazałeś!...

Widok Czerskiego wywołał w Irenie wspomnienia najpierwszych chwil młodości, wieku dziecinnego jeszcze, w którym go raz pierwszy poznała, to też z dziecinną pieśczołliwością tuliła się do niego, obsypując dłonie i twarz jego pocałunkami. Ale wspomnienie, które na chwilę zmieniło Irenę w dziecko, ustąpiło nagle przed boleśnym uczuciem obecnym. Od twarzy wuja wzrok jej zwrócił się ku Amadeuszowi, i nie mogąc się powstrzymać od łez, Irena z stłumionem łkaniem główkę swą oparła o pierś Czerskiego.

— Dziecko moje! — zawołał Roch, a głos jego silny i głęboki zdawał się drzeć od wzruszenia — co

ci jest?... Nie spodziewałem się smutnego powitania...

Widzisz, umyślnie z

daleka tu przybyłem, aby się pokrzepić pogodą twoich ocząt i srebrnym dźwiękiem twego śmiechu...

Irena nie mogła wstrzymać się od płaczu. W obec tylu świadków tej sceny

usiłowała koniecznie stłumić wzburzenie swoje, ale było ono silniejsze niż jej zamiar.

— Co to znaczy? — zawołał prawie surowym głosem Roch, i rzucił pytające spojrzenie na Żywickiego.

Biedny Milionerissimus zmieszał się jeszcze bardziej i odpowiedział:

— Nic nadzwyczajnego, kochany Rochu, radość... wzruszenie...

Czerski badawczo spojrział na Żywickiego a potem na Albina i na Amadeusza.

Nie potrzeba było nadzwyczajnej bystrości, aby poznać, że wszyscy ci ludzie nie bardzo radzi byli swej sytuacji, i że w sytuacji tej ukrywa się jakaś zagadka.

Irena tymczasem zdołała się nieco uspokoić. Czerski podał jej swe ramię i

zwracając się do obecnych, rzekł:

— Zdaje się, że jakiś dziwny traf sprowadził nas tu wszystkich, do tego opuszczonego parku...

— Nocy tak ładne, wieczory tak ciepłe... wycieczka tak miła... — próbował tłumaczyć Żywicki, drżąc w istocie od chłodu.

— Większa część towarzystwa jest mi znaną — mówił dalej Czerski — jedynie...

Tu zwrócił się do Albina z lekkim ukłonem.

— Pan Albin Wywilski — pospieszył z odpowiedzią Żywicki — i pan Amadeusz...

— Pana Amadeusza znam — przerwał Roch i podał rękę Ordawskiemu — i żal mi tylko,

że się ludzi i daremnie spodziewa usłyszeć coś więcej
odemnie nad to, co już
powiedziałem. Chciałem panu umknąć, nie udało mi się
jednak... — dodał z
uśmiechem żartobliwym.
— Byłoby się to panu udało, gdyby nie przypadek — odparł
Amadeusz. — Spotkałem
pana trafem na ulicy i przyznać się muszę, zabawiłem się w
szpiega... Ale
przyznasz pan sam, spotkanie nasze było tak dziwne, że
ciekawość moja jest
wy tłumaczona.
— Ale i płonną — odparł Czerski. — Nie gniewam się o to...
A teraz moi państwo,
skorośmy się znaleźli tutaj w dość liczne gronie, muszę
pamiętać o moich
obowiązках gospodarskich. Trzeba wam bowiem wiedzieć,
że jestem tu
gospodarzem... To stare, opuszczone domostwo, to moja
rezydencja tutejsza.
Wieczór zaczyna być chłodnym, zapraszam tedy do siebie!
Rzekłszy to zrobił gest ręką, wskazując na rysujące się po za
drzewami mury
starego dworu i ruszył naprzód z Ireną. Amadeusz, jakkolwiek
powtórne już tego
dnia spotkanie się z Ireną wprawiało go w przykre
pomieszanie, tak mocno był
zaintrygowany tajemniczą osobą Rocha i niespodziewanym
spadkiem po stryju, który
z rąk jego otrzymał, że rad był w części zaproszeniu i podając
ramię stryjence
Ireny udał się za Rochem. Żywicki i Albin pozostali w tyle.
Albin dopiero teraz

przyszedł nieco do siebie po przestraszeniu sprawionym
pojawieniem się nagłym
najpierw Amadeusza a potem niespodziewanym spotkaniem
tego mitycznego prawie,
oryginalnego bogacza, którego Żywicki nazywał warjatem a
którego bał się zarazem
tak ogromnie.

Gdy obie pary oddaliły się o kilkanaście kroków, Żywicki i
Albin spojrzeli po
sobie. Milionerissimus odsapnął i popatrzył wzrokiem
gorzkiego wyrzutu na
Albina.

— Przeczuwałem — rzekł zmęczonym tonem — że zamiast
mi pomóc, przyprawisz mnie
pan o straszliwy kłopot! Człowieku, na jakie
niebezpieczeństwo mnie naraziłeś?

Albin zaśmiał się półgłosem.

— Cóż się tedy stało?

— Ależ czy nie widziałeś pan, że wszystko wisiało na
włosku?... Gdybym nie był
zachował zimnej krwi — dodał z pewną dumą — wszystko
odkryć się mogło! I kto
wie, czy wszystko nie wypłynie na wierzch.

— Nie byłbym temu winnym. Ale bądź pan spokojnym, panie
hrabio, czyż nie poszło
wszystko dobrze? Żywicki machnął ręką z miną człowieka,
którego los niezasłużenie
prześladuje.

— Wiesz co, panie Wywilski — rzekł cierpko — ze mnie to
już niecierpliwi.

Zapominasz o tem, że ja
dotąd niewiem zupełnie, o co tu chodziło i o co chodzi
jeszcze. Powiedz że mi

teraz nareszcie, czegoś się tu spodziewał?

— Niedomyślnym jesteś hrabio. Niechcę cię dłużej dręczyć.

Tym kochankiem, z

którym panna Irena miewała schadzki w tym ogrodzie, jest

Amadeusz. Żywicki całą

dłonią uderzył się w czoło.

— O comme je suis... — zawołał ale nie skończył,

nastraszywszy się komplementu,

który samemu sobie chciał powiedzieć.

— Cóż pan teraz myślisz o wszystkim? — dodał prędko.

— Mniemam, że niebezpieczeństwo jest większe nawet, niż się spodziewałem.

— Dla czego?

— Czy nie zastanawia cię to, że Amadeusz stawiał się na schadzkę, choć list

wzywający go do niej ugrzązł w moich rękach?

— Wszakże mówił Czerskiemu, co go tu sprowadziło.

— To mogło być wymówką. A wymówka ta właśnie zdradza całe niebezpieczeństwo.

— Nie pojmuję.

— Czy Amadeusz znał lub widział kiedy Czerskiego?

— Nigdy.

— Zkądże się znają? Czy nie przypuszczasz, że po za twemi plecami ma porozumiał

się z tym oryginałem?

Czy nie uważałeś, jak zagadkowo do siebie mówili, odwołując się do jakiejś

tajemniczej znajomości?...

— Masz rację, panie Albinie — rzekł zafrasowany Żywicki — ale cóż teraz robić

wypada?

— Wypada ci pamiętać o tem, że w chwili stanowczych jakichś rozpraw z Czerskim

musisz mnie zaprezentować jako człowieka, którego
upatrzyłeś na zięcia dla panny
Ireny.

— A informacje Czerskiego?

— Dadzą się z tem pogodzić i to bardzo gładko... Ale pst...
wracają....

W istocie Czerski prowadząc ciągle Irenę po pod ramię,
zwrócił się do swych
gości, i rzekł:

— Dałem mojej improwizowanej służbie instrukcje do
przyjęcia tylu

niespodziewanych gości... Tymczasem przejdziemy się trochę
jeszcze po parku. Nie
jest jeszcze tak późno jak myślałem.

Rzekłszy to zapuścił się Roch w szpaler z Ireną i jakby
naumyślnie chciał

oddalić się od reszty towarzystwa, przyspieszył kroku.

Amadeusz szedł w tyle,

nudzając się śmiertelnie obojętną rozmową z stryjenką Ireny, a
Żywicki trzymał się

rozpaczliwie Albina, nie mając odwagi przyłączyć się do
Czerskiego i Ireny.

Mihonerissimus dzwonił zębami i złorzeczył wieczornej
przechadzce, gdyż chłód

dawał się czuć coraz bardziej Na domiar nieszczęścia Albin
pograżył się w

głębokie zamyślenie i monosylabami tylko zbywał zapytania
Żywickiego.

Przechadzka ta trwała nadspodziewanie długo. Między
Czerskim a Ireną toczyła się

jakaś żywa rozmowa. Mówili z sobą szeptem, a Roch kilka
razy się oglądnał, jakby

się chciał przekonać, czy ich towarzystwo idące w tyle nie podsłuchuje.

Następnie skręcił Czerski z Ireną umyślnie w inną stronę parku, i odłączył się od spacerującego grona. Gdy po dłuższej chwili Amadeusz ujrzał ich znowu przed sobą, zdawało mu się, że słyszy swe nazwisko, wymawiane często przez Rocha i przez Irenę....

Nareście Roch zatrzymał się przed wejściem do dworu.

Wejście to tworzył ganek oparty na dużych kamiennych kolumnach, około których gęstą i malowniczą siecią osnuwało się dzikie wino z bluszczem pospołu. Ganek, jakby na skinienie czarodziejskiej różeczki, zajaśniał w świetle rzęsystem. Z ganku wchodziło się w sień równie jasno oświetloną, a ztamtąd na wschody, wiodące na pierwsze piętro.

— Mieszkam na pierwszym piętrze — rzekł Czerski zatrzymując się z Ireną na ganku. Proszę państwa naprzód, my z Ireną reprezentujemy gospodarstwo. Żywicki, Amadeusz i Albin odbywali więc rodzaj defilady przed Czerskim. Żywicki pobladł, zobaczywszy przy świetle twarz Rocha. Była ona groźną i gniewną. Amadeusz spotkał się z wzrokiem ponurym i prawie roznamiętnionym. Irenę ujrzał bladą, wzruszoną i zapłakaną. Albinowi także nie uszła ta nagła zmiana w postaci Czerskiego. Przed chwilą

jeszcze spokojny i pewny siebie, teraz nastraszył się naprawdę własnej intrygi.

Chętnie byłby się wymknął, ale Żywicki trzymał go za ramię — a odwrót nie dał

się wykonać niepostrzeżenie

Sprowadzeni tak przypadkowo do starego dworu goście weszli do sali na pierwszym

piętrze. Roch Czerski wszedł z Ireną ostatni. Sala była oświetloną, a wszystko,

co się dało na prędce zrobić dla przyjęcia gości, było przygotowanym. Dwóch

starych lokajów, ubranych w wystawne liberje stało przy drzwiach. Na środku stał

stół zastawiony cukrami i zimnymi przekąskami, a obok syczały samowary i mroziły

się w lodzie butelki z szampańskim winem.

Sala sama przedstawiała widok oryginalny. Ściany jej okryte były ciemną mozaiką

i sztukaterją a zewsząd opatrzone były w ogromne, od podłogi aż do sufitu

sięgające zwierciadła. Szereg marmurowych kolumn odgradzał salę od portalu

wiodącego do sąsiednich pokojów, po kątach zamiast posagów piętrzyły się

ogromne, misternie ułożone armatury, na których szczycie wznosiły się brązowe,

starożytne posązki Famy, Wiktorji i Bellony.

Mimo rześistego oświetlenia sala wyglądała ponuro, a mimo to, że wszystkie

wysokie, gotyckie okna były otwarte i przepuszczały wonną atmosferę ogrodu, czuć

w niej było, jak w każdym od dawna niezamieszkałym domu, wilgoć stęchlizny.

Posępne otoczenie zdawało się wywierać wpływ niepomyślny na gości. Nikt nie czuł się swobodnym i wesołym. Gospodarz sam nie przyczyniał się wcale do wzbudzenia lepszego humoru w gościach. Twarz jego była zamyślona, surowa, a prawie groźna. Opuściwszy ramię Ireny Roch zaprosił swych gości milczącym gestem, aby odpoczęli. Potem z cicha szepnął coś lokajom, z których jeden krzątać się począł około herbaty, drugi zaś znikł z sali. Żywicki, któremu duszno się robiło pod wpływem ciężkiej atmosfery, która otaczała całe grono, nie wiedział, co ma robić z sobą. Zdecydował się nareście przemówić do Rocha, udając ton swobodny i wesołe zdziwienie.

— No i proszę — zawołał zwracając się do Rocha — wszakże tu spotykam całe gospodarstwo... Cudów dokazujesz, drogi Rochu. Zkąd u licha wzięłeś od razu służbę i całą zastawę?

— Wiesz, że nie jeżdżę bez służby...

— Ale kiedyżeś przyjechał?

— Bawię tu już trzy dni — odparł sucho Czerski.

— I ja o tem nic nie wiem! — zawołał udanym tonem serdeczności Żywicki. — Czyż to się godziło? Niepoprawnym jesteś, mój drogi, toujours si bizarre, si mysterieux...

Roch nic nie odpowiedział ale usiadłszy do stołu, począł rozmawiać z ciotką

Ireny, wodząc od czasu do czasu wzrokiem po zgromadzonych, którym podano herbatę. Towarzystwo milczało uparcie, Amadeusz kilka razy usiłował rozpocząć rozmowę, ale kończyło się tylko na dobrej jego woli. On jeden tylko nie rozumiał całej sytuacji a o rozwiązanie zagadki kusić się,

uważał za rzecz daremną. Tymczasem powrócił jeden z lokajów Rocha. Zbliżył się do swego pana i coś mu szepnął. Roch zwrócił się do Ireny i rzekł:

— Powóz zajechał po ciebie. Potrzebujesz spoczynku wczesnego, moja dziecię — dodał tonem łagodnym — bo jutro czeka cię podróż! Czy tak? — Tak, wuju... — odparła nieco drżącym ale stanowczym głosem Irena.

I powstając nagle z krzesła otuliła się szalem, a pożegnawszy towarzystwo lekkim

ukłonem i ucałowawszy ojca i wuja wyszła wraz z ciotką z sali. Żywicki

osłupiałym wzrokiem popatrzył na nią i na Czerskiego i spotkał się przy tej sposobności z pytającym i zdziwionym spojrzeniem Albina. Odpowiedział mu miną pomięszaną i wzruszeniem ramion.

— Zostaliśmy tedy bez dam — zabrał nagle głos Czerski — kto wie, czy to nie lepiej dla nas, bo możemy pomówić swobodniej o rozmaitych rzeczach. A zresztą uważałem, że Irena znajduje się w lekkiej niedyspozycji, dobrze tedy że odpocznie przed jutrzejszym wyjazdem.

— Przed... przed wyjazdem?... — wybąknął Żywicki i spojrzał nieśmiało na Rocha.

— Czy panna Irena wyjeżdża? Zapewne na wieś — dodał obojętnie Amadeusz.

— Irena wyjeżdża jutro za granicę! — odparł sucho i stanowczo Czerski. Żywicki przedstawił widok zarówno politowania jak śmiechu godny.

— Powiadasz, kochany Rochu... że... że... — wyjąknął zwracając spojrzenie zdumienia i trwogi na swego szwagra.

— Poczynasz niedosłyszec, mój poczciwy Zebciu — odparł szorstko Czerski — powiedziałem, że Irena wyjeżdża jutro za granicę. Czy cię to dziwi?

— Ale nie, owszem, byłem... byłem... pewnym... Ale z kim?

— Z twoją siostrą i ze mną — odparł krótko Czerski.

Nastała chwila milczenia. Milionerissimus nie śmiał już pytać dalej. Spuścił głowę na dół i wydając lekkie westchnienie, zdawał się z rezygnacją czekać na to, co dalej nastąpi. Amadeusz tymczasem powstał i biorąc za kapelusz postąpił ku Czerskiemu, chcąc go pożegnać. Cel jego w przeważnej części został osiągnięty, z postaci bowiem Rocha spadła już zasłona tajemnicza. Amadeusz wiedział już, kto jest nieznajomy, i nie wątpił, że się nieco później dowie i reszty. Ton, który panował w towarzystwie, nużył go i nudził, chciał tedy odejść. Uśmiechając się podał dłoń Czerskiemu. Czerski cofnął się, uchylił dłoni i spojrzawszy na Amadeusza, rzekł stanowczym

głosem:

— Zostań pan. Jesteś nam tu potrzebnym. Zaraz się pan dowiesz, o co tu chodzi.

Amadeusz zdziwiony a nawet zmięszany tonem Czerskiego wzruszył ramionami i pozostał na miejscu. Roch przywołał służącego i szepnął mu coś z cicha. Służący wybiegł do drugiego pokoju i powrócił za kilka chwil z małą skórą obitą kasetką.

Roch postawił ją przed sobą na stole, i dał znak obom lokajom, który natychmiast wynieśli się z sali.

Wszystkie te przygotowania uderzały zagadkowością, która i rozciekawiała i

trwożyła zarazem. Na czoło Żywickiego wystąpił pot kroplisty. Albinowi czegoś duszno się zrobiło i rad był znaleźć się sto mil od miejsca, które sobie sam obrał za widownię intrygi.

— Moi panowie — odezwał się naraz Czerski i powiódł swemi dużemi, ognistemi oczyma po zgromadzonych — Możemy teraz mówić swobodnie. Gzy jest tu kto między nami niepotrzebny?

Na takie zapytanie trudno było odpowiedzieć. Wszyscy spojrzeli z zdumieniem na mówiącego.

— Czy jest tu kto między nami — dodał Roch tonem surowym — coby nie domyślał się, jaką sprawę wniesć zamierzam? Jeżeli jest istotnie, uważać się powinien za niepotrzebnego.

Albin porwał się najpierwszy i rad był z tego zwrotu.
Amadeusz postąpił naprzód
z miejsca i zbliżywszy się do Rocha spojrzął nań wzrokiem
obrażonym i rzekł:

— Mój panie, przyznam się panu szczerze, że mi się ta
zabawka w mistyfikacje
wydaje trochę niesmaczną. Przed chwilą powiedziałeś mi pan,
że jestem ci
potrzebnym. Nie pojmuję tego wszystkiego Nie domyślam się
najzupełniej tego, o
czem ci się spodoba tu mówić, jestem tedy znowu
niepotrzebnym. W każdym razie i
pan nie jesteś mi potrzebnym, mam zaszczyt...
Czerski, który dotąd siedział w krześle, porwał się i spojrzął
przenikliwie na
Amadeusza.

— Pan niewiesz, o co tu chodzi?

— Nie wiem — odparł tonem stanowczym i znudzonym
Amadeusz.

— I ja niewiem.. — rzekł Albin kłaniając się spiesźnie.

— I ja!... — chciał zawołać w desperacji swej
Milionerissimus, ale wcześniej się
opamiętał i zamilkł.

— Skoro pan nie wiesz istotnie — rzekł Roch z naciskiem do
Amadeusza — a mimo to
jesteś mi potrzebnym, wpadłem istotnie w sprzeczność i
pragnę ci ją wytłumaczyć,
panie Amadeuszu.

I zwracając się zaraz do Żywickiego i Albina rzekł:

— Ty pozostaniesz Zebciu i bawić będziesz pana
Wywilskiego, którego mocno
przepraszam, że tak dziwnie zawieram z nim znajomość' i
którego bardzo proszę,

aby raczył zaczekać, dopóki nie skończymy z panem Ordawskim małej konferencji.

Rzekłszy to Czerski wziął Amadeusza pod ramię i poprowadził go za sobą ku drzwiom, wiodącym do bocznych pokojów. Amadeusz czuł żelazny uścisk dłoni na swem ramieniu i czuł zarazem, że dłoń ta drży, jakby od namiętnego wzburzenia.

Jakkolwiek oburzyło go w wysokim stopniu to zachowanie się Carskiego, tłumił budzący się gniew i zostawiając sobie odwet na później, szedł za nim. Obaj zniknęli za drzwiami.

Tymczasem Wywilski zarzucił płaszcz na siebie i zwrócił się ku drzwiom, wychodzącym na schody.

— Wynoszę się — rzekł do Żywickiego.

— Jak to, nabroiwszy, chcesz uciekać! — zawołał Żywicki.

— Panie Albinie,

zostań, błagam cię, wszakże ty całą tę scenę wywołałeś!

— Jak to ja? — odparł Albin — czy ja sprowadziłem tego warjata nagle, czy do

mnie należało wiedzieć, że tu ten smok przesiaduje? Adieu, hrabio, trzymaj się

dobrze a jutro naradzimy się, co dalej począć.

I chwycił za klamkę, chcąc drzwi otworzyć. Drzwi były zamknięte na klucz.

Widocznie zamknęła je służba z zewnątrz. Albin z przestachem powrócił na środek

sali... Mruknął coś do siebie i rzucił się na krzesło z rezygnacją. Naprzeciw

niego siedział biedny Milionerissimus blady, znękany, przestraszony.

W ubocznym pokoju, do którego Czerski zaprowadził Amadeusza, odgrywała się tymczasem następująca scena, Czerski opuścił dłoń Amadeusza i mierząc go swym ponurym wzrokiem, rzekł:

— Niedomyślasz się pan niczego? Czy tak?

— Nudzisz mnie pan — odparł niecierpliwie Amadeusz — powiedziałem już panu, że nie rozumiem niczego i że nie jestem w usposobieniu do łamania sobie głowy nad zagadkami...

Czerski utkwił swe oczy z oburzeniem i pogardą na Amadeusza.

— Mój panie — zawołał Amadeusz, którego spojrzenie to gniewało i mieszało zarazem — co to ma znaczyć?

— Przypatruję się — odparł spokojnie Czerski — czy się nie zarumienisz nad samym sobą...

Amadeusz zbladł jak ściana i ruszył się porywczo z miejsca.

— Tylko spokojnie, mój panie! — rzekł Czerski krzyżując swe ramiona i trzymając wzrokiem swym na wodzy Amadeusza. Powiesz mi jeszcze to, coś mi chciał w tej chwili powiedzieć, a ja ci odpowiem znowu. Ale to epizod tylko wstępny. Skoro pan nie wiesz, o co tu chodzi, skoro pan nawet nie wiesz po co tu przyszedłeś, racz posłuchać a ja ci przypomnę. Pan może nie znasz nawet Ireny?

Amadeusz teraz dopiero począł domyślać się, o co chodzi Czerskiemu.

— Po tem, co zaszło między nami — rzekł zimno — nie powinienem panu odpowiadać.

— Przekonam pana — odpowiedział Czerski — że bywają takie pytania, na które milczeć nie wolno honorowym ludziom. Wyobraź pan sobie, że mówię do pana jako ojciec, jako brat, jako obrońca słabej kobiety, wobec której pan sobie postąpiłeś niegodnie, czy pan nie czułbyś się obowiązany dać mi wyjaśnienia, którychbym żądał?

— Dałbym je i to w przyzwoitszy sposób niż ich zażądano.

— Dobrze tedy, mój ty przyzwoity panie! Ja nie wyglądam tak przyzwoicie jak pan,

nie mam tak przyzwoitego tużurka i tak przyzwoitego serca i mieć go nie chcę!

Nie bywam nigdy przyzwoitym w waszem pojęciu i szydę z waszej przyzwoitości!

Zostaw tedy na boku twój kodeks przyzwoitości!

Amadeusz uśmiechnął się szyderczo.

— Jednej wszakże zagadki przyzwoitej bardzo jestem ciekawy

— mówił dalej Roch. —

Czy nie potrafiłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego nieprzyzwoicie jest kłamać przed

mężczyzną, a bardzo przyzwoicie kłamać przed kobietą, dla czego człowiek,

któryby zadrżał przed oszustem pierwszego rodzaju, tak spokojne ma sumienie

wobec tego drugiego oszustwa?

— Pytaj się pan o to kogoś, co ma doświadczenie na tym punkcie.

— Pan go masz — odparł Roch — co do drugiej części przynajmniej. Mój panie, będę

mówił jasno. Dopuściłeś się zdrady wobec kobiety, której przysięgałeś miłość, a która ciebie nad życie kochała i co gorzej kocha cię jeszcze. Złamałeś serce tej kobiety, zamąciłeś na zawsze może spokój jej duszy, całe życie jej

masz na swoim sumieniu! Tą kobietą jest Irena,

— Ja kochałem pannę Irenę — odparł żywo Amadeusz.

— A teraz?

— Nie kocham jej... — odparł drżącym głosem Amadeusz.

— Kłamałeś tedy dawniej albo kłamiesz teraz! — zawołał z uniesieniem prawie

Czerski.

— Nie kłamałem nigdy — odparł z silnym i dumnym naciskiem Amadeusz.

— Natenczas zasłużyłeś sobie na nazwę człowieka bez charakteru, młokosa bez poczucia męskiej godności! — mówił Roch a głos jego stał się grzmiącym. — Nie kłamałeś Irenie i nie kłamiesz dziś tej, która ci ją zastąpiła, a więc kłamałeś i kłamiesz sobie, i tem godniejszym jesteś kary, że okłamując siebie, sam w swe własne kłamstwa nie wierzyłeś.,.

— Wstrzymaj się pan — przerwał Amadeusz — w stosunku moim do panny Ireny czuję się czystym i niewinnym. Kochałem ją miłością prawdziwą, wolną od wszelkich podłych pobudek. Chwila ta mego życia pozostanie zawsze najpiękniejszym wspomnieniem dla mnie...

Roch wybuchnął śmiechem szyderczym.

— Otóż macie i frazes ten sakramentalny — zawołał — frazes obłudny, lichy, który się rzuca w odprawę opuszczonej kobiecie! Najpiękniejsze wspomnienie ! Słuchaj że ty, mój Donzuanie, który zbierasz, sobie piękne wspomnienia, jak kolekcję loków lub sylwetek, czy ty wiesz, że wspomnienia takie to jak trofea zbójcy, bo na każdym z nich ciężą łzy i boleść ofiary! Ty sobie wspomnienia piękne zachowujesz, mój chłopcze, a kto weźmie drugą połowę? Kto weźmie wspomnienia cierpienia, kto weźmie zawiedzione marzenia, i całą mękę rozdartego serca? Nie ty ale ona!

— To prawda, panie Czerski — zawołał Amadeusz, na którym słowa te sprawiły głębokie wrażenie — ale jam temu nie winien! Ja ją kochałem dawniej — dziś kochać jej nie mogę! Nikt nie odgadnie praw namiętności. Uderza ona jak piorun... Namiętność, dla której przestałem kochać Irenę, jest dla mnie źródłem większych męczarni, niż dla Ireny moje odstępstwo... Powtarzam, nie jestem winny, ale jeżeli zawiniłem, to znalazłem karę... — Któż tedy jest winnym? — Los, przeznaczenie, fatalizm... lub jak chcesz nazwać tę siłę tajemniczą, która igra zawsze sercem i namiętnością człowieka. — Wybornie! Ten twój los to wyborna wymówka! Jak to praktycznie zrzucić z siebie odpowiedzialność na fatalizm!

— Nie zrzucam z siebie odpowiedzialności, ale złego naprawić nie mogę — odparł Amadeusz.

— I ja go naprawić nie mogę, niestety — odpowiedział Roch — ale mogę je ukarać!

Panie Amadeuszu — doda? tonem powolnym, ale silnie akcentowanym — opadła mnie nagle dziwna chętka, nazwania cię lekkomyślnym młokosem...

Amadeusz porwał się z miejsca jak lew zraniony.

— Los, przeznaczenie, czy fatalizm, jak powiadasz wzbudził we mnie tę chętkę.

Jeżeli ci się to niepodoba, ja nie odeszlę cię do tego fatalizmu, który tu winien wszystkiemu.

— Dostyc tego... — rzekł stłumionym głosem Amadeusz, blady i drżący od uniesienia, rzucając wzrok groźny na Czerskiego — pan zapewne widzisz powód nie wyjeżdżania jutro... Do zobaczenia tedy!

— Przeciwnie — ozwał się Czerski, który odzyskał swą zimną krew — nie widzę powodu zatrzymywania się tu dłużej. Mniemam, że możemy natychmiast to załatwić, co nam do załatwienia pozostaje.

— Tem lepiej... — odparł Amadeusz.

— Wróćmy tedy do sali. Znajdziemy tam dwóch świadków...

To trochę wygląda na improwizację, nieprawdaz, ale nie przypuszczam, abyś był tak zapalonym zwolennikiem nudnych formalności.

— Chodźmy — rzekł sucho Amadeusz.

Gdy obaj wrócili do salonu, Czerski zwrócił się do Żywickiego i Albina i rzekł głosem swobodnym i spokojnym:

— Moi panowie. Niespodziewanym trafem stałem się nieprzyjemnym panu Amadeuszowi Ordawskiemu... Zaszło małe nieporozumienie, które wymaga malej explikacji.

Albin i Żywieki spojrzeli z zdziwieniem na mówiącego.

— Nie wątpię — mówił dalej Roch — że nie odmówicie nam malej usługi i zechcecie być. widzami sceny, która zanadto krótko trwać będzie, aby was mogła znudzić.

Rzekłszy to Roch zbliżył się do kasetki, którą mu przyniósł był służący i wydobyl z niej parę pistoletów. Żywicki zamknął oczy i mało nie upadł na ziemię przerażenia.

— Panie Wywilski — rzekł Roch do Albina — racz pan wraz z Amadeuszem nabić te pistolety, jeden ślepo, drugi kula. Oto dwa naboje i jedna kula. Albin wahał się, nie wiedząc co począć.

— Czy pan przypadkiem masz wstręt do broni? — rzekł z uśmiechem Czerski.

— Spiesz się pan — dodał Amadeusz. Albin machinalnie spełnił rozkaz.

— Tak, dobrze, przybij pan lepiej... wystarczy... — dawał informacje Czerski.

— A teraz — dodał, gdy już broń była nabita — me obchodzi mnie to, jak pan pistolety w krzyż ułożysz.

I odwrócił się w przeciwną stronę, Amadeusz uczynił tożsamo. Albin tymczasem

złożył w krzyż pistolety i trzymał je w dłoni, posłuszny jak automat rozkazom

Rocha.

— Panie Amadeuszu — rzekł odwracając się Czerski — proszę wybierać? — i ukłonił się grzecznie.

Amadeusz spokojny choć ponury zbliżył się i wziął jeden z pistoletów. Czerski sięgnął po drugi.

— Panowie! Na miłość Boga!.. zawołał Żywieki truchlejąc na całym cielem.

— To nieuchodzi! — odezwał się teraz Albin, jakby się dopiero opamiętał. — To jest przeciw wszelkim regułom!...

Amadeusz i Czerski nie zważali na te upomnienia.

— Staniemy o trzy kroki, nie tak? — rzekł Czerski do Amadeusza.

— Bardzo chętnie — odparł spokojnie Amadeusz.

— Panie Wywilski — odezwał się Czerski — pozwól pan sobie powiedzieć, że kto w podobnych razach odmawia mi przyjacielskiej przysługi, tego zazwyczaj zmuszam, aby jej sam szukał dla siebie! A teraz prosimy pana obaj, racz pan liczyć do trzech... Trójka daje salwę?

Amadeusz skinął głową, mi znak potwierdzenia.

Obaj przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie z wyciągniętymi pistoletami, które prawie piersi ich dotykały.

Amadeusz był blady, wzburzony, ale z oczu jego przebijała odwaga i pogarda śmierci. Twarz Rocha

była tak spokojną i swobodną, jakby chodziło o załatwienie jakiejś codziennej drobnostki.

Nastąpiła chwila złowrogiego milczenia. Żywicki był w stanie omdlenia, które pozbawiło go władzy mowy i ruchu. Albin wahał się liczyć, gdy jednak spojrzeli nań niecierpliwie i prawie groźnie Roch i Amadeusz, biedny karjerowicz blady jak trup i drżący począł słabym głosem:

— Raz!... dwa!... trzy!...

W sali odezwał się odgłos wystrzału i przeciągłym, głuchym echem rozległ się po całym pustym domostwie.

Albin i Żywicki odważyli się spojrzeć na obu przeciwników. Obaj stali jeszcze naprzeciw siebie. Z lufy pistoletu, który trzymał Amadeusz, snuł się dym błękitny. Na piersiach Rocha tlił papier, którym pistolet był przybity.

— Oba pistolety były ślepo nabite... — rzekł Amadeusz po chwilce milczenia.

— Nie! pański tylko! Wybrałeś pan nieszczęśliwie. Mój rozstrzygał o życiu... a ja — nie strzeliłem..

Rzekłszy to Czerski wymierzył pistolet swój ku wazie japońskiej stojącej na kominie i strzeliwszy, rozłukł ją kulą.

— Czemu pan nie strzelałeś? — zapytał Amadeusz.

— Nie widziałem potrzeby — odparł spokojnie Czerski:

— Jak to pan rozumiesz? — rzekł porywczo Amadeusz.

— Albo mój pistolet był ślepo albo ostro nabity. W pierwszym wypadku szkoda

byłoby hałasu, w drugim szkoda by było ciebie... Przed
wystrzałem, w ostatniej
chwili przestałem pragnąć twej śmierci. Miewam dziwne
kaprysy, czy
natchnienia....

Niespodziewany ten epilog całego zajścia wprawił Amadeusza
w najwyższe
zdzumienie. Stał na miejscu z spuszczonego pistoletem, z
którego jeszcze kurzył
się dym prochu i nie umiał sobie żadną miarą zdać sprawy z
sytuacji, w której
się nagle znalazł wobec swego przeciwnika. Gdy minęło
pierwsze odurzenie,
Amadeusz spojrział na Rocha, jakby chciał w twarzy jego
wyczytać wyjaśnienie
tego, co zaszło.

Twarz Gzerskiego, która przed pojedynkiem była rozjątrzona i
gniew namiętny
zdradzała, odzyskała zupełnie swój zwykły spokój. W oczach
tylko nie znać było
tej pogody poważnej, jaka z nich dawniej przebijała. Wzrok
Rocha nie pałał już
wprawdzie tak groźnie, nie iskrzył się żarem namiętności, ale
pozostał w nim
wyraz jakiś surowy i ponury.

Nie zważając na zdumienie Amadeusza Roch strzepnął sobie z
piersi tlejącą pakułę
i skłonił się zlekka Amadeuszowi, jakby mu dawał grzeczną
odprawę. Zachowaniem
się swoim całym podczas pojedynku, wstrzymaniem się od
strzału, a dalej
postacią i miną Roch imponował wielce Amadeuszowi.. Iakaś
wyższość

niepospolita, przemoc jakaś moralna tchnęła z tego człowieka.
Amadeusz czuł się
wobec niego niższym, słabszym, bezsilnym —
upokorzonym...

To ostatnie uczucie, uczucie doznanego upokorzenia,
najdotkliwsze zawsze dla
ludzi z charakterem Amadeusza, przejęło go najpierw
wstydem, a następnie w
logicznej konsekwencji dziecinnem jakimś rozdrażnieniem.
— Panie — zawołał Amadeusz — chyba żartować chciałeś ze
mnie!

Roch uśmiechnął się i mierząc zimnem spojrzeniem
Amadeusza, odparł:

— Czy dla tego widzisz pan żart. w tem wszystkim, że mnie
nie zabiłeś?... Nie
ja żartowałem z ciebie, ale ten los, do którego się tak chętnie
odwołujesz, ten
hazard, w który wierzysz i który Bogiem jest twoim.

Uczyliem wszystko, czegoś
mógł tylko żądać. Wybrałem twoją własną broń. Umyślnie
zapropnowałem len rodzaj
walki, aby ci dać szansę. Zdałem wszystko na los ślepy i
prosty hazard miał
rozstrzygał między nami. Przegrałeś przed własnym swoim
trybunałem, w pistolecie
twoim nie było kuli. Jak się przekonałem, miałem w mocy
twoje życie i wziąć ci
je mogłem.

— Nie mam ochoty zaciagać długu wdzięczności! — odparł
żywo Amadeusz, którego
zimny ton i niezachwiany spokój Czerskiego jątrzył jeszcze
bardziej.

— Nie zaciągnąłeś go wcale, mój panie Ordawski. Z obu stron była równa stawka.

Powiedziałem ci już,
że miewam dziwne kaprysy czy natchnienia. Przychodzą mi
one tak szybko i nagle,
że czas, w którym się rodzą, krótszym jest daleko od chwili,
której potrzeba na
pociśnięcie kurka od pistoletu.

Amadeusz, wiedziony rozdrażnieniem i uporem, nie chciał
ustąpić, ale daremnie
silił się na jakiś argument. Czuł, że Czerski panuje nad nim jak
nad studentem.

— Nie obchodzą mnie kaprysy ani natchnienia — rzekł
wreszcie drżącym głosem — i
nie zwykłem przyjmować lekcyj. Pan chciałeś mi dać lekcje,
czego? odwagi czy
oryginalności swej... a ja...

— Jeżeli mowa o lekcjach, mój panie — odparł Roch — to ci
powiem, że mam pod tym
względem moją metodę własną. Mogłem cię zastrzelić i ująć
sobie tej
przyjemności, jaką mi sprawia ta konwersacja z tobą. Ale kula
nie bywa zawsze
dobrą lekcją z tego samego może powodu, dla którego bywa
nią czasem. Twoja
śmierć panie Ordawski nie byłaby taką dobrą nauką, jaką
będzie tve życie. Otóż i
powód, dla którego kontent jestem, że nie strzeliłem.
Amadeusz próbował się uśmiechnąć szyderczo i wyzywająco.
Czerski spostrzegł ten uśmiech, i utkwivszy wzrok swój w
twarzy Amadeusza,
zawołał podniesionym głosem:

— Tak mój młody panie! Twoje życie potrzebne mi jest
bardziej, niż twoja
śmierć. Chciałem satysfakcji, i mieć ją będę. Słuchaj mnie
panie Ordawski, i pa-
miętaj dobrze moje słowa! Uprzagnąłeś do twego życia
namiętność i dałeś mu za
hasło wiarę w hazard i grę przeznaczenia. To są piorunne
latawce i uniosą cię
szybko. Szybka to bardzo droga, tem szybsza, że krótka.
Niebawem, jutro,
pojutrze staniesz u kresu. Ale zważ to, mój młody panie, u
kresu ale nie u celu!
Padniesz przed nim zmęczony, zgruchotany, nędzny! Jak piłką
los tobą poigra i
gdy padniesz, nie podniesie cię.
— Pamiętaj o tem — mówił Roch dalej głosem, pod którym
zdawał się uginać
Amadeusz — pamiętaj, że kiedyś zabraknie ci tego serca,
które dzisiaj zrobiłeś
ofiara kaprysu i fantazji, że jak nędzarz staniesz kiedyś przed
kobietą, którą
teraz samowolnie porzuciłeś, że u stóp jej padniesz z rozpaczą
i błagać będziesz
litości!... Politowanie bez miłości, jakaż to straszna jałmużna!
Strzeż się byś
jej nie doznał!
Kiedy Amadeusz stał jeszcze w milczeniu pod wrażeniem
słów tych, których echo
brzmiało mu dziwną potęgą w duszy — Czerski zbliżył się do
taśmy od dzwonka i
szarpnął nią mocno. W tej chwili drzwi od sali, które dotąd
były zamknięte,
otworzyły się i weszli obaj lokaje.

— Poświęcić gościom! — rozkazał Roch, odzyskując swą zimną krew.

Następnie przystąpił do Wywilskiego i podając mu rękę, rzekł:

— Dziękuję panu i przepraszam go mocno. Spodziewam się, że dopełnisz pan miary

swjej grzeczności i nie będziesz miał w tem interesu, aby o całym zajściu

ktokolwiek się dowiedział. Dwóm osobom mówić o nim tylko wolno: mnie i panu

Ordawskiemu. Prawo to nabyliśmy, widziałeś pan jak?

Tu wskazał Roch na odrzucone na ziemi pistolety i dodał spokojnym ale stanowczym

tonem:

— Tylko takim kosztem można sobie okupie prawo mówienia o wypadku, który tu

zaszedł. O cenę nie omieszkałbym się upomnieć.

Wywilski zrozumiał dobrze groźbę zawartą w tych słowach i uczuł lekki dreszcz na

swem ciele Ukłonił się nisko i skwapliwie wybiegł z sali.

Amadeusz go już

uprzedził. Odurzony i pomieszany wyszedł on był przed chwilą.

Za przykładem Albina i Amadeusza chciał pójść także

Żywicki, który na prawdę

rozchorował się pod wpływem scen tak groźnych i

nadzwyczajnych. Drżał cały jak w

febrze od przestachu i spoglądnął na Czerskiego spojrzeniem, które prosiło w

imię litości o pozwolenie wyjścia. Wzrok ten niestety nie odniósł żadnego

skutku. Roch uśmiechał się tylko i zbliżając się do

Żywickiego położył mu dłoń

na ramieniu. Żywicki ugiął się, choć dotknięcie było lekkie i łagodne.

— Teraz na nas kolej — rzekł Roch.

— Mój drogi — odparł Żywicki tonem prawie płaczliwym — nie jestem w stanie rozprawić dzisiaj o niczem... Jestem zmęczony, wzruszony i słaby...

— Ja jutro jadę.

— Po takiej alteracji i ja i ty potrzebujemy spoczynku... wytchnienia... Cest

affreux... Mon Dieu! mon Dieu! quelle scène!...

— Suis-je altere, moi? — rzekł szorstko Roch. — Czy wyglądam jak człowiek, potrzebujący spoczynku? Chce ci się spać... to dobrze, pauvre, imbecile

creature, nie długo cię będę trzymał!

— Wiem, że mnie obsypiesz wyrzutami, ale... na honor... jestem niewinnym. Jutro,

skoro ochłonę nieco, wszystko ci wytłumaczę.

— Nic ci zarzucać nie będę i żadnego wytłumaczenia nie chcę i nie przyjmuję,

panie Euzebiuszu. To co o tobie myślę, wyczytasz w instrukcji, którą ci dałem,

bo właśnie jeden z jej punktów sprawdził się tutaj, a to, co ty o tem wszystkim

myślisz, tego nie jestem ciekawy..

— Przecież nie zechcesz.. Mais, mon cher beaufrère...

— Owszem zechcę i chcę nawet, spełnić wszystko, czem ci zagroziłem!

— Ale racz wysłuchać, wyrozumieć...

— Nie nudź mnie. Irena jedzie ze mną, rozumiesz? — odparł Roch tonem stanowczym,

który nie przypuszczał najmniejszej kontradycji.

— Rozumiem... Cóż mam począć! Il faut obeir...

— Qui, il le faut hien ! — rzekł Czernski — co się zaś tyczy reszty, dowiesz się pan, że od jutra majątek mój, którym na rzecz Ireny administrowałeś, przechodzi w inne ręce...

Biedny Milionerissimus padł na krzesło jakby w omdleniu.

— Jak to — zawołał odzyskując w rozpacz nagle swe siły — cóż ja pocznę? Co pocznie Irena?... Przyzwyczaiłeś nas do życia wystawnego, dałeś nam przez długi czas używać pozorów bogactwa a teraz chcesz nas nagle rzucić na pastwę niedostatku!

— Irena będzie miała wszystko, co miała dotąd — odparł Czernski — wyjeżdża ze mną i o nią troszczyć się nie potrzebujesz.

— A ja?

— Ty? Powiedziałem ci już, administracja majątku od jutra nie należy do ciebie.

— Tigre! — zawołał z śmieszną wściekłością Żywicki — z czegoż ja żyć będę! Więc chyba pojedę z wami...

— Tobo było zbyt cieżko. Nie będziesz nam potrzebnym. Lepiej w interesie twoim i naszym, abyś został. Zawadzałbyś nam a my tobie.

— Rochu, drogi mój Rochu! — zawołał Żywicki — tyś zawsze był dobry i szlachetny.

— Rozważ, co czynisz i nie zabijaj mnie. Co mi masz do wyrzucenia? Czy nie wychowywałem starannie Ireny, czy nie byłem sługą jej woli, czy nie był jej na rozkazy cały twój majątek! Czy nie

reprezentowałem świetnie domu! Czy nie spełniałem
wszystkiego, czego zadałeś?

— A układ nasz? — wtrącił Roch patrząc z uśmiechem
pełnym politowania na
Żywickiego.

— Wysłuchaj mnie tylko — tłumaczył się Żywicki — ja go
dotrzymałem ściśle. Ja
wiedziałem o romansie tego przekłętego Amadeusza z Ireną,
ja wiedziałem, że: on
jej nie kocha... ja... ja gotów jestem de lui bruler le cervau...:
dalibóg gotów
jestem!.. Jeżeli chcesz, ja go zabiję, tego nędznika, łotra!..
Wierz mi, oui je
le tuerais!... dziś, jutro.... kiedy chcesz... Il m'a ruiné, le
scélérat!...

— A zresztą słuchaj, ja wynalazłem narzeczonego dla Ireny
— wołał przypominając
sobie rady. Albina — człowieka nieporównanego, który ja
kocha, którego ona...
kochać będzie... On zastrzeli Amadeusza, my go
zamordujemy, rozsiekamy, ale
wstrzymaj się tylko. Ja wszystko ułożyłem, wykombinowałem
— to było tylko
nieporozumienie.!

Żywicki był istotnie roznamiętniony. Utrata pozycji,
spowodowana całym
nieszczęśliwym zajściem, przyprawiała go o wściekłość.
Czerski bawił się jego
widokiem i uśmiechał się pogardliwie.

— Idź spać i uspokój się — rzekł do Euzebiusza — niczego
nie zmienię w mojem
postanowieniu. Nie obawiaj się, nie zostawię cię bez niczego,
wszakże jesteś

ojcem Ireny! Dam ci rentę wystarczającą na życie.
— Ale co świat na to powie, na Boga! co świat na to powie —
wołał z desperacką
miną Żywicki — co pocznę! Ten majątek cały uchodził za
mój własny. Stanę się
odrazu przedmiotem pośmiewiska! Człowieku, miej litość, ja
sobie życie odbiorę!
Czerski uśmiechał się nielitościwie.
— Aby zachować pozory, o które ci tak chodzi, mój ty Zebcu
wyśmienity — rzekł —
przedasz niby cały majątek a sam wyjedziesz, dokąd ci się
podoba. Wszystko to
gładko załatwi się i bez kłopotów. A teraz, bądź zdrów
Zebcu, kto wie czy się
jutro zobaczymy! Wyjadę naprzód, a ty odprowadzisz Irenę aż
do miejsca, na
którem jej oczekiwać będę. Dobranoc.
Słowa ostatnie wyrzekł Czerski tonem tak kategorycznym, że
Żywicki uznał dalszą
opozycję za płonną.
Westchnął, rzucił raz jeszcze na Czerskiego spojrzenie pełne
boleści i
bezsilnego gniewu i wyszedł.
Blady, pomieszany, z błędnymi oczyma biedny
Milionerissimus schodząc z schodów
wyglądał jak męczennik. Przeszedł powolnym krokiem przez
ogród, a po drodze
przecierał sobie czoło, jakby chciał przerwać ten sen
nieprzyjemny, jakim mu się
wydawała cała katastrofa.
Nieszczęśliwy Milionerissimus czuł się zniszczonym,
upokorzonym, zhańbionym,

zabitym moralnie! Spadł z tego szczytu, na którym tak świecił
pięknemu światu!

Świat poczerniał od razu przed jego oczyma. Czarniejszym
był niż noc, która

teraz rozpostarła swe cienie

po parku. Wszystko przepadło! Kto teraz uginać będzie
grzbiet przed nim, kto

będzie zazdrościł mu pozycji i wystawy, kto go teraz nazwie
jednym z tych

arcysłodkich przydomków, które mu dawniej dawano?

— Messer Miglione! Monsieur le comte de Quatre-Mittions!

Milionerissimus! Papa

aux écus! — wszystkie te przyjemne nazwy, które mi dawniej
go prześladowano,

teraz tylko przykrem echem wspomnienia obijały się o jego
uszy.

Pograżony w takich czarnych myślach znalazł się Żywicki po
za żelazną furtką

parku. Powóz jego własny, przysłany zapewne przez Irenę,
oczekiwał go na

przedmiejskiej uliczce. Żywicki machinalnie szedł ku niemu,
gdy nagle chwycił go

ktos za ramię. Był to Albin.

— Eh bien? — zapytał. Żywicki rzucił mu w odpowiedź
wzrok jadowity.

— Cóż tedy słyhać? — pytał dalej Wywilski. — Djabelnie
długo rozprawialiście z

tym warjatem!

— Puść mnie pan — zawołał Żywicki — jestem zgubiony!

Nie chcę pana widzieć,

wszystkiego stałeś się przyczyną! Gdyby nie ta przeklęta
schadzka, wszystko

dałoby się zrobić, zamaskować, a teraz...

— A teraz? — powtórzył pytająco Wywilski spokojnie i nie zważając na rozdrażnienie Żywickiego.

— A teraz Irena jedzie z tym opryszkim... majątek cały wychodzi z mej administracji... Wszystko przepadło!

— To było do przewidzenia! — rzekł obojętnie Albin. Żywicki osłupiał na tę uwagę.

— Do przewidzenia! Do przewidzenia! Mais c'est unique! I to pan mi teraz mówisz,

pan! Więc przewidywałeś wszystko! A! tego już zanadto...

— Przewidywałem, że człowiek jak pan wszystko da zrobić z sobą. Mój plan był

dobry — ale z panem go wykonać niepodobna. Czemu pan inaczej nie postąpiłeś z tym Czerskim?

— Jakże mogłem postąpić! Wszakże widziałeś, c'est un ogre! Warjat, opryszek...

— Zwłaszcza tam, gdzie mu łatwa przypadła rola. Człowiek taki jak pan, panie

hrabio, który poradzić sobie nie umie, który daje sobie spokojnie zabrać córkę i

majątek, taki człowiek mógł wszystko przewidywać! Ale wzajemne wyrzuty nie

doprowadza nas do niczego. W każdym razie liczyć pan możesz na mnie.

— Piękna pociecha!... — mruknął przez zęby Żywicki stawiając nogę na stopień powozu.

— Dziś bardziej niż kiedykolwiek będę ci potrzebnym, panie hrabio — mówił dalej

Albin. — Pomówimy spokojniej jutro a obaczysz, że nie wszystko stracone!

Rzekłszy to Albin wskoczył za Żywickim do powozu.

Żywicki nie opierał się a konie ruszyły szybko do miasta.

X.

O ŻŁOTYM KLUCZU.

U hrabiego Daniela poznaliśmy dwie osoby, do których teraz powrócić musimy, aby

czytelników naszych zaznajomić z niemi dokładniej. Jedną z tych osób jest Adam

Ożarko, druga młody Zygmunt Szarski. Wiemy już, jaki interes sprowadził obu

wieśniaków do stolicy. Spółka, do której obaj należeli, a której głową był hr.

Daniel a Szwinder agentem, została szczęśliwie rozwiązana, a zysk, który

przyniosła swym uczestnikom, przewyższał wszelkie nadzieje.

Ożarko i Szarski byli sobie najbliższymi sąsiadami, obaj też razem, na jednym

wózku, przybyli do miasta na zawezwanie hr. Daniela, i obaj razem stanęli w

jednym z najpodrzedniejszych hotelów. Nadmieniliśmy już, jak odmienne wrażenie

sprawił ten pomyślny

rezultat na Zygmuncie Szarskim i na Ożarce. Podczas gdy

Ożarko otrzymawszy część

zysku, reprezentującą dość wysoką kwotę, niedowierzał sobie i przestawszy bać

się o losy przedsiębiorstwa, bał się teraz znowu jakichś możliwych zatargów,

mogących jeszcze wyniknąć z rozwiązanej spółki — Zygmunt przyjął znowu szczęśliwy rezultat z obojętnością, później zaś otrzymawszy pieniądze i ujrzawszy się tym sposobem niespodziewanie właścicielem wielkiej sumy, uczuł dziecinne prawie ukontentowanie.

Szwinder nie omieszkał zaraz ofiarować obu wieśniakom swych usług w umieszczeniu kapitału — ale ani Ożarko, ani Zygmunt nawet ani słyszeć o tem nie chcieli.

Ożarko, jak wiemy, do śmieszności był bojaźliwym a zysk tak mu się wydał

niesłychanym, że bał się go uważać stanowczo za swoją własność. Wszelkich

papierów i akcji bał się jak ognia, o procentach wyższych ani mówić sobie nie

dał, i pobyt swój w mieście chciał przedłużyć, gryząc się niemal i biedząc, jak

ulokować pieniądze. W końcu zdecydował się umieścić kapitalik w kasie

oszczędności.

Zygmunt chciał się przedewszystkiem, jak to mówią, nacieszyć pieniędzmi. Roił

najrozmaitsze plany, marzył o najrozmaitszych przyjemnościach i wpadał na

najrozmaitsze kombinacje. Pieniądze spadły mu jakby z obłoków, otrzymał je

niespodziewanie, bez trudów i za rzecz, po której się nigdy wielkich zysków nie

spodziewał. Lasy bowiem, które posiadał w Szarkach,

uważał za przydatne pod dwoma jedynie względami, jako miejsce do polowania i

jako materiał do opalania swego małego dworku. Rozporządzając znacznieszym funduszem Zygmunt miał nawet chwilę, w której poczuł instynkt skąpstwa. Jest to faktem doświadczonym, że najlekkomyślniejsi, najrozrzutniejsi nawet ludzie, znalazłszy się nagle w posiadaniu nadspodziewanej kwoty, większej niż te, które dotąd posiadali, uczuwają chwilowo skłonność do skąpstwa. Ale nagły ten przystęp oszczędności nie trwał dłużej nad chwilę.

Zygmunt wkrótce został porwany innemi myślami, poczuł inne pragnienia a jedno drobne zajście wystarczyło, aby w młodym wieśniaku rozbudzić najśmielsze fantazje.

Zajściem tem była wizyta u hrabiny Sylwji, do której go, jak wiemy, skłonił sam hr. Daniel. U pani Sylwji ujrzał Zygmunt Irenę. Prześliczna ta blondynka z przepysznym, arystokratycznym typem piękności, nie po raz pierwszy olśniła wzrok Zygmunta. Znał on już Irenę. Jak już nadmieniliśmy, hr. Daniel posiadał kilka górskich wiosek w sąsiedztwie Szarek. Przed rokiem, u schyłku lata, hr. Daniel wybrał się z swą młodą żoną na kilkanaście dni w tę ustron górską, a Sylwja namówiła Irenę, aby w towarzystwie swej stryjenki, odbyła wraz z nimi tę wycieczkę.

Hrabia Daniel zajęty był wówczas organizacją spółki, a Zygmunt z początku w

interesie, później zaś jako gość bywał u hrabstwa i poznał tam Irenę. Zygmunt z całą świeżością swego umysłu, z tą naturalną werwą, którą daje młodość i swobodny tryb wiejskiego życia; był bardzo przyjemnym towarzyszem, a znajomością okolic i grzecznością swą pocziwą znacznie się przyczynił do uprzyjemnienia stołecznemu gronu krótkiego pobytu w górskim ustroniu. Pierwszy to raz zaznajomił się Zygmunt bliżej z kobietą wielkiego świata, imponującą zarówno urodą jak tonem wykwintnym i arystokratyczną wytwornością całego wystąpienia. Irena sprawiła na młodym Szarskim prawdziwie olśniewające wrażenie. Tak była odmienną od wszystkich kobiet, które znał dotąd, tak mu imponowała świetnością i dystynkcją, że Zygmunt po wyjeździe hr. Zmierskich i Ireny, nie mógł przez długi czas stracić z oczu tej pysznej kobiecej postaci. W całym tem przelotnem spotkaniu i wrażeniach, które ono zostawiło po sobie; nie odgrywało jednak roli serce, ale imaginacji. Na szczęście Zygmunta znajomość pierwsza trwała zanadto krótko, aby młody nasz wieśniak doświadczył na sobie tego ścisłego, fatalnego nieraz związku, jaki w podobnych razach zwykł łączyć serce z imaginacją. Irena przesunęła się przed oczyma Zygmunta jak meteor nadzwyczajnej świetności i zniknęła z ciasnego horyzontu górskiego ustronia.

Gdy znikło zjawisko pozostała Zygmuntovi w duszy tylko gra
błysków i barw, na
wzór owych, które mienia się w oczach, co patrzyły przez
chwilkę w słońce. Z
początku z poza tych mieniających się barw
i promieni nie przeglądała tyle sama kobieta, co świat, do
której należała.
Świat ten, obcy mu dotąd zupełnie, świat wielki, świat par
excellence piękny,
świat przepychu i towarzyskiego blasku jak zaczarowana,
fantastyczna kraina
przesuwał się przed jego rozbudzoną imaginacją.
Ale podwoje tego świata zamknięte były dla niego. Trzeba
było różczki jeżeli nie
cudownej, to złotej przynajmniej, aby otworzyć sobie te
podwoje, aby królową
odszukać w własnym jej królestwie... Do świata tego nie
spodziewał się wejść
Szarski, i po raz pierwszy do uczucia samotności i nudy,
którym go przejmował
pobyt w odludnej, rodzinnej wiosce, przyczyniło się takie
uczucie pewnej goryczy
i upokorzenia...
W wieku Zygmunta, przy jego swobodzie umysłu, przy tem
trzeźwym, zdrowym
usposobieniu moralnym, jakie w niem się znajdowało —
wrażenia takie zwykły
przemijać bez niebezpieczniejszych skutków. Szarski
zapomniałby był o Irenie, o
tej księżniczce wielkiego świata, dla pierwszych lepszych
błękitnych oczu
jakiego nadobnego wiejskiego dziewczęcia, a serce jego po za
obrębem tego

błękitnego horyzontu zakochanych spojrzeń nie znalazłyby było
pragnień i
pokuszeń....

Tymczasem interesa, w które wszedł z hr. Danielem,
powoływały go wkrótce
kilkakrotnie do stolicy. Hrabia. Daniel i piękna jego żona z
najszczerzą
uprzejmością przyjmowali u siebie Zygmunta a traf chciał, że
prawie zawsze
spotykał na salonach pani Sylwji Irenę. Jak-
kolwiek Irena zawsze zaledwie kilka stów mówiła z Szarskim,
ograniczając się
tylko na prostej i zimnej grzeczności, przecież mimo to a
może właśnie dla tego
Zygmunt uczuł w sobie coś więcej nad podziw dla ślicznej
panny Żywickiej.

To, co teraz zaszło w duszy Szarskiego, nazwać było można
moralną katastrofą, na
którą już teraz i imaginacja i serce złożyły się razem. Tak się
miały rzeczy,
gdy Szarski po raz ostatni z Ożarką odwiedził hr. Daniela w
interesie spółki. I
tym razem, jak wiemy, spotkał się u hrabiny z Ireną. Jeżeli już
samo spotkanie z
Ireną było wystarczającym, aby rozmarzyć Zygmunta, to
zajście, które miało
miejsce w salonie, rozjątrzyło a nawet roznamiętniło go
ogromnie.

Zakochani ludzie mają nieraz szczególny instynkt
odgadywania, przeczuwania.

Instynkt ten możnaby nazwać poniekąd magnetycznym
jasnowidzeniem. Zygmunt

słyszał wprawdzie o stosunku Amadeusza do Ireny, ale pogłoski te były bardzo niedokładne. Cała owa scena między Ireną a Ordawskim wyjaśniła mu od razu rzecz całą. Zrozumiał ją, wykombinował sobie całą sytuację. — Ona go kocha — rzekł do siebie, i to wystarczyło mu, aby znienawidzić

Amadeusza i doznać jakiegoś uczucia, które zbliżone było bardzo do bóleści.

— On ją zaniedbuje, on ją może zupełnie kochać przestał! — wnioskował dalej i wniosek ten wystarczał, aby dodać mu otuchy i wzniecić cały świat najśmielszych nadziei.

W obojętności Amadeusza upatrywał Zygmunt szansę dla siebie. Łatwiej jest przecie zbliżyć się do kobiety zdradzonej, opuszczonej i cierpiącej, łatwiej wówczas utorować sobie gorącą, namiętą miłością drogę do jej sympatji — a moje do serca nawet. Łatwiej przecież walczyć z wspomnieniem niż z osobą. Łatwiej przecież cień niewiernego kochanka rozprószyć promieniami ofiarowanego uczucia, niż przyćmić niemi rywala. Łatwiej przecież przemówić do drżącego jeszcze serca, niż poruszyć zimne i spokojne albo szczęśliwe swą namiętnością..

Tak rozumował sobie Zygmunt i zdawało mu się, że rozumuje bardzo dowcipnie. Gdy od hr. Daniela powrócił do hotelowej izdebki, tak był wzburzony i zamyślony, ie

Ożarko, który czekał nań umyślnie, długo nie mógł wydobyć zeń porządnej odpowiedzi na żadno z swych zapytań.

— Panie Zygmuncie — zapytał po raz trzeci już Ożarko — ja spieszę się do domu.

Dziś wyjeżdżamy?

Zygmunt ocknął się z swego zadumania i odparł:

— Zostanę jeszcze we Lwowie. Mam interesa. Ale... panie Ożarko — dodał nagle —

Czemu nie zostałeś wraz ze mną u hrabiego?

— Mój pobyt u hrabiego — odparł Ożarko — skończył się wraz z interesem. Nie

myślę się pchać do salonów magnackich. Boję się ich, i duszno mi trochę w tych

błyszczących salonach. Ot widzisz pan, panie

Zygmuncie, zwyczajnie jak stary oficjalista... za wysokie progi...

— Dla czego? — odparł Szarski — hrabia Daniel jest tak grzecznym a jego żona

przewyższa go jeszcze swa uprzejmością. Przyjęto mnie tak dobrze. Przecież

między nami oboma nie ma różnicy...

— Ale między nami a nimi.... — odparł Ożarko sucho:

Uwaga ta ubodła Zygmunta.

— Jaka? — zapytał nieco rozdrażniony.

— Ot widzisz, panie Zygmuncie, różnica jest i nie ma jej znowu. Ja pochodzę z

rodziny podupadłej i bardzo ubogiej; od młodości

wysługiwałem się ciężką pracą

panom, ale tak między nami mówiąc... szlachcic jestem tak dobry jak hr. Daniel,

a upokorzenia dość już zaznałem z musu, aby go teraz pragnąć z rozkoszy...

— Masz pan rację — zawołał Zygmunt, któremu to widocznie podobało się bardzo, że w starym Ożarce odzywał się gdzieś z po za trzeciej skóry szlachcic — masz wielką rację... Wszakże ja rodowem znaczeniem mego nazwiska nie mam potrzeby ustąpić i nie ustąpię ani hr. Danielowi, ani temu Ordawskiemu, ani... ani... Żywickiemu...

Tu Zygmunt zarumienił się trochę, jakby czuł, że się zdradza z swych tajemnych marzeń i fantazyj.

— Niezawodnie — odparł Ożarko — znam doskonale twój ród, panie Szarski. Pamiętam nawet dobrze, że Szarscy posiadali ogromne fortuny. Mój ojciec opo-

wiadał mi jeszcze dużo o znacznym majątku Szarskich. Pański dziad by? jeszcze magnatem i miał wielki klucz, Złote Szarki zwany, na Podolu. Twój ojciec, jak to panu Wiadomo, sprzedał dopiero klucz ten podolski, obciążony długami i przeniósł się z Szarek Złotych do twoich Szarek owsianych... Trochę za hojnie się żyło...

— dodał z uśmiechem,

— Niestety!. — odparł Szarski i westchnął.

Zazwyczaj ci, którzy pragnęliby sami strwonić majątek, żałują mocno, że ich przodkowie w tem uprzedzili.

Ożarko, który tytułem dawnego prywatnego oficjalisty znał wybornie wszystkie znakomite i zamożne domy polskie, znawcą był farbowanego szlachectwa, istną żywą

kroniką skandaliczną parwenjuszowskich karier — jak tylko
wpadł na ten temat
swoją ulubioną, zaczął obsypywać Zygmunta szczegółami o
dawnym splendorze i
wielkiej fortunie rodziny Szarskich.
Zygmunt słuchał go z wielkim zajęciem i upodobaniem. Znał
on dobrze dawniejsze
świetne koleje swego rodu — ale nigdy nie myślał o tym i
nigdy do tego, co
niepowrotnie minęło, nie przywiązywał żadnej wagi. Dziś
dopiero po raz pierwszy
cisnęły mu się podobne uwagi do głowy i znajdowały echo w
duszy.
Zygmunt zamyślił się i temat poruszony przez Ożarkę snuł
dalej.
Czyż nie pochodzę z rodu starożytnego? — mówił sam do
siebie w myśli — czyż nie
jestem potomkiem karmazynowej szlachty?.. Wszakże mam u
siebie papiery rodzinne, a dowodami świetności mego
nazwiska zaćmić potrafię
niejednego z tych, co dziś z góry na mnie spoglądają...
I stanęła mu nagle przed oczyma cała tradycja historyczna
jego rodu. Przypomniał
mu się każdy z jego antenatów, który tylko piastował
dostojeństwo jakie wysokie.
Miał w rodzie starostów, kasztelanów i wojewodów nawet.
Niesiecki, Okolski,
Paprocki, familji jego poświęcali obszerne wywody, a
wywody te stwierdzały
dokumenta i dyplomy rodzinne. Największe i najmniejsze
rodziny były niegdyś w
blizkich związkach krwi z rodziną Szarskich. Jeden z
Szarskich nie chciał

przyjąć dyplomu na grafa rzymskiego imperium, ofiarowany w XVII wieku. Pradziad

Zygmunta odrzucił tytuł hrabiego, ofiarowany mu za rządów Marji Teresy.

Wszystko to stało mu teraz żywo na myśli i pod wpływem takich rozpamiętywali

Zygmunta twarz okryła się wyrazem dumy. Przystąpił do Ożarki i zapytał:

— Kiedy sam mówisz o równości mego rodu z ich rodem, jakąż tedy zachodzi różnica między nimi a nami?...

— Jaka różnica? — ozwał się z ironicznym uśmiechem Ożarko. — Oto majątek, pieniądze, mój panie Zygmuncie, pieniądze... Oni są bogaci, a tyś ubogi, oni liczą się z kapryсами a my z potrzebami życia...

— A gdybym był bogaty! — zawołał w zamyśleniu Zygmunt.

— Gdybyś pan był bogatym, stanąłbyś z nimi na równi, zająłbyś pozycję świetną — i nie widziałbym przeszkody, dla którejbyś nie liczył się do najznakomitszej arystokracji...

— Przecież zdawałoby się — szepnął jakby sam do siebie Zygmunt — że mając nazwisko i starożytną, świetną tradycję rodu, ma się dwie trzecie części prawa do stopnia, który oni zajmują. Majątek jest tylko trzecią częścią, tylko dodatkiem.

— Widać, że nie znasz pan dzisiejszej arystokracji — odparł Ożarko. — Znam ją dobrze, a przynajmniej lepiej od ciebie. Poznałem ją jako sługa, obserwowałem ją

z niskiego stanowiska i dla tego może tem lepiej ją poznałem,
bo przedstawiała
mi się bez żenady, w powszedniej nagości swojej... Łudzisz
się panie Zygmuncie,
dwie trzecie części prawa do wstępu w ten świat wielki, to
właśnie są pieniądze!
Rodowe stanowisko to część trzecia, to dodatek. Prędzej tam
znajdziesz się bez
dobrego nazwiska, niż bez złota Masz imię znane, to dobrze....
— A gdy go kto nie ma?
— To równie dobrze — odparł suchym tonem Ożarko. —
Napatrzyłem się ja na te
cuda, które sprawia majątek. Widziałem potomków
najlepszych rodzin szlacheckich
na ekonomjach u parwenjuszów, widziałem milionowych
wychrztów przyjmowanych u
rodzin starożytnych i bratających się z niemi, widziałem
szachrajów i
spekulantów najwątплиwszego miotu, koligających
się z rodami historycznej sławy... widziałem to wszystko z
mego mizernego
stanowiska lepiej, niż ktokolwiek inny mógł widzieć. Z biedy
badałem świat ten
dobrze i w tem nieraz znalazłem pociechę, gdy mnie on
upokarzał!
— Czy myślisz panie Zygmuncie, że wszyscy Ożarkowie
poniewierali się jak ja! —
zawołał stary kawaler dalej z goryczą i żywością, która nie
leżała nigdy w jego
zwyczaju.
W tej samej chwili uspokoił się jednak Ożarko, uśmiechnął się
z goryczą i
machnąwszy ręką, rzekł zwykłym swym tonem:

— Ot bredzimy o niepotrzebnych rzeczach... Dość już tego;
powiem ci chyba
jeszcze, że znam tak dobrze stosunki tego wielkiego świata, że
mógłbym ci
podyktować kiedy cały Liber Chamorum...

Rzekłszy to Ożarko poczuł przy pomocy swego furmana
pakować podróżne swe graty,
podczas gdy Zygmunt wsparłszy swą głowę na dłoni siedział
milcząc pogrążony w

myślach. Wkrótce gotów był Ożarko, a gdy wózek jego
zajechał, podał rękę

Zygmuntowi i patrząc mu w oczy rzekł:

— Wiesz co, panie Szarski, przykro mi wracać bez ciebie.

Mam jakieś złe

przecucie i szczerze bym się cieszył, gdybyś tak jak ja
powrócił do swej wioski

Nie gniewaj się na mnie, panie Zygmuncie, ale muszę cię
przestrzedz otwarcie.

Niepotrzebnie przypomniałeś sobie pan to wszystko, co dla
ciebie już jest niepo-

wrotnem. Bodaj czy nie powiem prawdy, gdy wyznam, że
podejrzewam cię o

zachcianki i pokuszenia — fatalne. Zaglądnąłeś za głęboko w
piękne oczy... ot i

źródło złego. Jestem człowiek bez fantazji, trzeźwy, czczy,
płaski, bo

przygnieciony i przybity życiem — ale wierzaj mi: przestań
myśleć o tem, o czem

myślisz teraz...

— O czemże ja myślę? — rzekł pomieszany nieco Zygmunt.

— Myślisz o kluczu, do tego świata, który cię wabi, do tych
świątyni, które

cię olśniewają, do serca, które przegląda z oczu pięknej
arystokratki, nota
bene, jeżeli te oczy nie kłamią, i jeżeli ma serce... Ty szukasz
tego klucza może
w twoich zaletach, w twojej urodzie, w twojem imieniu
pięknem, w całej wartości
swego charakteru — o nie trudź się daremnie, panie
Zygmuncie, ten klucz musi być
złotym... Złotym kluczem otworzysz sobie podwoje do tego
świata, ale tylko
złotym kluczem..
— A gdybym posiadał ten klucz złoty!
— Jak? Czy czekasz na spadek jaki, czy na wygraną w
loterję? Czy pieniądze,
które ci wypłacił kassjer hr. Daniela jako zysk z spółki,
wystarczą za klucz
złoty?... Dla mnie i dla ciebie to ogromna suma, ale dla nich!!
To mały bardzo
kluczyk — otwiera tylko bagatele! A może chcesz pójść za
tym p. Ordawskim, co
tak pięknie wykladał rzecz o ślepej fortunie i o hazardzie?
Szkodaby cię było.
Rachuj się, rachuj i jeszcze raz rachuj! Dwa razy dwa jest
cztery dwa od
trzech zostaje jeden. Dostałeś . złr. — masz na wiosce długów
. —
spłacić je a zostanie ci piec. Jeżeli chcesz tu zostać i hazardować
się
koniecznie, niech cię przynajmniej nie kosztuje więcej smutne
rozzczarowanie nad
tę nadwyżkę, a daj to Boże, aby cię nie kosztowało czegoś
więcej jeszcze: życia

i szczęścia... Słowa te wypowiedział Ożarko tonem ciepłym i ścisnął raz jeszcze rękę Zygmunta. Potem przybrał swoją zwykłą minę suchą, jałową, pedantyczną i dodał obojętnie:

— Wózek mój zajechał. Bywaj zdrów panie Zyguncie.

— Do widzenia! - chciał zawołać Zygmunt, ale Ożarko już wyszedł z pokoju.

Szarski ujrzał tylko przez okno, jak z bramy hotelu wytoczył się na ulicę niezgrabny, pleciony wózek górski, uprzęzony dwoma małymi broniakami, powożony przez brudnego chłopca... Taki sam ekwipaż miał u siebie w domu Szarski...

W tej chwili, kiedy wózek Ożarki wyjechał na ulicę, nadjechał powóz jakiś okryty herbami. Powóz pędził szybko, wydając turkot łagodny, arystokratyczny, śliczne konie w pysznej uprzęży kłusowały dzielnie, na koźle połyskiwały sute liberje i galony.

Zygmunta uderzył ten kontrast i westchnął.

Westchnienie to było bardzo niebezpieczne!...

Gdy się Zygmunt odwrócił od okna i spojrzał na izdebkę hotelową, uderzyły go niemile brud i ubó-

stwo całej jej postaci. Istotnie był to bardzo jaskrawy kontrast do marzeń,

którymi w tej chwili zajęty był umysł młodego człowieka.

Pokój, który Zygmunt

wraz z Ożarkiem zajmował, byłby może zainteresował bardzo flamandzkiego malarza,

ale odtrącać musiał wzrok, ozwyczajony z wytwornością i komfortem. Te poobdrapywane, brudne ściany, ta sofo odwieczna, okryta drelichem bardzo wątpliwej barwy, te stołki krzywe i kulawe, ta podłoga od wieków nie myta — wszystko to zdawało się szydzić z biednego Zygmunta i budzących się w nim arystokratycznych instynktów. — Trzeba się ztąd natychmiast wyprowadzić... — szepnął do siebie Szarski i zadrżał na myśl przyjmowania w tym pokoju rewizyt tych lwów wielkiego świata, z którymi pragnął zabrać znajomość. Powziąwszy tę decyzję Zygmunt usiadł na sofce i utonął w myślach, które zaprzątnęły całą istotę jego. — I czemuibym nie miał wejść w ten świat, do którego ona należy — mówił sam do siebie w duszy — wszak nazywam się Szarski, a wraz z imieniem spadkobiercą jestem wszystkich tradycyj świątecznych, które się doń wiążą! Równy jestem każdemu z nich, a jeżeli nie mam tytułu, to w tem właśnie widzę wyższość moją. Dla czegoż nie noszę tytułu? Dla tego, że mój dziad więcej miał ambicji i dumy niżli ich dziadowie, dla tego, że nie chciał przyjąć tego, co mu się wydało niezgodne z tradycjami polskiej szlachty i z własną godnością! — Mówią, że to świat bez wartości moralnej, świat płaski i powierzchownym

szychem tylko Judzący — myślał dalej. — A ba!... kto to
mówi ? Ci, którzy się
doń dostać pragnęli a dostać się nie mogli. Ci, którzy mu
zazdroszczą, a nie
mogąc mu wyrównać zaletami i pozycją, szukają pociechy w
potwarzach! Co te
pociski wywołuje? Zawiść, ambicja upokorzona i
demagogiczny brutalizm!
I usta Zygmunta drgnęły z taką arystokratyczną pogardą,
jakby miały wymówić ów
ostatni argument, zamykający się w słówku... canaille!
Nic tak nie jedna silnie z odrębnym jakimś światem
towarzyskim, jak kobieta —
nic tak gruntownie z nim nie waśni znowu, jak kobieta.
Między światem wielkim,
światem pięknym, światem arystokratycznym a Zygmuntem
wystąpiła jako czarowne,
magnetyczne ogniwo — Irena!
— Jeżeli są jakie warunki moralne, aby wejść w ten świat —
myślał dalej Zygmunt
— któregoż z nich nie posiadam, któregoż z nich nie nabędę?
Zaletami wyrównam
im! — dodał z tą charakterystyczną pewnością i dumą, z którą
tak pięknie
młodzieńczym, ambitnym charakterem.
Myśląc tak, zapomniał Zygmunt, że w świecie naszym
szlacheckim, w świecie
arystokratycznym niestety wszystko dziwnie się zmieniło, że
przestał on
obowiązywać do prawdziwej wyższości i szlachetnego
wyniesienia się po nad
pospolity poziom gminu, że jak

dawniej należało wstęp w jego koła okupywać zasługami i zaletami, tak dzisiaj znowu okupywać go wypada wadami. Nie wzniesienie się do cnót ale znizenie się do wad stanowi dziś w przeważnej części warunek zrównania się z tym światem.

Zapomniał Zygmunt, że wszystkie tradycje tych kół wygasły zupełnie, że począwszy od szlacheckiej ambicji przewodzenia aż do rodowej dumy i poczucia nieskalanej prozajki, zatarły się w nich wszelkie niemal wyższe instynkta, które im nadawały

pewnego moralnego splendoru, że od czasu kiedy hasło noblesse oblige straciło

dawne swe moralne znaczenie, arystokratyczny kodex obowiązuje tylko do dobrej

prononsacji francuzkiej, nieposzlakowanych kołnierzyków i angielskich

bakenbardów, zapomniał, że pojęcie arystokracji, nieoparte już na żadnych

publicznych, podniosłych motywach, stało się pojęciem czysto towarzyskiem, że

oparło się wyłącznie na płaskich formułkach zewnętrznych, na pewnym odrębnym

tonie, na kilku drobiazgowych wyobrażeniach o garderobie, na konwenansie i

skarykowanej wyłączności manier, tej istnej "meskinerji" moralnej, którą

doskonale udawać może lada spanoszony kupczyk!...

Ale Zygmunt patrzył tym razem na wszystko przez pryzmat swej miłości.

Towarzystwo, w którym przebywała Irena, wydało mu się zaczarowanym światem —

blask, który w oczach zakochanego młodzieńca bił od postaci tej cudnie pięknej kobiety, rozlewał hojne promienie na wszystko, co ją otaczało...

W tym swoim majestacie arystokratycznym, w tem świetle przepychu i wytworności Irena stała przed rozmarzona imaginacją Zygmunta, jak królowa snów najcudniejszych!... Ton wykwintny, dystynkcja pełna dumy i wspaniałości, równie nieodłącznie splotły się z wrażeniem, które sprawiła na nim Irena, jak powab jej niepospolitej urody. Arystokratką splotła się tu z kobietą piękną w nierozdzielnej całości. Nie piękna dziewczyna, ale piękna hrabianka zdobyła serce Zygmunta. Pozycja socjalna Ireny nie była dla Zygmunta tłem podrzędnym, przypadkowym, ale była czemś koniecznym, organicznym prawie w tej cudnej postaci. Daremnie próbował Zygmunt wyobrazić sobie Irenę wśród innych stosunków pozycji i bytu. W żadnym innym świecie umieścić jej sobie nie mógł. Te pyszne, złote ramki były niezbędne do obrazu, wyjąć go z nich nie było podobieństwem.. I właśnie one to były, te pyszne, złote ramy, te wytworne, arystokratyczne dekoracje, które w rozmarzonym umyśle Zygmunta dodawały Irenie nadzwyczajnego, potężnego uroku. Chciał mieć Irenę ze wszystkim, co było tylko przypadkowym,

konwencjonalnem; chciał ją mieć z tą dumą arystokratką z
którą tak ślicznie było
jej do twarzy, z tą dystynkcją salonową, z tym tonem
wyniosłym, z temi
aksamitami,
z temi koronkami, z temi brylantami, z liberyowaną świtą i
tym herbownym,
lśniącym powozem...
Kochać taką kobietę, otoczoną przepychem i blaskiem
arystokratycznym, być
kochanym przez wielką damę — posiadać ją na zawsze!
wyłącznie! — jakżeż marzenie
to głęboko wpiło się w serce i myśl Zygmunta!...
Cóż znaczą wobec takiej kobiety, niedotkniętej niczem z tego
wszystkiego, co
wiedzie za sobą trywialność powszednich potrzeb życia i
niedostatku, oddanej
najzupełniejszej swobodzie, mającej za jedyne wyłączone
zatrudnienie: być piękną
— co znaczą wobec takiej kobiety te sielankowe typy
dziewczęce, te królowe
strumyków i drobiu, te gosposie z kluczykami u paska, te
mieszczkańskie
księżniczki herbacianego stolika, te wszystkie miłe figurki,
ubrane tylko w
perkalik i uśmiech młodości, z fantazją przytłumioną
poziomymi warunkami życia,
z rączkami opalonymi od słońca lub oszpeconymi pracą!..
Rozumowaniem podobnym nie stał zapewne Zygmunt
odosobniony. W dzisiejszych
czasach spotkać można między młodzieżą bardzo wiele
podobnych mu uprzedzeniem

postaci. W epoce. takiej, jak obecna, w epoce, w której na cywilizacji ze wszystkich innych objawów społecznych najwięcej podobno skorzystał zbytek, w epoce kontrastów między pozycją a możliwością, między fantazją życia a realizmem jego warunków — w takiej epoce wyobrażenia podobne o kobietach musiały użyć bardzo licznych zwolenników między tymi nawet, którzy stanowiskiem swym socjalnym i materialnym najmniej są do tego upoważnionymi. W czasach obecnych, oddalonych od klasycznej prostoty form, wyobrażenia o piękności kobiet dziwnie się splotły z tem wszystkim, co dyktuje im moda i zbytek. Istota form pięknych ginie wobec draperji. Zbytek i przepych staje się prawie warunkiem kobiecego wdzięku. Obłóczki koronkowe, szum jedwabów, ognie brylantów, są poniekąd organiczną, składową częścią pięknej kobiety, tak samo niemal jak śnieżność cery, jak słodki dźwięk głosu, jak połysk oczu... Bez zbytku i świetnych szmatek coraz mniej pojmuje się kobietę. Jak z jednej strony śmiać się poczyna świat z krosienkowej poezji ubóstwa, tak znowu z drugiej nikt się jakoś trzymać nie chce owej rubasznej trochę rady La Bruyera, który powiedział tak złośliwie: *Il faut juger les femmes depuis la chaussure jusqu'à la coiffure exclusivement, à peu pres comme on mesure le poisson entre queue et tête....*

Ach! gdzie tam! Go znaczy w oczach, popsutych żywemi
żurnalami, piękność z
fryzura własnych włosów, których tak mało, tak straszliwie
mało mają kobiety,
jak na dzisiejszą potrzebę! co znaczy piękna główka bez
koków, szinjonów i
dyademu, lub nóżka bez eleganckich bucików!...
Do klasztoru idźcie, wy biedne Ofelje, wy ubogie czarowne
dziewczątka, które nie
macie nic złotego na sobie, oprócz złotych warkoczy; żadnych
strojów oprócz
wiosennego uśmiechu urody; żadnych kamieni drogich,
oprócz rubinu usteczek
świeżych, perłowych ząbków i brylantowych ocząt!...
Zygmunt dalej szedł jeszcze w swych fatalnych marzeniach.
— Tylko w takiej kobiecie — mówił do siebie — może się
rozwinąć i zakwitnąć w
pełny kwiat nadobność niewieściego charakteru! Imaginacja
takich kobiet
lotniejszą jest, bo rozpoczyna się tam dopiero, gdzie się
imaginacja innych
kobiet kończy.. Wszystkie te warunki świetności, które dla
mniej szczęśliwych
kobiet są ideałem, są dla kobiety, jak Irena, zwyczajną,
powszednią
rzeczywistością. Fantazja wzlata tu z stokroć wyższego
stanowiska, i stokroć
wyżej sięga! Gdzie jest dziewczyna, choćby z
najpiękniejszymi zaletami duszy,
któraby wolną była od wrodzonej wszystkim kobietom
próżności, i nie marzyła o
pysznych strojach, o błyskotliwym berle mody, o karecie
herbowej, o salonowem

królestwie, o loży i o tych rozmaitych drobnostkach, które tak imponują kobietom. Subtelność, delikatność umysłu niewieściego rozwija się w tym stopniu społecznym daleko wyżej, bo umysł tu ubezpieczony jest przed brutalnością niedostatku, przed trywializmem pospolitości codziennej, bo poi się szlachetnymi wrażeniami, bo pieści smak swój otoczeniem wytwornem!

Tak idealizował sobie wszystko Zygmunt, mierząc świat wielki tą miarą gotowego już ideału, jakim dlań była Irena. Chodziło teraz tylko o to, aby zbliżyć się do tego wszystkiego, co tak rozkosznie malowało się w jego wyobraźni. Zanadto był lekkomyślnym z natury Zygmunt a uczucie zanadto silnie nim już owładnęło, aby wątpić w łatwość podobnego rezultatu.

Wiemy już, na jakiej kombinacji opierał swą nadzieję pozyskania serca Ireny.

Teraz przystąpił do wykonania swego planu. Ale do takiego wykonania potrzeba było najpierw wejść w ten świat, w którym przebywała Irena, zwrócić na siebie uwagę ubóstwianej kobiety, podobać się jej, wzbudzić w niej miłość. Zygmunt rozpoczął od wykonania pierwszego kroku — umyślił szturmem zdobyć sobie podwoje wielkiego świata.

Była to najmniejsza, najłatwiejsza część całego zadania a przecież,

przedstawiała już ogromne trudności. Po raz pierwszy
okazywała się tu potrzeba
złotego klucza. Trzeba się było oblec w zupełnie nowego
człowieka, stać się z
wieśniaka lwem i elegantem wytwornego tonu. Całe to nowe
gospodarstwo wymagało
bardzo znacznych, jak na fundusze Zygmunta wydatków.
Umyślił tedy nie płacić
długów, ciężących na Szarkach, ograniczyć się tylko na
zaspokojeniu
banku i na spłaceniu procentów — a resztę zyskanych
pieniędzy użyć do wykucia
złotego klucza.
Najpierw tedy potrzeba było pomyśleć o pomieszkaniu.
Zygmunt przypomniał sobie
eleganckie pomieszkawie kawalerskie niektórych swych
młodych znajomych z
wielkiego świata. Gdyby Zygmunt chciał być urządzić takie
pomieszkawie, pełne
zbytkownego komfortu, z temi wszystkimi drobiazgami
niepotrzebnymi a
kosztownymi, z wszystkimi tak zwanymi jolis riens — cała
suma jego poszłaby od
razu do tapicerskiego magazynu. Na szczęście Zygmunt, jako
niemie-szkająoy stale
w mieście, czuł się uwolnionym od tego wydatku. Dość było
zmienić hotel. Na to
się już zdecydował Zygmunt. Przenieść się postanowił
natychmiast do jednego z
najpierwszych hotelów i zamieszkać tam pokój wprawdzie nie
wiele wytworniejszy i
wygodniejszy, ale za to trzy razy droższy.

Wypadało dalej pomyśleć o reszcie, począwszy od garderoby, skończywszy na rozmaitych nabytkach, mniej lub więcej drobnych, mniej lub więcej kosztownych, mniej lub więcej zbytecznych dla zwykłych śmiertelników, ale koniecznych dla człowieka, który chce mieć w komplecie tout le bagage du genre aristocratique.

Porównał się z tymi wszystkimi elegantami, których poznał u hrabiego Daniela i uczuł się do głębi upokorzonym. Jakże nędznie wyglądał przy Wywilskim, przy owym Henryku, zwanym dla krótkości Ri, przy Amadeuszu Ordawskim! Trzeba było przekształcić się co żywo na ich sposób, aby nie znosie nadal tych szyderczych spojrzeń i aby nie dać powodu do tych złośliwych uwag po za oczy, zaczynanych pogardliwym wstępem: ce petit Szarski... Matamorfoza była konieczną, i to metamorfoza gruntowna, radykalna, jak to powiadają: Od miny aż do czupryny. Od zgrabnych trzewików aż do przedziału we włosach trzeba się było przekształcić. Garderoba jego była w opłakanym stanie. Najlepsze jej egzemplarze, utwory mistrza prowincjonalnego, wyglądały szkaradnie w obec strojów złotej młodzieży. Oprócz garderoby trzeba było miny tej charakterystycznej, na pół po żokiejsku zaniedbanej, na pół impertynenckiej, w całości niesmacznej. Od tego szczęściem

postanowił dać sobie dyspensę Zygmunt. Natomiast jednak trzeba było mieć koniecznie coś z kawalerskiego lwiego aparatu, np. zgrabną amerykańkę!

— Nie będę przecież biegał piechotą za nią! — szepnął do siebie Zygmunt — jeżeli na spacer wyjedzie. Elegancki wehikuł sprawić sobie muszę koniecznie!

Na wsi miał dwa piękne koni, ślicznej rasy i lekkie, napisał zaraz, aby mu je przysłano. Chodziło już tylko o uprząż i o faetonik. Jedno i drugie a dalej garderoba, liberja dla służącego, ekwipowanie się w drobiazgi, abonament łoży,

wpisowe do klubu etc. — wszystko to, jak łatwo obliczył Zygmunt, pochłonąć musiało całą trzecią część jego gotówki!

Po opędzeniu wszystkich kosztów, po zapłaceniu najniezbędniejszych procentów od długów ciężących na Szarkach, miało pozostać Zygmuntowi tylko kilka tysięcy!...

Smutny ten rachunek przeraził naszego młodego lwa. Pazury lwie i grzywa kosztują bardzo drogo!...

— Go będzie potem? — zapytał sam siebie Zygmunt.

Ale któż z charakterem Zygmunta i w podobnych okolicznościach łamie sobie głowy nad takim pytaniem? Jak będzie potem? Przynajmniej nie gorzej, jak było

przedtem. Powróci do Szarek, do dawnej samotności, do dawnych nudów i dawnej

biedy. Odpowiedź ta wystarczała w tej chwili Zygmuntowi, ale kto wie, czy byłby

w nią uwierzył, rozrnyślawszy się trochę dłużej.

Niestety, kto się wyrwał raz z swej pozycji choćby tęskontą tylko do innego

świata, kto granice jej przeleciał szaloną myślą, planem zuchwałym, albo już i

czynem, dla tego powrót do niej jest upadkiem bolesnym , ciosem dotkliwym,

klęską zupełną... Dawny świat pozostanie ten sam, ale jakżeż zmienieni powracamy

do niego! Szarki ubożuchne zostaną tam, gdzie były, za górami, za lasami, ta

sama w nich cisza rozlegać się, ta sama zieleń uśmiechać się będzie, ale w dawne

wrota, pod dawną strzechę, czy ten sam Zygmunt powróci?...

Ta myśl odezwała się gdzieś przykrem uczuciem w głębi duszy Zygmunta — ale

sformułować jej sobie

jasno nie umiał i - nie chciał... A ona ! ta królowa marzeń, to słońce pałace

się na krańcach tego horyzontu , w którym utonęła myśl

Zygmunta, czy nie godna

hazardu, niebezpieczeństw, szaleństwa? Kto nie waży, nic nie zyszcze. Nikt nie

wygrał, kto grać nie miał odwagi.

— Vogue la galère! — zawołał Zygmunt i wybiegł z dusznej izdebki hotelowej, aby

zacząć od sprawienia sobie nędznego rynsztunku do świetnej kampanji.

Właśnie gdy stanął na ulicy, nadszedł z przeciwnej strony pan Izydor Szwinder.

Szedł krokiem powolnym, na poły elegancko-poważnym, na poły skocznym — a w tym

kroku jego było coś, co przypominało płasy jego ojców około
złotego cielca. Jak
w kontradansie sunął naprzód p. Szwinder, z nowiutkim
cylindrem na bakier, z
przymrużonemi jakby od uśmiechu oczyma, z palcami
wsuniętymi za rąbek
kamizelki.... Rozpromieniony był cały, rozradowany, i nucił
jakaś aryętkę
offenbachowską....
Szwinder ujrzawszy Zygmunta zatrzymał się i uchylając z
lekka kapelusza skłonił
mu się z uśmiechem konfidencjonalnym, co więcej prawie
protekcynym. Zygmunt
odkłonił mu się i chciał pobiedz dalej, lecz wpadło mu nagle
na myśl, że
Szwinder w obecnym stanie rzeczy może mu być użytecznym.
— Jak się masz, panie Szwinder — rzekł do niego — jesteś
widocznie w dobrem
usposobieniu, musiałeś zrobić szczęśliwy interes?
— Ja teraz tylko same szczęśliwe interesa robię — odparł
Szwinder podając rękę
Szarskiemu. — Człowiek rozumny nigdy nie może robić
nieszczęśliwych interesów...
No, jak się tam pan bawi w naszym mieście?
Zygmunt uśmiechnął się na ten ton konfidencjonalny
Szwindera.
— Ja zawsze powiadam — mówił dalej żydek — że to dziura
bardzo nudna. Kennen Sie
Wien? We Wiedniu, to co innego; tam się można bawić. Ja
zawsze zazdroszczę memu
bratu, doktorowi Arnoldowi
Szwinder, redaktorowi od Neue freie Speculier-Presse, że on
sobie mieszka stale

w tej stolicy. Jak ureguluję moje interesa, to się na zawsze tam sprowadzę.

— Bylebyś nie uciekł mi zawczasie, panie Szwinder — rzekł Zygmunt — bo mam do ciebie interes.

— Miło mi zawsze służyć moim znajomym i przyjaciółom — odpowiedział Szwinder, bawiąc się swym grubym złotym łańcuszkiem od zegarka. — Jaki interes?

— Wiesz co, panie Szwinder, potrzebuję albo raczej kto wie, czy nie będę potrzebował pieniędzy. Robiłeś mi jeszcze dawniej propozycję, abym po za spółką z hrabią Danielem zrobił z tobą układ o las..

— Nu, ja to mówiłem — odparł obojętnie Szwinder ale teraz, widzi pan... ja się już takimi interesami nie trudnię...

— Czemże się trudnisz teraz?

— Ja teraz robię interesa od wysokiej spekulacji. Jak pan będzie miał bankowy interes albo komiss giełdowy, czemu nie?... Ja teraz tylko w papierach robię.

— Zresztą — dodał Szwinder po małej chwili namysłu — tak, en passant, to ja panu mogę być pomocnym.

— Mówiłeś sam — ozwał się Zygmunt — że w lasach moich dwa razy jest tyle materiału okrętowego, niżli go do spółki dostarczyłem i proponowałeś mi jego zakupno na własną rękę. Nie przyjąłem wtedy propozycji, bo hrabia Daniel odradzał mi, mówiąc, że później jeszcze lepiej spieniężę budulec.

— Hrabia Daniel! hrabia Daniel! — zawołał Szwinder —
czemu pan słuchał hr
Daniela! Gzy on się zna na interesach! Jemu zresztą dobrze
czekać — ale panu, to
co innego. Ja chcę panu zrobić grzeczność... będę
pośredniczyć aus reiner
Gefälligkeit. Pruscy kupcy są jeszcze we Lwowie, jak pan
zgodzisz się na podane
panu już dawniej warunki i wyręb cały sprzedasz za .
guldenów, nu... to
może interes da się zrobić.

— Ależ panie Szwinder! — zawołał Zygmunt — dawałeś
wówczas sam .! A hr.

Daniel zareczył mi, ie poczekawszy dwa lata wezmę najmniej
dwadzieścia...

— Czemu się pan odrazu nie zgodził? Byłbym wtedy dał
piętnaście. Ale co do
., o których ten pan hrabia mówi, to niech on sobie mówi i
niech
czeka, a jak pan chce, to niech pan czeka także. Wierz mi pan,
że ja wolę mieć
dzisiaj dziesięć tysięcy, niż dwadzieścia za dwa lata. W
dzisiejszych czasach za
dwa lata z dziesięciu tysięcy można mieć trzy razy tyle!

— Czy dlatego może, że ustawa o lichwie została zniesioną?
— zapytał z uśmiechem
Zygmunt.

— Lichwa? co to lichwa? — odparł urażonym tonem

Szwinder — Kto dzisiaj trudni
się pożyczkami na lichwę? Kilka kapcanów albo głupców Gzy
pan hrabia C.

lichwiarz? czy księżę W. lichwiarz? czy baron K. także
lichwiarz ? — a przecież

oni w tym miesiącu zyskali trzy razy tyle, ile mieli! Ja także nie trudnię się pożyczkami, a ot jak mnie pan widzisz, zyskałem przez jedną dobę . zlr.! A gdybym by? sam we Wiedniu, byłbym zyskał nawet dwa razy tyle!

— A to ciekawa rzecz! — zawołał śmiejąc się Zygmunt. — Radbym się nauczyć tego sekretu.

— Gały sekret tu! — rzekł Szwinder, uderzając się dłonią po czole. — Kto teraz ma jakiś grosz w kieszeni, a nie podwoi go, nie potroi nawet, ten niech się nie skarży, że nie jest bogatym, bo sam sobie winien.

— Pyszny jesteś, mój panie Szwinder — rzekł Zygmunt na pół ironicznie, na pół z zajęciem — gdzie jest ta droga do milionów?

— O tem można gadać albo bardzo dużo, albo bardzo mało!

— odparł Szwinder. —

Chce pan receptę Hazardy.

na zysk? Glücklicher Wurf, panie łaskawy, telegram hin, telegram her... biorę,

daję... Diferenz... sto sztuk akcyj, Deckung, Hausse, Baisse i tak dalej.

— Myślisz o giełdzie?

— Ach! któżby o niej dzisiaj nie myślał! — zawołał prawie z entuzjazmem Szwinder

— to szczyt spekulacyjnego jenjusz, to najpiękniejsza instytucja XIX wieku! Ale

pan daruje, muszę iść do mego kantoru, czekają tam na mnie moi klienci, hrabia

Z., pan J., pan Wywilski...

— Czy oni także grają na giełdzie? — zapytał z żywym zajęciem Zygmunt. -

— Czy grają? Cała wysoka arystokracja gra, cała haute volee robi teraz in

Aklien. To jest teraz tak sobie dobra noble Passion jak co innego, a nawet sto razy lepsza, bo jest nohel und gescheidt odrazu.

Zygmunt machinalnie prawie szedł z Szwinderem i z ciekawością słuchał jego opowiadania. Szwinder jakby chciał olśnić wieśniaka z kretesem, prawił mu niestworzone rzeczy o giełdzie i akcyjnej spekulacji. Wyliczał mu rozmaite

szczęśliwe wypadki, cytował fortuny całkiem nowe, które urosły w przeciągu kilku

tygodni, wymieniał najzapaleńszych graczy giełdowych, w których szeregu

figurowała mnoga liczba najarystokratyczniejszych nazwisk, przeplatana mniej już

imponującymi imionami Osiasów, Abrahamów i najrozmaitszych ...stein'ów,

...gold'ów, ...feld'ów i ...blum'ów...

Z ust Szwindera sypały się techniczne wyrazy giełdowe, wszystkie te termina,

które się składają na spekulanczką lingua franca. Zygmuntowi kręciło się w głowie

od swady Szwindera a w uszach szumiał mu rojem całym żargonowy dykcjonarz bursy.

Handels'y, Baubank'i, Anglofranki, Austriany, Ludwiki, Siebenburgery, kredyty,

Lombardy etc. a dalej Kontremina, Bausse, Baisse, differencya, limite, panique,

kulissa, jobber, Borsenschluss, a dalej znowu cała stenografia walarów, zamykana w cyfrach zrozumiałych tylko dla znawców — wszystko to sypało się gradem z ust Szwindera.

Gdy już Szwinder stanął przed swoim kantorem, Zygmunt przypomniał mu raz jeszcze interes z lasem i umówił się, że za dwa tygodni w razie potrzeby uczyni Szwinderowi stanowczą propozycję. Właśnie już odchodził, gdy ujrzał Żywickiego, który szedł po pod ramię z Wywilskim, rozmawiając z zajęciem. Odchodząc Zygmunt oglądnął się i zobaczył, że obaj weszli do kantoru Szwindera. — Kto wie — rzekł sobie w duchu — czy złoty klucz, którego szukam, nie dałby się znaleźć na tej drodze, o której tyle mówi ten żydek! Przykłady, które Szwinder cytował, są istotnie zdumiewające! Zrobiwszy z Szwinderem interes, będę rozporządzał sumą kilkunastotysięczną. Według tego, co Szwinder mówi, za . kupię sobie mogę za . akcyj. Jedna chwila szczęśliwa, jeden podskok papierów, za- robić mogę na każdej akcji po , po nawet — to wynosi... to wynosi drugie tyle, co miałem! Ależ to hazard taki dobry jak inny! A! słusznie powiedział Szwinder, że dzisiaj koleją żelazną pędzić się powinno do majątku. Hazard to lokomotywa!

Dziwnie lekkomyślna jakaś otucha wstąpiła w Zygmunta.
Wprawdzie całe to
targowisko spekulacji, cały ten jarmark pieniężny przejmował
go niesmakiem a
nawet wstręt otwarty budził w jego szlachetnym umyśle, ale
czyż nie miała to być
droga do szczęścia, do zrealizowania marzeń najdroższych —
do Niej! Odwieczna
ta, fatalna sacra auri fames opanowała biednego Zygmunta, a
głód ten, głód złota
dziwnie się wiązał tym razem z najidealniejszymi rojeniami.
Gdy mu ten kontrast stanął na myśli, rumienił się sam przed
sobą Zygmunt — lecz
usprawiedliwiał się zaraz słowami:
— Czyż ja winien temu? Cóż począć, kiedy świat taki? Cóż
począć wobec przykrego
porządku rzeczy, który najpiękniejsze, najczystsze cele czyni
zawisłymi od
najtrywialniejszych, najbłaższych środków?...
Przez dwa tygodnie następne Zygmunt zajęty był ogromnie
swą metamorfozą i robił
wszelkie usiłowania, aby z wieśniaczej poczwarki wylecieć
lśniącym, barwnym
motylem. Przez ten cały czas nie robił nigdzie wizyt, unikał
nawet spotkań z
znajomymi. Z gorączkowym pośpiechem ekwipował się na
lwa salonowego. Dzięki
ogromnym wydatkom przygotowania szły bardzo
szybko. Za dwa tygodni Zygmunt mieszkał w
pierwszorzędnym hotelu, ubrany był
według najświeższej mody, miał amerykańkę piękną i zgrabną
jak cacko i lokaja w
liberji.

Czternastego dnia zrana pojawił się Zygmunt na horyzoncie
eleganckiego świata z
effektem, jaki sprawiać zwykł świetny meteor... Niepodobna
zaprzeczyć, że
powierzchnowość Zygmunta ogromnie zyskała na tej
metamorfozie. Z postaci jego
tchnęła elegancja najczystszeo, najwykwintniejszego stylu.
Uderzała w nim ta
dystynkcja form, którą tylko wrodzony smak szlachezny nadać
może.

Kiedy pojawił się pierwszy raz na ślicznym wierzchowcu —
wszyscy spojrzeniem
mimowolnego podziwu spoglądali na dorodnego młodziana,
który w swej postaci
łączył tak szczęśliwie ton modny i wykwinny z dzielnością
mężką, elegancję
żurnalową z smakiem i swobodą, arystokratyczną manierę z
sympatyczną a
niepospolitą oryginalnością. Eleganci wielkiego świata
spoglądali nań z pewną
zazdrością — a damy unosiły się nad męzkim wdziękiem jego
postaci.

— Kto to jest? — pytano — nikt z "towarzystwa" go niezna?
Zygmunt zrobił furorę, a okoliczność ta, że go nieznano,
dodawala mu powabu.

Było to właśnie w dzień prześliczny, kiedy spacer zwabił
mnóstwo osób na Wysoki
Zamek. Z każdego powozu padały na Zygmunta spojrzenia,
które pochlebiać
tylko mogły jego próżności. Gdyby Zygmuntowi chodziło
było tylko o zrobienie
karjery zwykłej, pospolitej, by/by się mógł uważać już teraz za
blizkiego

celowi.

Miał wszystkie pozory, a pozory ważą więcej niż prawda w świecie, do którego chciał należeć; miał formy, a formy znaczą tam więcej niż treść, znaczą prawie wszystko. Nie miał jeszcze złota, ale miał już pozłotę. Jak na mały kluczyk, na który się zdobył, wiele sobie otworzył. Ale Zygmuntowi nie chodziło o tę zdawkową monetę towarzyską. Go innym było celem, było dla niego środkiem mizernym. Zygmunt zanadto był zakochanym, aby mógł być próżnym.

Na przechadzce tej spotkał Zygmunt wszystkich tych nielicznych znajomych, których posiadał w wielkim świecie, ale nie spotkał nigdzie ani Żywickiego, ani Ireny. Oprócz tego spotkał także znajomości z innego świata, jak np. Szwindera.

Szwinder wraz z dwoma innymi żydowskimi elegantami jeździł po zamkowej górze parokonnym fiakrem, a ile razy spotkał się z Zygmuntem, nie omieszkał witać go z przyjacielską życzliwością, która go do rozpaczki doprowadzała.

Szwinder tymczasem patrząc na Zygmunta szepnął sobie w duchu.

— Przeda las za dziesięć tysięcy! Z pewnością przeda!

I zatarł ręce z widocznym ukontentowaniem.

Wywilski ujrzawszy Zygmunta szepnął do siebie:

— Niech go djabli porwą! Ten młokos nie wie, z jakiego on kruszcu ulany! On ma w

sobie kapitał! Gdybym go ja miał — dokonywałbym cudów!
Zrobi karierę, na honor,
chłopak ten zrobi karierę!
Ordawski, który był także na przechadzce, zimno bardzo
ukłonił się Zygmunтови i
sam rzekł do siebie:
— Pan Szarski! Co za metamorfoza... Przy tej scenie głupiej u
pani Sylwji, przy
zemdleniu Ireny ten pan Szarski obraził mnie... teraz... teraz...
hm... kto wie
czy teraz nie biłbym się z nim chętnie?...
W otwartym powozie ujrzał Zygmunt hr. Daniela. Leżał
prawie w powozie otulony
szalem. Koło niego siedziała pani Sylwja, piękna jak zawsze,
najpiękniejsza ze
wszystkich, nawet w oczach Zygmunta, bo Ireny nie było.
Hrabia Daniel spojrział
przenikliwie na Zygmunta i uśmiechnął się tak ironicznie, że
młody nasz elegant
zmięszał się i spuścił oczy — jakby uśmiech ten rozumiał i
całą treść jego
satyryczną pojął od razu.
Ale hr. Daniel, jakby chciał zatrzeć złe wrażenie, które sprawił
na biednym
Zygmuncie, zaraz się tak grzecznie ukłonił, że ośmielił
Zygmunta do rozpoczęcia
rozmowy. Podjechał ku powozowi a hr. Daniel natychmiast
kazał woźnicy jechać
powoli. Sylwja z wielką uprzejmością rozmawiała z
Zygmuntem, tak, że Amadeusz,
który jechał na koniu z drugiej strony powozu, daremnie
próbował zwrócić jej
uwagę na siebie.

— Kiedy pan zamyślasz zabawić dłużej we Lwowie — rzekła
p. Sylwja — racz pan
pamiętać o nas.

Nic nie mogło być bardziej pożądanem dla Zygmunta nad to
zaproszenie. Zbliżało

go ono do Ireny. Zaraz też na trzeci dzień po zaproszeniu
Zygmunt wytwornie

ubrany pospieszył z wizytą do hrabstwa Zmierskich.

U Zmierskich zastał Zygmunt małe ale dobrane towarzystwo,
bo złożone z kwiatu

arystokratycznego towarzystwa. Gdy Zygmunt wszedł do
salonu, serce mu zadrżało,

był bowiem pewnym, że zastanie Irenę, Hrabia Daniel i jego
młoda żona przyjęli

Zygmunta z wielką uprzejmością. Gdy jednak Zygmunt
rozpatrzył się w towarzystwie

— nie znalazł tej, której szukał. Nie było ani Żywickiego, ani
Ireny.

Doznany zawód wprowadził Zygmunta w posępny humor.

Towarzystwo, obce mu zupełnie,

rozerwać go nie mogło, mieszało go tylko. Spotykał się
zawszą z spojrzzeniami

pytającymi, badawczymi — a niektórzy z salonowych
bohaterów patrzyli nań nawet z

pewną dozą impertynencji. Zygmunt opłacał pierwsze frycowe
swego debiutu na

wielkim świecie.

Na szczęście gospodarstwo sami prześcigali się w
uprzejmościach dla Zygmunta.

Doznawał on z ich strony tak odznaczającej grzeczności, że
powoli całe

towarzystwo innym już wzrokiem poczęło spoglądać na niego.
Zygmunt uczył

wdzięczność prawdziwa dla hr. Daniela. Widział on tylko szlachetną stronę jego postępowania, ale nie uważał w niektórych jego uwagach ironji, którą wziąć można było za delikatną, dobrze maskowaną przestrożę. Co chwilę usiłowało wyrwać się z ust Zygmunta zapytanie o Irenę — ale zawsze powstrzymywał się z obawy, aby się nie zdradzić. Niedowierzał sobie, aby zapytanie to potrafił rzucić tak, jak należało, obojętnie i nawiasowo, Już podczas jego obecności w salonie anonsowano nowych gości a wzrok Zygmunta za każdym razem chciwie zwracał się ku drzwiom. Na takim jednym spojrzeniu schwytała go pani Sylwja. Spojrzała na Zygmunta i rzekła: — Co to za szkoda nam się stała, panie Szarski. Straciłam towarzyszkę i przyjaciółkę najlepszą. — Kogoż? — zapytał Zygmunt, czując na twarzy rumieniec i z tej przyczyny właśnie rumieniąc się jeszcze bardziej. — Panna Irena wyjechała... — rzekła pani Sylwja. — Na długo? — zapytał Zygmunt z pośpiechem, który okupił nowym pomieszaniem. — O na długo, na bardzo długo, bo na czas nieograniczony. Wyjechała z wujem swym i z stryjanką za granicę. — Tak nagle! Wszakże nie było o tem mowy. — Otóż widzisz pan, nagle i w dziwaczny sposób. Wystaw sobie pan, że nie wiem nawet, gdzie się obraca, ta miła moja awanturnica. Dowiedziałam się

tylko, że za miesiąc będzie nad Renem i dłuższy czas zabawi w Baden. Zjedziemy się tam.

— Państwo wyjeżdżacie do kąpiel?

— Wybieramy się i to w całym gronie. Wербujemy sobie całe towarzystwo. Mnóstwo osób tam jedzie. A pan nie zechcesz należeć do tej wyprawy?

— dodała Sylwja jakby od niechcienia.

Zygmunt odpowiedział wymijająco i odtąd przez cały wieczór milczał jak kamień.

Ten nieprzewidziany wypadek biednemu naszemu bohaterowi fatalnie pomieszał

szyki. Gdy wracał do domu był smutny i zły zarazem. Gdy się jednak bliżej

zastanowił nad doznaniem niepowodzeniem, rzekł sam do siebie:

— Śmieszny jestem i dziecinny. Podobny jestem do szewca, który sprawił sobie

nowy surdut i klnie los swój gorzko, że deszcz pada w niedzielę i niepozwala mu

zaprezentować go światu. Co za komiczny żal, że p. Irena nie widziała mnie w

nowym tużurku! Pojadę do Baden!

XI.

TRZY KAMPANJE.

Fatalny skutek owej intrygi, którą wykombinował był Albin Wywilski, dawał

Żywickiemu aż nadto powodów do pozbycia się swego tak natrętnego a tak

niefortunnego zarazem opiekuna. Pod świeżym wrażeniem całej katastrofy, która go

tak dotkliwie trafiła, Żywicki istotnie postanowił zerwać wszelkie stosunki z Albinem. Przekonał się jednak natychmiast, że siły jego charakteru nie wystarczają, wcale do tego. Żywicki był człowiekiem bezprzykładnie słabym i chwiejnym. Należał on do tego rodzaju ludzi, których nieszczęsnym przeznaczeniem bywa niewolnicza, machinalna prawie uległość wobec osób, które ich raz opanować zdołały. Żywicki znał siebie dobrze z tej strony, i dlatego też, skoro mu na to pozwalała zapewniona z łaski Gzerskiego pozycja materialna, otaczał się murem nieprzystępnym przed ludźmi, unikał poufnych stosunków, bał się jak ognia znajomości, któreby przekraczały zwykle granice konwencjonalne. Udawało się to dobrze Żywickiemu, dopóki szturmem nie wziął go Wywilski. Jak wiemy, już za pierwszym natarciem zdał mu się Żywicki na łaskę lub niełaskę. Po owej nieszczęśliwej schadzce w parku, Żywicki uczuł chwilowo nienawiść do Albina i pragnął go się pozbyć. Ale podniesiona nawet niezwykłą irytacją wola nie wystarczyła do wykonania tego zamiaru. Żywicki nie umiał się nawet oprzeć, gdy wracając z widowni całego przykrego zajścia w dworku przedmiejskim, Albin wsiadł z nim razem do karety. Biedny Żywicki wracał do domu z Albinem, wioząc go z sobą, jak nieodstępного

złego demona. Przez ten króciutki przebieg swej znajomości z Żywickim, Albin opanował go jaknajzupełniej. Sprytny karierowicz poznał na wylot swą ofiarę, przejrzał cały charakter Żywickiego, podchwycił wszystkie jego słabe strony — miał go kompletnie w ręku. Jak to najczęściej bywa w słabych i miernych naturach, w Żywickim dwie głównie działały sprężyny. Sprężynami temi były gniew bezsilny, lub trwoga bezradna. Wywilski wybornie umiał korzystać z obudwu tych uczuć.

— Dziś więcej niż kiedykolwiek będę ci potrzebnym — rzekł był Albin do Żywickiego, gdy wsiadał z nim do powozu po owej fatalnej schadzce.

Mimo całego wstrętu, który na chwilę uczuł przeciw Albinowi, Żywicki przyznawał sobie w duchu, że tak jest niestety na prawdę. Był zrozpaczonym, zgruchotanym, bezradnym — w głowie jego był chaos, ale chaos jałowy, z którego nie obiecywała się wyłonić żadna myśl stosowna do sytuacji.

Wracając milczeli obaj. Albin był mocno zamyślony, Żywicki w stanie drętwienia, w którym to myśli się o wszystkim i o niczem.

— Panie hrabio — odezwał się nagle Albin — czy nie można przecież choć w drobnostce liczyć na pana? Żywicki nic nie odpowiadał.

— Czy potrafisz pan zdobyć się na energję, choćby na jedną króciutką chwilkę? — zapytał znowu Albin, potrząsając ramieniem Żywickiego.

— Na miłość Boga, czegoż pan chcesz odemnie?

— Czy pan się zgadzasz na wyjazd panny Ireny z tym opryszkiem?

— Ale cóż mam począć! On tak chce koniecznie, a czego on chce, ten waryat, to musi wykonać, gdyby się nawet piekło waliło pod nim...

— A pan, panie Żywicki — pytał dalej Albin, nie potrafiłbyś choć przez jedną chwilkę chcieć tak silnie jak ten pan Czerski?... Żywicki spojrział na Albina płaczliwie i odparł:

— Nie...

— Więc pan przepadłeś! — rzekł dobitnie Wywilski. Żywicki westchnął tylko.

Taka małoduszna rezygnacja zniecierpliwiła do żywego Albina.

— Ależ panie, opamiętaj się pan! — zawołał — czy nie widzisz pan, w jakiej się znajdujesz sytuacji? Ten człowiek zabiera panu córkę, majątek, znaczenie...

wszystko! I pan na to pozwolisz?

— Cóż pocznę?

— Oprzyj się pan.

— To nic nie pomoże.

— Tem lepiej.

— Jak? — zapytał zdziwiony Żywicki.

— Powiadam, tem lepiej. Jeżeli się to stanie mimo pańskiego oporu, wyjazd panny

Ireny stanie się uwiezieniem. To nam może być wielce pomocnem. Zaklinam pana

tedy, oprzyj się pan wyjazdowi energicznie.

— Ja tego nie potrafię.

— Cóż u licha, nie byłeś pan nigdy w teatrze? Nie potrafisz pan odegrać choć na małą chwilę roli ojca, dotkniętego w swej powadze? Nie chodzi tu o to, abyś pan gwałtownie przeszkadzał wyjazdowi panny Ireny, chodzi tu tylko o to, abyś pan stanowczo oświadczył, że się z tem nie zgadzasz. Od tego zależy cała kampanja, którą rozpoczniemy. Uczynisz pan tak?

— Uczynię.

— Dobrze tedy; wstąpię do pana jeszcze na kilka minut i dam panu niektóre potrzebne informacje.

W tej chwili właśnie powóz stanął przed pomieszkaniem Żywickiego. Gdy Albin i Żywicki wysiedli i udali się ku drzwiom, nadpędził powóz drugi i stanął. Z

powozu wyskoczył Roch. Widocznie wyjechał on z starego dworu w ślad za nimi.

Albin poznawszy Rocha, postanowił nie wstępować już do Żywickiego. Uścisnął mu tylko rękę i szepnął do ucha: — Trzymaj się pan i zrób lak, jak ci radzę!

Potem wracając na ulicę, uklonił się głęboko Czerskiemu.

— A! pan Wywilski! — zawołał zatrzymując się Czerski — pan znowu tu?

— Odprowadzałem pana Żywickiego...

Roch spojrział przenikliwie na Albina i rzekł:

— Pan musisz być bardzo ciekawym?

Wywilski zmięszął się i niewiedziało, co odpowiedzieć.

— Ciekawość bywa zaletą, ale nie zawsze. Ostrożnie, panie Albinie, można się popiec!

Rzekłszy to, Roch skłonił się zlekka, i udał się z Żywickim na schody.

— Zobaczymy! — mruknął Albin spoglądając na odchodzącego. — Co ja przy tem stracić mogę? Zostać zięciem pana Żywickiego, ożenić się z miljonem — no... tą nadzieją nie bardzo się łudzę. Ale choć cię nie nazwę wujaszkiem, mój ty dziki człowieku, przecież zyskać coś mogę! Jak gdybym ja miał co innego do roboty!

Na drugi dzień pospieszył Albin zaraz z rana do Żywickiego. Nie przyjęto go.

Dowiedział się tylko, że Roch jest jeszcze we Lwowie, że odbywa konferencję z Żywickim i że są z nimi jacyś panowie, co ciągle piszą.

— Uhm... — kombinował Albin — zapewne wypędzanie z raju odbywa się notarjalnie..

Ha! może i zgoda ! Toby było szkaradnie!

Dopiero na trzeci dzień ujrzał się Albin z Żywickim. Ex-milionerissimus siedział

na fotelu, blady i zmęczony, jakby po przebytej chorobie.

— Cóż tedy? — zapytał Albin ciekawie.

— Stało się! Pojechali!

— Więc pogodziliście się z Czerskim?

— Nie.

Wywilski zatarł ręce z ukontentowaniem

— Przepraszałem go — ozwał się Żywiecki — tłumaczyłem się przed tym djabełem; nic nie pomogło, uparł się na swoim i kwita!

— Nie mówiłem-że panu — rzekł niechętnie Albin — abyś pan nie przeproszał, ale ostro się opierał!

— Próbowałem i tego, gdy pierwszy środek nie pomógł.
— No i cóż?
— A cóżby, nie zwracał na to żadnej uwagi.
— Jakże to było, opowiedz pan.
— Rozgniewałem się na serjo i rzekłem energicznie: "Panie Czerski, kiedy usuwasz majątek swój Irenie, kiedy mi nie ufasz — zostaw nas tedy w niedostatku. Obejdę się bez twoich pieniędzy, będę żyć w biedzie, będę pracować!
— tak jest, powiedziałem: — będę pracować...
— Ślicznie! — zawołał Albin z tak cynicznym śmiechem, ie się aż wstrętnym wydał Żywickiemu.
— Będę pracować — ciągnął dalej Żywicki — ale córki wziąć sobie nie dam.
Zostanie przy mnie, i podzielać będzie losy de son malheureux père!...
— A on co na to?
— Śmiał się...
— Rozumny człowiek! — mruknął Wywilski, a potem dodał głośniej: — Cóż dalej ?
— Raz jeszcze próbowałem poleconego mi przez pana środka. Powiedziałem mu, że jako ojciec mam prawa i że praw tych bronić będę!
— A on?
— Rozgniewał się i groźnie odpowiedział, ie nie mam praw żadnych, że nie umiałem nigdy być ojcem, ie nie kochałem Ireny, że nie wzbudziłem w niej miłości ku sobie, że stałem się sprawca jej nieszczęścia, i... i... i tak dalej. Przyznaj pan, ie dalej nie było co robić.

— A sprawa finansowa?

Stoi jaknajgorzej. Administrację majątku mi odjęto.

— Ileż panu pozostawił?

— Sześć tysięcy rocznej renty. Jak tu żyć, mój Boże!

— Sprawa nie tak źle stoi — jak się obawiałem. Będzie dobrze!

— I ja tak myślę odparł Żywicki — Poczekam czas jakiś, a potem pojedę sam do

nich, bo wiem gdzie zamieszkają. Roch mi z pewnością daruje wszystko i będzie

zgoda!

— Na miłość Boga — zawołał Wywilski żywo — co pan myślisz zrobić!

— Zdać się na łaskę lub niełaskę.

— Toby było najgorzej — począł perswadować Albin. —

Wszakżeś pan już próbował

uczynić to i nie osiągnąłeś skutku. Poczekajmy, rozpocznijmy przeciw Rochowi

kampanję zwawą, lepiej na tem wyjdziemy. Żywicki nie

uważał tej liczby mnogiej,

która każdemu dawała by była wiele do myślenia.

— Kapitulować bez walki to znaczy przedawać się za

najtańszą cenę. Dokuczmy im

wpierwej a potem... potem możemy się zdać nie "na łaskę lub niełaskę" ale na

samą łaskę tylko.

— Ale jakże tu walczyć z Czerskim?

— Jak? Najrozmaitszą bronią. Zakłóceniem spokoju najpierw, a jeżeli to nie

pomoże, groźbami, a jeżeli to nie pomoże — skandalem!

— Skandalem! — zawołał z indygnacją Żywicki. — Nigdy!

— No to groźbą skandalu, do którego nie przyjdzie, bo go Roch zechce uniknąć.

Już ja cały plan panu ułożę, a rękę kochany hrabio, że akceptować go będziesz.

Po długiej konferencji, która się toczyła około jednej i tej samej sprawy,

Wywilski opuścił przygnębionego Żywickiego.

Na drugi dzień przybiegł jednak znowu i wpadłszy do salonu zadyszany, zawołał:

— Czy wysłałeś pan ów pierwszy list, który panu wczoraj podyktowałem, do Rocha i do panny Ireny?

— Nie jeszcze.

— Brawo! Panie Żywicki, victoria! Zawieszamy na dni kilkanaście kroki wojenne!

— Dla czego?

— Wojenna sztuka! Nieprzyjaciel wchodzi w zasadzkę.

— Nic nie rozumiem.

— Słuchaj że tedy, kochany hrabio. Dowiedziałem się rzeczy nieocenionej!

Plenipotent Rocha, ten sam adwokat, który był twoim syndykiem przy administracji majątku, przeprowadza z polecenia Czerskiego formalne, prawne przeniesienie całego majątku na pannę Irenę!

— I cóż mi po tem?

— Jak to, co panu po tem? Nie domyślasz że się, hrabio, niczego? Któż jest ojcem

Ireny? Ty. Czy panna Irena jest pełnoletnią? nie! Ergo, gdy formalność prawna

będzie dokonana, gdy majątek będzie już tabu-

larną własnością panny Ireny — wtedy pan, jako ojciec, upomnisz się o swe prawo

do córki i do majątku!

— A czy to się uda... Tym sposobem można zupełnie odstręczyć, sobie Rocha. Znam go.

— Czy hrabia tak kochasz tego Rocha? Miły szwagraszek, luby, kochany, nie ma co mówić. I pan, panie hrabio, któremu ten Roch usunął z pod nóg całą podstawę socjalną, z którym on igrał jak z studentem, którego skandalicznie zdegradował i skompromitował — pan miałbyś się kierować jakimiś małodusznymi względami?

Pan Żywicki począł się rumienić. Próżność poczęła się w nim budzić widocznie.

Albin kuł żelazo, dopóki było gorące.

— Więc wolisz pan poprzestać na tem, co panu ten Czernski rzuci z swej łaski, wolisz pan być dzieckiem, któremu mama dała cacko, aby się bawiło niem grzecznie, bo go odbierze; więc wolisz pan zależeć od kaprysów warjata, administrować obcy majątek pod kontrolą pierwszego lepszego adwokata — niżli być panem własnej woli, panem własnego dziecka, własnej fortuny, panem w całym znaczeniu tego słowa, na którego się urodziłeś!

— Assez! — zawołał z zapalem Żywicki. — Zgoda. Niech będzie wojna!

Albin uściskał Żywieckiego i wybiegł.

— Co się stanie, to się stanie! — rzekł do siebie na schodach — ale trudy moje nie będą daremne. Pokłóćę ich z sobą radykalnie — a potem wystąpię jako pośrednik! Dajmy na to, że

zarobię jakich dwadzieścia tysięcy! Przy fortunie
Czerskiego to bagatela! A
dla mnie! dla mnie to majątek. Dwadzieścia tysięcy w
dzisiejszych czasach, w
epoce gry i giełdy! Panie Wywilski, przyjm komplement,
jesteś na dobrej drodze,
zrobisz karierę!
Od dnia, w których stanęła ta wojenna uchwała, Albin jak cień
nie odstępował
nigdy Żywickiego. Trzeba mu jednak było przyznać, że nie
szczędził żadnych
wysiłek, aby mu się stać niezbędnym. Tak umiał dogodzić
zawsze Żywickiemu, tak
przyjemnie go bawił, że Żywicki począł się naprawdę
przyzwyczajać do Albina,
tak, jak się przyzwyczajamy do pewnej wygody lub rozrywki.
Pewnego dnia Albin wprowadziwszy Żywickiego w wesoły
humor, rzekł:
— Jakby to było, panie hrabio, gdybyśmy dla rozrywki, nim
się naprawdę
rozpocznie kampanja, zabawili się w bardzo przyjemny i
korzystny sposób. Cobyś
powiedział, panie hrabio, gdybym cię nauczył sztuki dwojenia
kapitałów w
najkrótszym czasie?
— Żartujesz chyba! Czyś wynalazł kamień filozoficzny?
Czy masz, hrabio, jaki rezerwa w gotówce po swej
administracji?
— Niestety, bardzo mało... Ledwie . .
— Czy gniewałbyś się, gdyby za kilka tygodni, zrobiło się z
nich ?
— Jakimże cudem?

— Nie potrzeba żadnego cudu... Wystarczy mała spekulacyjka. Odkrywa się kopalnia złota, o której ja się tylko dzięki moim prywatnym stosunkom dowiedziałem.

Powiadam ci, hrabio, miny Potozy, Kalifornji ! Tą kopalnią są "młode papiery!"

Czy wiesz, hrabio, że młode papiery umiały skakać, może dlatego, że młode, a że

każdy skok, to dla kogoś, co je posiada, zysk ogromny! Żywicki nie pojmował

jeszcze dobrze, ale snać Albin potrafił go przekonać, bo wkrótce potem, Żywicki

wraz z swym mentorem, pojawił się w kantorze p. Szwintera, złożył pieniądze, a

Szwinder wyprawił telegram do Wiednia, zapisując na imię Żywickiego za .

owych "młodych, pełnych nadziei papierów", to jest: właśnie co wypuszczonych

akcyj jednego z pozawczoraj powstałych banków.

Tu, jak wiemy, spotkał się z Albinem i Żywickim Zygmunt, który później nieco

rozpoczął także kampanję i puszczał się na wyprawę po złote runo, po klucz do

wielkiego świata, po swój ideał...

Zaraz w kilka dni po rozmowie z Szwinderem, postanowił Zygmunt przyjąć jego

propozycję i sprzedać wyręb budulca w swych lasach za cenę ofiarowaną, choć

wiedział dobrze, że cena ta jest bardzo niekorzystną. Na powzięcie takiej

decyzji wpłynął bardzo

wyjazd niespodziewany Ireny. Zygmunt, jak wiemy, umyślił pojechać do kąpiel, aby

ujrzeć jaknajprędzej królowę swoich marzeń. Czekał go tedy nowy, znaczny wydatek, którego nie objął był jeszcze budżetem salonowego życia.

Interes o las szybko został załatwiony przez Szwindera.

Zaklinając się ciągle na

"słowo honoru", że z grzeczności tylko podejmuje się

pośrednictwa, Szwinder

zaliczył sam Zygmuntowi . zhr., a zaraz w kilka dni wzięł od kupców

pruskich o kilka tysięcy więcej. Mając teraz znaczną sumę pieniędzy, Zygmunt

począł się namyślać na prawdę nad owemi olbrzymiemi zyskami, które według

upewnień Szwindera, przynoszą zręczne spekulacje giełdowe.

Gra giełdowa była bardzo w modzie. Jest nią jeszcze i potąd, ale przestała już

być nowością. Wówczas nowość ta nadawała jej osobnego uroku. Długiego czasu było

potrzeba, nim ten nieszczęsny nałóg finansowego hazardu wcisnął się do naszego

kraju, wcisnąwszy się jednak ostatecznie wraz z mnóstwem nowych banków i

konzorcyów wywołał prawdziwą gorączkę. Przed szalem tym nie ustrzegły się

najtrzeźwiejsze nawet umysły. Demoralizujący przykład szybkich, łatwych i

stosunkowo ogromnych zysków rozbudził namiętność do próbowania szczęścia w tej

loterji.

Pod wpływem takiej atmosfery Zygmunt nie długo walczył z pokusą. Dla młodych,

próżnych i pełnych fantazji umysłów łatwe a szybkie nabycie fortuny ma nieprzewyciężony urok, a do fortuny takiej zdawała się Zygmuntowi otwierać drogę tylko spekulacja akcyjna. Odliczył od swego kapitału sumę, potrzebną na opędzenie kosztów podróży i wygodnego życia u wód — a całą resztę przeznaczył na próbowanie szczęścia. Zygmunt nie poprzestał na samej informacji Szwindera, ale próbował zasięgnąć wskazówek od kilku znajomych sobie osób, które bawiły się z powodzeniem grą giełdową. Pojawiły się były wówczas na giełdzie wiedeńskiej papiery akcyjne nowe, których kurs był jeszcze bardzo niski, a po których spodziewano się wkrótce znacznego podskoczenia. Na czym te nadzieje były oparte, tego Zygmunt nie rozumiał, ani mu też nikt inny wytłumaczyć nie mógł. Mówiono wiele o jakichś ogromnych operacjach, które bank wydający swe akcje rozpoczął, o olbrzymich, bajecznych zyskach, które osiągnie itd. Zygmunt z początku chciał kombinację tę oprzeć na jakichkolwiek datach, lecz przekonał się, że jest to niepodobieństwem przy grze giełdowej, zwłaszcza w mieście, oddalonem od centralnego punktu podobnych operacji, od Wiednia. Postanowił nie rozmyślać się długo, ale uważać rzecz całą za tak dobrą loterję, jak każda inna. Oddał się po prostu hazardowi.

Gdy pojawił się w kantorze Szwintera i oznajmił mu chęć kupienia wspomnianych "młodych papierów" — Szwinder uśmiechnął się i zawołał: — Doskonale panu ktoś poradził, słowo honoru, doskonale! Gott uber die Welt! to bardzo obiecujący papier!...

— Ale czy dotrzymujący tylko? — zapytał Zygmunt, który uczuł lekką drżączkę młodego człowieka, który po raz pierwszy przystępuje do zielonego stolika.

— Powiadam panu, to papier złoty! Ja w nim jestem całym swym majątkiem zaangażowany! I w dobrą chwilę pan trafiłeś, właśnie teraz stoją najniżej...

Oczywiście, pan chce nie effectiv ale na dyfferencję?

— Na dyfferencję. Jak stoją te papiery?

— Pięćdziesiąt — pięćdziesiąt.

Była to abbreviatura na złr. ct.

— Jakiego procentu wymagasz pan na pokrycie?

— Jak pan wiesz — odparł Szwinder — ja żądam mniejszego niż każdy bank inny.

Mnie chodzi o klientelę liczną, und ich bin nicht kleinmuthig, Herr von Szarski!

W każdym innym banku nie przyjęłoby pańskiego Auftrag inaczej jak za złożeniem

% od waloru jednej sztuki, ja przyjmuję tylko %. Ja tak zawsze: nobel und

tapfer! W dzisiejszym Geschdfi trzeba mieć courage...

— Pięćdziesiąt procent na sztukę — powtórzył Zygmunt — Ofiaruję . złr.

Oblicz pan tedy, ile mi kupisz akcyj?

Szwinder zrobił szybki rachunek na marmurowym stoliku i rzekł:

Sto sztuk jak jedna! Zaraz wyśłam telegram.
Zygmunt złożył pieniądze, odebrał notę kwitującą i wracając
do siebie począł
obliczać swoją spekulację. Płacąc za każdą sztukę akcji tylko
%, co przy
akcjach mających kurs złr. et. wynosiło niespełna złr.,
zaangażował
się na sto akcji, azatem zapomocą stawki wynoszącej . złr.,
operował sumą
trzykroć większą, sumą . .
— Gdyby akcje poszły w górę — rozumował Zygmunt — np.
o złr. tylko, coby
przecież nie było żadną nadzwyczajnością, wygrałbym . złr.
— Ale to bardzo skromna rachuba — kombinował dalej nasz
bohater — wszakże Anglo-
austriacy podniosły się już raz w przeciągu jednego tygodnia o
złr. Gdyby się
tak stało z mojemu papierami, miałbym zysku a zatem
podwoiłbym cały kapitał
angażowany! Ach! toby było wybornie!
— A gdyby właśnie spadły o , coby było wtedy? — odezwał
się jakiś głos
wewnętrzny w Zygmunście.
— Gdyby tak było — szepnął już z mniej dobrą miną —
wtedy... wtedy... straciłbym
cały kapitał... skwitowałbym się ze wszystkim, co
włożyłem...
Zygmunt bijąc się tak z nadziejami i obawami, doznawał po
raz pierwszy owych
ustawicznych emocyj, na które narażony jest każdy spekulant
giełdowy. Ten stan
gorączkowego zajęcia był mu jednak tym razem bardzo
pożądanym. Skracalo mu to

wyczekiwanie pory, w której rozpocząć się miał sezon kąpielowy.

Codziennie biega? Zygmunt do kantoru Szwintera, który otrzymywał dwa razy dziennie telegraficzne kursa giełdy wiedeńskiej. Przez kilka dni papiery, kupione przez Zygmunta, trzymały się przy dawnym kursie. W tydzień jednak rozpoczęła się wielka, niepamiętna prawie hausse. Akcje Zygmunta podskoczyły o $z\text{łr.}$ Zygmunt zyskał tedy dyfferencję $z\text{łr.}$ Z początku w szale swej dziecinnej prawie radości chciał Zygmunt dać polecenie Szwinderowi, aby sprzedał akcje — i postanowił kontentować się tym pierwszym tak znacznym zyskiem. Ale Szwinder odradzał mu to stanowczo — a hausse istotnie tak zakrawała na trwałą, że Zygmunt zamiast wycofać wygranę, kupił za nią znowu inne, równie "młode" i równie obiecujące papiery, których kurs był nizki. Papiery, które najpierw kupił Zygmunt, szły tymczasem szalenie w górę. Podskoczyły na drugą setkę, przeskoczyły ją i stanęły na . Zygmunt "zarobił" tedy, (jeżeli można tu tego słowa nadużyć) na każdej akcji po $z\text{łr.}$ — razem tedy $z\text{łr.}$ Nabrał teraz odwagi i rzucił się śmiało w grę dalszą. Nie minęło cztery tygodnie, a Zygmunt doszedł do wygranej . Polecił sprzedać papiery a odebrawszy zysk, odliczył sobie $z\text{łr.}$ i dołączył je do sumy przeznaczonej na

podróż.

Teraz już nie tylko wygodnie, ale świetnie i co się zowie po pańsku spędzę sezon!

— zawołał sani do siebie.

Resztę, to jest pierwotnego kapitału operacyjnego i . zhr. zysku

przeznaczył Zygmunt na nową spekulację. Ufając sprytowi Szwindera kupił inne

akcje po niskim kursie, a płacąc na nie trzecią część tylko wartości, ujrzał się

nagle spekulantem, który operuje illuzorycznym kapitałem tysięcy!

Kampanja rozpoczęła się od rezultatu, który świetnością swoją przechodził

wszelkie, najśmielsze nawet marzenia Zygmunta!

— Pan ma szalone szczęście! — wołał Szwinder — ale bo też i ja rozumiem interes

i dobrze panu poradziłem Ho, ho! wir machen uns reich!

Zygmunt z uśmiechem dobrodusznym przyjął tę expektorację Szwindera, który mówił

dalej:

— A wie pan, panie Szarski? Jaki jeszcze jest "profit" przy grze giełdowej?

— Naprzykład.

— Jest to jedyna gra, w której wygrana nie szkodzi w miłości! Ha, ha, ha... co

nie prawda!

I począł się śmiać ogromnie z swego własnego dowcipu.

Koncept ten, mimo całej

swjej trywialności, przypomniał Zygmuntowi tajemnicę jego serca. Gdy wspomniął o

Irenie i o swych zamiarach — wygrana cieszyła go podwójnie, bo dawała mu możność

wystąpić na arenę, na której miały się rozstrzygać losy
najpiękniejszych jego
marzeń.

Kiedy wychodził z kantoru Szwindera, spotkał się we
drzwiach z Żywickim i
Wywilskim. Pan Albin był rozpromieniony i z tryumfem się
uśmiechał.

— A co ? — mówił Wywilski do Żywickiego — nie mówiłem
ci panie hrabio? A nie
chciałeś wierzyć! Zdublowaliśmy już prawie kapitał! Mamy
teraz o czym borykać
się z tym niedźwiedziem. Zobaczysz, pójdzie wszystko
wyśmienicie!

Podczas gdy Wywilski z Żywickim swoją, a Zygmunt swoją
zajęci byli kampanją —
postanowił Amadeusz także rozpocząć kampanję stanowcza,
gwałtowną, ostateczną.

Kampanją ta miała być skierowaną, jak się tego czytelnicy
nasi domyślają,
przeciw pięknej hrabinie Sylwji. Namietność, którą budziła ta
kobieta w

Amadeuszu, dochodziła do kresów ostateczności.

Uczucie, które rozpierało piersi Ordawskiego, nazwaliśmy
namietnością a nie

miłością, bo nic w niem nie było z owej chwilowej
przynajmniej, a kojącej

rezygnacji, z owej choćby przemijającej pogody, której
najgwałtowniejsza, a

najnieszcześniejsza nawet miłość udziela. Miłość bowiem w
właściwym słowa tego

pojęciu, ma zawsze to do siebie, ze choćby sprzysięgły się na
nią

najzawistniejsze nawet losy, obok całej męczarni niesie także chwile ciszy
błogiej i rzewnego zadowolenia...
Amadeusz tymczasem rzucał się i targał w namiętności swojej jak potępieniec.
Czuł, że stan ten jest nieznośny i że bądź co bądź wyjść z niego musi.
Niepewność była dlań prawdziwą męczarnią. Do tej chwili jeszcze nie umiał on
przejrzeć tej zagadkowej kobiety, która rzuciła nań urok niepokonany. Nie tylko,
że nie zdołał jej przywieźć do wyznania miłości, ale sam, jakby ulegając
fatalnemu jakiemuś zaklęciu, wyznania tego otwarcie uczynić nie śmiał.
Na nic się nie zdały nawet kombinacje, za pomocą których usiłował zdać sobie
sprawę z stosunku swego do pięknej hrabiny. W całym jej zachowaniu się
dotychczasowem wobec niego znachodził tysiąc znaków, że go kocha, i tysiąc
jeszcze pewniejszych wskazówek, że najzupełniej jest jej obojętnym. Z obliczenia
takiego, jak to już raz wspomnieliśmy, wypadło zawsze zero. To wszystko doprowadzało Amadeusza do prawdziwego szału. Przeklinał najpierw tę
kobietę, potem siebie i swoje własne niedołęztwo. Uczynić krok stanowczy,
szalony, na to się już dawno zdecydował Amadeusz. Chodziło teraz tylko o
obmyślenie formy tego kroku. W jednej z chwil najgwałtowniejszego wzburzenia,

kiedy właśnie powrócił był od hrabstwa Danielów, Amadeusz
poszedł za
natchnieniem swego szалу i napisał list następujący do Sylwji:
"Pani! Niechaj cię nie dziwi, że ten list otrzymujesz, ale
niechaj Cię dziwi, że
go dopiero dziś otrzymujesz. Milczałem dłużej, niż byłem
obowiązany, niż
mogłem... Pani! ja Cię Kocham!
Czy moje Ci się wydać niespodziewanem to słowo?... Nie!
niepodobna, aby wyznanie
to nowem Ci było!... Jeżeli dotąd, trzymany na uwięzi jakąś
siłą fatalną, nie
zdobyłem się, pani, na to, aby wyznać Ci miłość moją
formalnie, jeżeli tysiączne
przeszkody niedozwoliły wydrzeć się temu wyznaniu z piersi,
mogłaś je wyczytać z
każdego mego spojrzenia, z postaci mojej, z każdego tchu
mego!
"Czy masz pani odpowiedź na moje wyznanie?... Kiedy byłaś
prawdziwą, pani?..
Czy wtedy, gdym w spojrzeniach, w słowach, w uśmiechu
Twym czerpał obietnice
czarowne i odwagę do wyznań, czy wtedy, kiedyś odtrącającą
dumą i obojętnością
swą rzucała mnie w rozpacz i na usta drżące pod słowem
miłości kładła
milczenie?... Co jest maską, co jest prawdą?!... na miłość
Boga! ja chcę, ja
muszę to wiedzieć, ja będę to wiedział!..
"Jeżeli fałszem było to, w czem widziałem nadzieję szczęścia
— natenczas fałszem
także była twa дума zimna a dostojna! Natenczas jest ona
draperją, która spadnie

sama z Ciebie, lub którą ja Ci zedrę, pani! Jeżeli zaś szczerą
byłaś wtedy, gdy

Twe oczy paliły mnie płomieniem uczucia i czarująca
obietnicą — to ta zimna,
marmurowa maska była i jest tylko brakiem odwagi, albo
przesądem, które dzieci
jedynie zwą moralnością...

"Jeżeli tak jest, więc zdieram i tę maskę, a Ty wdzięczną mi
tylko być możesz
za to, Sylwjo! O nieprawdaż, pani, to drugie przypuszczenie
jest prawdziwym?...

Ty mnie kochasz, ty wierzysz w miłość moja! Kochasz mnie,
albo... nikogo nie

kochałaś i nie kochasz na świecie, kobieto! Tak, powtarzam,
nikogo!... — bo

człowieka, do którego Cię przykuło niepojęte dla mnie,
szydlercze igrzysko losu,

kochać nie możesz i nie kochasz!... Co znaczą wobec praw
namiętności prawa tego

człowieka, który stoi między mną a Tobą, człowieka
nędznego, jeśli mniema, że

posiada twą miłość nędzniejszego jeszcze, jeśli wie, że
posiada cię bez niej!

"W takim razie, pani, jeżeli nie kochasz nikogo jeszcze —
pozwól mi marzyć, że

miłość twą pozyskam! Ty musisz mnie kochać, Sylwjo! moja
namiętność potężną

jest, jak Bóg, i pokona Cię! Dziś jeszcze pani, dziś widzieć
Cię muszę i

widzieć Cię będę! Czy weźmiesz odpowiedzialność za to
wszystko, co mi podyktują

szaleństwo i namiętność, jeśli nie pozwolisz mi dziś jeszcze
paść u nóg Twoich i

odebrać odpowiedź?...

"Ale dość.. Do widzenia! Mamże Cię przeproszać za słowa, które podyktowało mi natchnienie namiętności?... Jeżeli nie kłamałaś, to przeproszać Cię nie potrzebuję, bo wytłumaczy mi miłość. Jeżeli fałszem było w Tobie wszystko — o, to szydę. z twej dumy i z twego zgorszenia..."

Arnadeusz.

List ten w kilka godzin później znalazł się w ręku hrabiny.

Było to w

południowej porze. Zastajemy Sylwie w jej budoarze. U stóp jej leżała kartka

papieru. Był to właśnie ów bilet Amadeusza.

Sylwia była blada i jakby przerażona. Na piękny jej twarzy osiadła chmura

cierpienia czy zgrozy, w oku odbijały się i oburzenie i przestraszanie zarazem. Była

drżąca i niespokojna, a dłoń jej przesuwiała się od czasu do czasu po pięknym

czole, jakby chciała ukoić myśl jakąś burzliwą.

— To obelga! — zawołała piękna kobieta i oczy jej na chwilę zapalały blaskiem

szlachetnego gniewu. — Tak, to obelga śmiertelna, okropna!

I porwała się z krzesła prostując się w całej swej precudnej, imponującej

postaci. Drobną nóżką jej stanęła na liście Amadeusza, a na twarzy jej zarysował

się wyraz pogardy.

— Nikczemnik... — szepnęła drżącym głosem. — Nie powinnam się tak gniewać i

oburzać... Od tej chwili nie istnieje on dla mnie.. Pogarda i milczenie, to

jedyna odpowiedź, tak jedyna... ostatnia!..

Lecz chwila gniewu i oburzenia nie długo trwała. Wkrótce odezwała się boleść

ciężko obrażonej kobiety i dziwny jakiś niepokój opanował pierś Sylwji.

— Mój Boie — rzekła rzucając się znowu na krzesło — czyż zasłużyłam na to?...

Czyi człowiek ten tylko w beczelności swej znalazł odwagę do tego kroku? Czy

nie uprawniałam go sama do tego?

Przy tych myślach dreszcz zimny przebiegi hrabinę i z lękiem szepnęła sama do siebie.

— Jeżeli dałam mu choć mały powód do tej śmiałości, wówczas jestem zgubioną! Tak

jest, zgubioną jestem i nędzną! Obelga staje się karą zasłużoną... Czy

zasłużyłam na nią?...

Po tych słowach wyrzeczonych szeptem hrabina pogrzyżyła się w głębokich myślach.

Kobieta ta odbywało sąd nad samą sobą.

— O tak! — zawołała po długiej chwili — ja zasłużyłam na karę... ale wina moja

nie stoi w żadnym stosunku do jej srogości. Postępowanie moje z tym człowiekiem

było lekkomyślne. Bawiłam się nie z zalotności — ale dla rozrywki. Jestem winną.

Ten człowiek, tak przyzwyczajony do tryumfów nad kobietami, tak dziwnie zuchwały

swoją pewnością, wyzywał mnie formalnie. Uczułam chętkę upokorzyć go, ukarać

żartem, okazać mu przewagę kobiecą. Mój Boże, czy mogłam
przeczuwać koniec
taki?. Uważałam to za zabawkę niewinną — tymczasem było
to snąć występkiem, bo
za występki tylko takie odbiera się kary!
— O tak, jestem słusznie ukaraną — mówiła dalej w myśli do
siebie Sylwja — a ten
człowiek ma prawo
pogardzać mną nawet, ma prawo mścić się, jeżeli istotnie
igraszkę moją odebrałam
mu spokój duszy!
Hrabina powstała i poczęła przechadzać się po pokoju. Była
febrycznie
rozdrażniona.

— Nie — szepnęła znowu — za ostro się sądzę. Ja nie
zasłużyłam na taką karę. Nie
zasłużyłam, a dowód w tem, że list ten za obelgę i za karę
uważam. Gdybym go
kochała, gdyby w uczuciu mojem leżał najmniejszy powód do
tego, co Amadeusz mi
napisał — czyż list ten byłby dla mnie obelgą, czy oburzyłby
mnie tak okropnie,
czy byłby taką zgryzotą ścisnął moje serce?...

— Czy mogę po tem, co zaszło — mówiła dalej Sylwja po
chwili namysłu — spojrzeć
śmiało i otwarcie w oczy Daniela? Jeżeli to potrafię, jestem
niewinną!...

Przez dłuższą chwilę myślała Sylwja nad pytaniem, które
zamykało się w tych
słowach.

— Potrafię! — rzekła nareszcie hrabina po tym namyśle a
twarz jej wyjaśniała

spokojem i dumnym poczuciem swej godności. — Przed
Danielem, jako człowiekiem,
który był i jest dla mnie mistrzem w życiu, zarumienię się
może, przed mężem
jednak, który mnie kocha, którego kochać na zawsze
przysięgłam i istotnie Kocham
— rumienić się nie potrzebuję.
— Lecz cóż pocznę teraz? Co mam zrobić w obec tego listu?
Jak nań odpowiedzieć?
— zapytała dalej siebie Sylwja i długo nad zapytaniem
myślała.
Nagle jakby ją myśl jaka szczęśliwa natchnęła, Sylwja
powstała i zbliżyła się
szybkim krokiem do biurka.
— Jeżeli to kara, niechaj będzie zupełną, jeżeli to nauka, niech
będzie
pożyteczną i dla mnie i dla niego — rzekła do siebie i
wyciągając bilet swój
wizytowy, napisała na nim słów kilka.
Potem zadzwoniła, a gdy weszła pokojowa, wręczyła jej bilet i
rzekła:
— Bilet ten niechaj zaraz ktoś ze służby odniesie do p.
Ordawskiego..
Na bilecie było zaproszenie na herbatę, na dziś wieczór
jeszcze.
Gdy służąca wyszła, Sylwja jakby w najwyższym stopniu
zmęczona rzuciła się na
fotel i kryjąc twarz swą w dłonie, płakać poczęła...
Nie uważała, jak drzwi wiodące z sąsiednich pokojów do
buduaru otwarły się
cicho. We drzwiach pojawił się hrabia Daniel...
Ujrzawszy Sylwję zalaną łzami, hrabia się wstrzymał
przerażony. Na bladą,

schorzałą twarz jego wystąpił wyraz najwyższego zdziwienia i niepokoju. Pod wpływem tego widoku odzyskał hrabia Daniel swe siły i z młodzieńczym prawie pośpiechem poskoczył ku płaczącej.

Sylwja ocknęła się i ujrawszy swego męża zadrżała z lekka. Chciała coprędzej otrzeć łzy i przybrać minę swą, zwykłą, pogodną i uśmiechniętą, ale było już zapóźno.

Hrabia Daniel utkwiał wzrok niespokojny i pytający zarazem w twarzy swej żony i zapytał:

— Co to znaczy Sylwjo!

Hrabina była przez chwilę mocno pomieszana. Zdawała się walczyć z sobą. Krótko

jednak trwało to wahanie się. Nagle podniosła swe oczy, połyskujące jeszcze

łzami, na Daniela i patrząc nań śmiało i przeciągle, wskazała dłonią na list

leżący na ziemi.

Daniel pochylił się i szybko list przebiegł oczyma. Gdy go skończył, zachwiał

się lekko, a potem głęboko odetchnął. Chwycił się poręcza fotelu, który stał

naprzeciw Sylwji i rękę przyłożył do piersi, jakby chciał uciszyć gwałtowne

bicie serca...

Hrabia Daniel zdawał się pasować z wzruszeniem. Mimo pozornego spokoju poznać

było można po nim, że list, który odczytał, sprawił na nim gwałtowne i bolesne

wrażenie. Na ustach jego subtelnie wciętych wił się
wprawdzie zwykły, lekki
uśmiech, ale w uśmiechu tym leżała boleść... Oczy wystąpiły
mu z pod powiek i
zapłonęły gorączkowo...

Ta chwila milczenia, która teraz nastąpiła, miała w sobie coś
niewymownie

uroczystego i groźnego...

Przerwał ją tylko cichy szelest papieru, który Daniel kurczowo
zgniół w dłoni.

Jakby już odzyskał zupełnie swój spokój zwykły, hrabia

Daniel postąpił naprzód i

usiadł naprzeciw Sylwji. Potem utkwiał w jej twarzy wzrok
przenikliwy i ba-

dawczy. Sylwja siedziała przed nim z pochylonemi ku ziemi
oczyma.

— Sylwjo! — odezwał się nagle Daniel tonem dobitnym choć
lekko drżącym — jedno,

jedyne pytanie!

Sylwja na odgłos słów Daniela drgnęła i podniosła oczy ku
niemu.

— Słucham — odpowiedziała z cicha.

— Jedno pytanie — powtórzył Daniel — ale pytanie to
rozstrzyga wszystko. Jeżeli

mąż zmuszonym jest do tego pytania, nie znam straszliwszej
odpowiedzi, nad

odповідź kłamliwą. Prawda tu bywa srogą, ale kłamstwo jest
okrutne. Prawda

zabija tu od razu, kłamstwo pastwi się śmiertelna a długą
katuszą. Prawda tu

pada piorunem, kłamstwo padłoby kłębem węzów jadowitych
w te progi!

Słowa te wyrzekł hr. Daniel głosem cichym, ale tak dobitnym, przesywającym i uroczystym, że każde słowo odzywało się głośnem echem gdzieś w najtajniejszej głębi duszy Sylwji...

— Czy ty mnie pojmujesz Sylwjo? — dodał hr. Daniel.

— Pojmuję.

— Słuchaj mnie tedy, Sylwjo. Czy ty mu dałaś powody ośmielające do tego listu?

— Czy go ośmieliłam? — odparła Sylwja. — Tego nie wiem. Czy chciałam go ośmielić? Nie i nigdy!

— Źle się zapytałem. Zapytam się raz jeszcze, ale w sposób, który wymagać będzie tylko odpowiedzi: tak albo nie. Czy ty go kochasz Sylwjo? Przy tych słowach hr. Daniel pobladł i patrząc na Sylwję wyglądał, jak człowiek, który czeka na wyrok życia lub śmierci.

Sylwja spojrzała na Daniela wzrokiem jasnym, otwartym, i rzekła dobitnie i głośno:

— Nie!

Hrabia Daniel odetchnął głęboko. Chwilę patrzył wzrokiem pełnym niewymownego uczucia na Sylwję a na twarz jego bladą i cierpiącą wystąpił wyraz wzruszenia.

Potem powstał i zbliżając się do Sylwji złożył na jej czole pocałunek.

Sylwja nachyliła się ku niemu i opierając głowę swą o jego piersi ozwała się cichym, stłumionym płaczem.

Po krótkiej chwili uspokoiła się i podniósłszy oczy na męża, objęła go

spojrzeniem czci i wymownego uczucia...

— Nelly — rzekła — to nie wszystko.. Pod pierwszym
wrażeniem, jakie na mnie
sprawił ten list, uczyniłam krok nierozważny i niestosowny
może.... Być może, że
na gniew twój zasłużyłam.

— Cóż takiego? — zapytał Daniel trzymając w swej ręce dłoń
Sylwji.

— Odpowiedziałam na ten list. Posłałam p. Ordawskiemu
zaproszenie na dziś
wieczór, na herbatę.

Hrabia Daniel spojrział z zdziwieniem na Sylwję a czoło jego
zasepiło się zlekka.

— Po co? — zapytał szybko.

— Może z poczucia winy a moje z dumy... Nie wiem, co mnie
taką myślą natchnęło:

czy chęć pokuty, czy chęć zemsty. Prawdopodobnie na krok
ten złożyły się oba
uczucia...

— Nie rozumiem cię Sylwjo.

— Wezwałam dziś jeszcze do siebie pana Ordawskiego —
odparła Sylwja — tak, jak
tego żądał, aby dobrowolnie wystawić się na upokorzenie. Nie
będzież

upokorzeniem dla mnie ta myśl, z jaka pospieszy tu pan
Amadeusz, to pierwsze

spojrzenie tryumfu, jakim mnie powita ten człowiek, ta rola
kobiety słabej,

upadłej prawie, w której choć na krótka chwilkę znajdę się
wobec niego?... Być

może, że zawiniłam wobec niego, a natenczas upokorzenie, to
będzie pokutą za

moją winę...

Hrabia Danial uczynił giest, jakby chciał przerwać Sylwji.
— Wezwałam go tu - mówiła dalej hrabina w zapale, który
opromieniał imponującym
blaskiem jej twarz precudna — aby mu powiedzieć
wszystko... Zemstę jaka mi
przysłużą, słowo odprawy i pogardy zostawię na koniec. Ale
powiem mu wszystko.
Powiem mu najpierw, ie nie kocham nikogo prócz ciebie,
Nelly. Powiem mu, że
gdyby było inaczej, miłość moja byłaby darem bez wartości,
bo pochodziłaby od
kobiety występnej i nikczemnej. Powiem mu, że gdybym nie
kochała ciebie nawet,
znalazły by się jeszcze najświętsze powody, aby ci być wierną
małżonką, towa-
rzyszką, pokorną sługą, niewolnicą ślepą przez życie całe!...
Powiem mu, ie ci
winnam wszystko, wszystko! na świecie, żeś ty mnie ocalił od
zguby i upodlenia,
żeś mi dał stokroć więcej niż życie, bo szczęście... Powiem
mu to wszystko i
zapytam się go wtedy: czy uważa mnie za zdolną tak
niewypowiedzianej
podłości.... Tak, Nelly, ja mu opowiem wszystko....
wszystko....
Hrabia Daniel, który kilka razy daremnie usiłował przerwać
Sylwji, która zdawała
się znajdować w ekstazie, porwał się teraz z młodzieńczą
prawie żywością z
krzesła i zawołał:
— Sylwjo, milcz!
Zaczerpnąwszy potem powietrza do osłabłej swej piersi, dodał
spokojniej:

— Tego mu nie powiesz, Sylwjo! Nikt, nikt, nie ma prawa do tych zwierzeń!

Pamiętaj, że stanęła między nami uroczysta umowa, że między nami nawet nie będzie o tem nigdy mowy, nigdy! Przysięgłaś mi, że nigdy nie będziesz mówić o wdzięczności... Jeżeli twoja miłość jest długiem wdzięczności, jeżeli jest obowiązkiem, wówczas nie jest miłością i...

Teraz przyszła kolej na Sylwję przerwać mężowi.

— Jesteś wspaniałym, jesteś wielkim! nie mówmy O obowiązkach, o wdzięczności...

to wszystko mieści się w jednym uczuciu... Ja ciebie kocham, a to słowo wszystko mówi...

— Ty nic nie powiesz Amadeuszowi, Sylwjo — odezwał się znowu hr. Daniel. — Ty z nim już nigdy mówie nie będziesz...

— Ani ty! — rzekła Sylwja z uczuciem tajemnej jakiejś obawy.

Daniel milczał.

— Przyrzecz mi — mówiła dalej Sylwja — że z nim mówie nie będziesz, że nie zechcesz upominać się u niego mojej obrazy? Przysięgnij mi to Nelly, to by było okropną karą dla mnie, a ja już jestem ukaraną, jeżeli istotnie zawiniłam!..

— Bądź spokojną, Sylwjo — odparł łagodnym tonem hr.

Daniel, ale stanowczy jakiś wyraz twarzy zadawał kłam jego słowom — bądź spokojną... Nie będę mówił o tobie z Ordawskim...

— I nie będziesz się z nim widział dzisiaj?

— Nie.

Hrabina zadzwoniła.

— Powiedzieć służbie — rzekła pokojowej — na wypadek, gdyby przyszedł wieczór p.

Ordawski, że nie przyjmujemy nikogo, ani ja... ani hrabia...

Nieprawdaż Nelly?

I spojrzała niespokojnym wzrokiem na męża.

— Ani ja — powtórzył spokojnie hrabia Daniel. Skutki

gwałtownego wzburzenia

poczęły się teraz odzywać w delikatnym, nerwowym

organizmie Sylwji. Czuła się

ogromnie osłabioną, prawie chorą. Szalony

ból głowy i spazmatyczny dreszcz nie dozwoliły jej utrzymać się na nogach,

Na proźby męża Sylwja położyła się, a niebawem zebrała ją senność, ta

blogosławiona reakcja po silnych i głębokich wtrząśnieniach moralnych. Wkrótce

sen cichy, spokojny, opanował hrabinę.

Daniel siedział obok niej i albo patrzył w jej prześliczne,

blógiem spokojem snu

owiane rysy, albo dumął z głową pochyloną na dłoniach. Ile razy spojrzał na

pogodną, czystą twarz Sylwji, tylekroć oko jego rozjaśniało się rzewnem jakimś

zadowoleniem...

Tymczasem zbliżył się wieczór. Hrabia Daniel popatrzył na zegarek i powstawszy

nagle wyszedł po cichu z buduaru. Wyszedł do jednego z najbardziej oddalonych

pokojów i zadzwonił na lokaja.

— Gdyby przyszedł ktokolwiek, powiedzić, że nie przyjmuję. Rozumiesz!

— Rozumiem — odparł lokaj.

— Gdyby jednak przyszedł p. Ordawski, to go prosić natychmiast! Pamiętaj!

Lokaj skłonił się i w zdziwieniu chciał coś odpowiedzieć.

— Dla p. Ordawskiego jesteście w domu. Jak przyjdzie, prosić go! Ruszaj! —

powtórzył hrabia tonem silnym i rozdrażnionym.

Następnie hr. Daniel udał się do swego gabinetu krokiem powolnym, chwiejnym. Po

chwili wrócił i usiadł. Po wstrząśnieniu, jakiego doznał, uczuł się

bardziej słabym niż kiedykolwiek. Chwilę siedział

nieruchomo, jakby chciał

odpocząć i przyjść trochę do sił. Potem wydobył z kieszeni mały flakonik.

Z flakoniku puścił na kawałek cukru kilka kropel gęstego, brunatnego płynu i

zażył je.

Czy to było znużenie, czy skutek zażytych kropli — dość że hrabia Ahasver wpadł

w rodzaj otrętwienia. Zadzwoił raz jeszcze na lokaja i kazał zniżyć

jaknajbardziej płomień olbrzymiej lampy, która stała na stole.

Salon utonął w cieniach omroczą. Daniel siedział w swym dużym fotelu i

pochyliwszy głowę na piersi zdawał się drzemać. Tak minęła prawie godzina.

Naraz dał się słyszeć głos dzwonka w przedpokoju i echo kroków obito się o uszy

hrabiego. Powstał z fotelu i nadśluchując chwilę, usiadł napowrót szepnąwszy

spokojnym głosem:

— Pan Ordawski...

Istotnie był to Amadeusz. Szedł krokiem szybkim,
niecierpliwym, lecz gdy stanął
we drzwiach salonu, zatrzymał się nagle. Uderzył go dziwnie
mrok, który zalegał
pokój. Okoliczność ta, tak drobna, sprawiła wrażenie na
Amadeuszu. Ten brzask
tajemniczy przemówił do jego umysłu w zagadkowy sposób..
— Miałażby to być dekoracja, urządzona przez Sylwję? Czy
to chiaro-obscuro miało
być słodką, pomyślną zapowiedzią przyjęcia?... Takie pytania
odezwały się w
Amadeuszu, ale przeczucie jakieś przykre nie dozwoliło mu
odpowiedzieć na nie
tak, jak tego pragnął.
Puścił spojrzenie w ten omrok i szukał Sylwji. Zdawało mu
się, że gdzieś przy
najdalszem oknie widzi zarysy jej postaci, że czuje jej
płomiennie spojrzenie na
sobie. Wyteżył wzrok jeszcze bardziej, jakby szukał tych oczu
czarownych,
tajemniczych, które miały być gwiazdami tego wieczora...
— Kto tam?... — odezwał się nagle głos — pan Amadeusz
zapewne!...
Nie był to głos Sylwji. Głos ten, jakkolwiek cichy, słaby,
spokojny, dziwne
sprawił wrażenie na Amadeuszu. Mimowoli Amadeusz drgnął
z lekka. Był to przykry
dyssonans.
— Proszę, proszę! — odezwał się znowu hr. Daniel. —
Przepraszam pana bardzo...
Kazałem stłumić światło, bo wiesz, że chory jestem i że mnie
ono razi czasami.
Kieruj się pan głosem, tu, tu... jestem.

Przy tych słowach hrabia zadzwonił. Amadeusz oparł się o najbliższy fotel i stał w milczeniu. Tymczasem nadbiegł lokaj.
— Światła! — zawołał hr. Daniel.
Tę krótką chwilę, której potrzebował lokaj, aby podkręcić wyżej płomień lampy, dziwnie niespokojnie przeżył Amadeusz. Doznawał jakiegoś przykrego uczucia.
Czuł, że się lęka chwili, kiedy światło obleje przed nim twarz Daniela i kiedy oko jego spotka się z wzrokiem tego nędznego, chorego człowieka, który mu zawsze był tak obojętnym, którego nie wciągał nigdy w rachunek swej kampanji.
Gdy światło błysnęło i jasną falą rozlało się po całym salonie, Amadeusz usiłował pokonać swe dziwne pomieszanie i spojrzał na hr. Daniela.
Spotkał się z zimnym ukłonem i z niemym giestem, zapraszającym do zabrania miejsca.
Przez minutę trwało milczenie. Przez ten czas Daniel przyglądał się badawczo Amadeuszowi, a około ust jego igrał słaby uśmiech. Twarz hrabiego była bledszą niż kiedykolwiek ale wyrażać się zdawała spokój zupełny. Nie mówiąc nic Daniel sięgnął do kieszeni i wydobył z niej kawałek pomiętego papieru. Ruchem ręki powolnym, obojętnym rzucił go na stół... Papier padł tuż obok Amadeusza. Amadeusz rzucił spojrzenie na papier i zbladł widocznie. Poznał swój list do Sylwji.

— Rozumiem... — szepnął teraz do siebie i jakkolwiek rozdrażniony i pomieszany, przybrał minę spokojną i zrezygnowana.

— Poznaje, to mój list! — odezwał się głośno. W tonie tych słów leżało prawie wyzywające zuchwalstwo. Hrabia Daniel ruszył się żywo na krześle a oczy żywiej mu błysnęły

— Panie Ordawski — odezwał się drżącym nieco głosem — pan przyszedłeś tu po odpowiedź.

— Tak jest, ale daremnie...

Przy tych słowach Amadeusz oglądnał się po salonie, jakby chciał wskazać na nieobecność Sylwji.

— Przeciwnie, otrzymasz ją pan — odparł hrabia Daniel.

— Panie hrabio — umiem się zastosować do sytuacji — ozwał się stanowczym głosem Amadeusz. — Wywołałem ją nie oglądając się na skutki i poniosę jej koszt. Będę mówił otwarcie i jasno...

Hrabia skinął głową, na znak że się zgadza.

— Powiadasz pan, że otrzymam odpowiedź na mój list do pani Sylwji. Od kogo? Na pańską odpowiedź jestem przygotowany ale nie jestem jej ciekawym. Wiem, co pan mi masz odpowiedzieć.

— Azatem, mój panie — odparł Daniel — wiesz także, co ci odpowiedzieć miała Sylwja.

— Hrabio, mówmy inaczej, niżby mówili na naszym miejscu ludzie inni. Ani ja kochankiem, ani ty mężem z melodramatu być nie chcesz. Ty, panie hrabio, jesteś

człowiekiem wysokiego rozumu, ja namiętności. Taka kwalifikacja pozwala mi być szczerym, tobie daje ona możliwość nie brania szczerości za... za...

Tu Amadeusz zatrzymał się, jakby mu zabrakło słowa.
— Za bezczelność... — dokończył hrabia Daniel tonem ledwie dosłyszczanym ale dobitnym.

Amadeusz przygryzł wargi do krwi prawie.
Otóż po takim zastrzeżeniu — odezwał się dalej — zapytani się otwarcie, panie hrabio, co cię upoważnia do dania mi odpowiedzi w imię Sylwji?...

— Twoję zastrzeżenie, panie Ordawski — odparł hrabia Daniel tonem przeszywającego szyderstwa — było bardzo potrzebne. Dobrze żeś poprzyklepiał etykiety do ról naszych. Szczerłość a bezczelność! Gotów byłbym się pomylić i zamiast uważać drugą tylko jako pozór pierwszej, uważałbym pierwszą za maskę drugiej... Pytałeś, kto mnie upoważnił? Ona.

— Pani Sylwja?

— Tak.

— Więc list ten czytała?

— Czytała i dała odpowiedź.

— Jaka?

— Mógłbyś ją znaleźć na twym liście. Ten piękny papier zgniótł się pod jej stopą. Moja żona nie ma gustu. Gdybym był kobietą, zakochałbym się odrazu w tobie, panie Amadeuszu. Ona ciebie kocha... Czyż to nie dziwna rzecz?...

Słowa te wymówił Daniel z takim piekącym szyderstwem, że Amadeuszowi wszystka krew uderzyła do głowy.

— Zważyłem do reszty o guście hrabiny — mówił dalej nie zmieniając tonu Daniel

— gdy się przekonałem, że nie kocha ciebie ale kocha innego. Nie kochając ciebie nie powinna kochać już nikogo! Nieprawdaż? Tymczasem, wystaw sobie, ona kocha innego.

— Kogo? — zapytał z naiwną prawie porywczością Amadeusz.

— Człowieka, który nędzarzem jest fizycznym i moralnym wobec ciebie; człowieka, co nie godzien jest rozwiązać trzewika, który okrywa twoją zwyciężką stopę, deptającą po sercach kobiecych... Niestety tak jest! Ona kocha innego! Domyślasz się, kogo?

Amadeusz milczał.

— Mnie... — rzekł sucho Daniel.

Amadeusz spojrział na hrabiego. Chciał mu odpowiedzieć szyderczem, wymownem spojrzeniem, ale twarz Daniela miała na sobie wyraz tak stanowczy, groźny i imponujący prawie, że Amadeusz spuścił oczy z lekkim pomieszaniami.

Hrabia nie spuszczał z oka Amadeusza.

— Nie wierzysz pan, panie Ordawski — rzekł dalej — nie dziwię się, bo to rzecz nie do uwierzenia. Nie wierzysz także, że moja żona cię nie kocha...

— A gdybym miał powody istotnie nie wierzyć? — ozwał się Amadeusz, którego rozdrażnienie wzmogło się jeszcze bardziej pod wpływem szyderczego tonu Daniela.

— Czy je masz? — zapytał hrabia Daniel głośno i porwał się szybko z fotelu.

Postać jego jakby się zmieniła pod cudownym jakimś zaklęciem. Mały, chory, nędzny człowieczek wyprostował się i urósł — drobna figurka spotężniała, coś lwiego odbiło się w oczach i na twarzy.

Amadeusz nic nie odpowiedział. Chwycił tylko za kapelusz i robiąc ruch do odejścia, rzekł na pozór zimno:

— Pozwól hrabio, ale oszczędzę sobie odpowiedzi...

— Tak jest, możesz jej sobie oszczędzić — odparł żywo i głośno Daniel —

odpowiedź pańska nicby nie zmieniła w sytuacji. Gdybyś pan powiedział tak,

byłbyś kłamcą, gdybyś odpowiedział nie, pozostałbyś...

Tu hrabia przerwał z giestem wymownie pogardliwym.

— Zuchwalcem — dokończył Amadeusz — to chciałeś powiedzieć, panie hrabio. Byłbym

zuchwalcem, który śmie posądzać kobietę młodą, piękną, żywą, o brak miłości dla

pana; który śmie przypuszczać, że kobieta ta młoda, piękna i żywa może mieć inne

pragnienia niż odmierzać krople lekarstwa i liczyć godziny ich zażycia, który

śmie zakłócać ten spokojny, moralny, piękny stosunek między kobietą zmuszoną do

poświęcenia i zaparcia się, a człowiekiem, który na poświęceniu tem opiera

egoistyczną żądę szczęścia własnego!..

Na bladą twarz hr. Daniela wystąpiły gorączkowe rumieńce.

— Słuchaj — zawołał głosem pełnym uniesienia — gdybym miał powód najmniejszy,

gdybym miał cień powodu do podejrzenia, że ta kobieta mnie nie kocha Sylwia w

tej chwili byłaby wolną, zupełnie wolną. Daniel Zmierski znikłby bez śladu i

pozostałaby tylko Sylwia, pani ogromnego majątku i pani swej ręki, którąby oddać

mogła temu, ktoby jej miłość pozyskał! Gdybym miał powód przypuszczać, że ta

kobieta nie kochając mnie, kocha kogo innego, Daniel Zmierski

znikłby ze świata, strzeliłby sobie w łeb bez chwili namysłu, a ostatnią jego

wola, ostatnim rozkazem, ostatnią prośbą jego u Sylwji byłoby wezwanie, aby w

trzy miesiące po jego śmierci połączyła się z kochankiem. Gzy rozumiesz!

— Tak jednak nie jest — dodał hr. Daniel po chwili, uspokajając się nieco — nie

ja się ustąpię, ale odtrączę z drogi tego, kto zechce się wcisnąć między nią a

mnie, nie prawem wzajemnej miłości, ale prawem własnego zuchwalstwa!

Amadeusz na te słowa stracił do reszty władzę nad sobą.

Charakter jego burzliwy

i namiętny odezwał się w nim z całą gwałtownością.

— Rozrzutnym jesteś w słowach, mój panie, jak każdy człowiek, który jest

bezkarnym... Jak pan wiesz dobrze, że nie będziesz odpowiadał za te komplementa!

Panie Zmierski, przed tobą stoi szaniec apteczny, za tobą w odwodzie lekarz, który ci się każe położyć do łóżka i nie pozwoli ci zrobić wycieczki, gdybym ci ją zaproponował..

— Ten lekarz zdać się może nam obom — odparł hrabia Daniel — albo prawdopodobnie jednemu z nas na nic się już wcale nie zda... Panie Amadeuszu, fabrykują dziś takie pistolety, ie oddech umierającego wystarczy na poruszenie cyngla... Nie obawiaj się, mój zdrowy rycerzu, pamiętam o tem, że takie rzeczy nie mówią się przy ostatniem ale przy przedostatniem widzeniu!

— Azatem! — zawołał Amadeusz — do widzenia się... ostatniego!

— Za pozwoleniem. Dokąd pan wyjeżdżasz na lato? — zapytał spokojnym już zupełnie głosem hr. Daniel.

— Nie wiem jeszcze.

— Gzy nie zechcesz mi pan przysłać adresu swego do Baden-Baden, dokąd wkrótce wyjadę?

— Najchętniej.

— I pozwolisz mi oddać ci tam dzisiejszą wizytę.

— Z przyjemnością.

— Do widzenia tedy! Amadeusz wyszedł.

XII.

KATASTROFY.

W dwa tygodnie po opowiedzianych wypadkach wszystkie główne osoby naszej

powieści opuściły stolicę. Najpierw wyjechali gdzieś na letnią wycieczkę Żywieki i Albin. Wywilski, który opanowawszy raz biednego Żywickiego był jego sekretarzem, intendantem, i pełnym inwencji maitre de plaisir, spisał program podróży, ułożył budżet, którym objął także swoją szacowną osobę, wytknął rutę i wywiózł swą ofiarę zagranicę.

Hrabia Daniel wyjechał z żoną do Baden-Baden według powziętego już dawniej zamiaru, a w ślad za nimi udał się tam i Zygmunt. Opatrzony sporą sumą gotówki, wyekwipowany elegancko, a nadto pełen marzeń najpiękniejszych — z najweselszą myślą stanął Zygmunt u celu swej podróży.

Już na samym wstępie czekał go jednak cierpki zawód. Skoro tylko ulokował się i po podróży odpoczął, pospieszył do hr. Zmierskich. Był prawie pewnym, że u Sylwji zastanie albo samą Irenę, albo otrzyma wskazówki, kiedy i w jaki sposób ujrzeć będzie mógł znowu królowę swych marzeń. Nie zdołał utaić głębokiego nieukontentowania, gdy się z ust hrabiny dowiedział, że Ireny nie ma w Baden-Baden i ie wcale tu bawić nie będzie.

Wiadomość ta okazała się jednak mniej smutna, gdy pani Sylwja pospieszyła dodać, że Irena z wujem swym i stryjanka bawi tuż w pobliżu Badeńu i oddziela ją od Zygmunta zaledwie dwie mil drogi. Irena, jak wiemy, miała powód do unikania

zgiełku i ruchu, który panował w tak licznie odwiedzanych kąpielach — a Czerski wybrał w tym celu za miejsce pobytu okolicę Gernsbachu. Niejako u stóp zamczyska Eberstein, W jednym z najbardziej malowniczych nadbrzeżnych miejsc rzeki Murg w małej, prześlicznie urządzonej willi mieszkała Irena z wujem swym i stryjanka. O ile zdołał wyrozumieć Zygmunt z rozmowy z hrabiną Sylwja, nie było nadziei, aby w jej towarzystwie spotkać się mógł z Ireną. Postanowił tedy przedsięwziąć wyprawę na własną rękę — odbyć wycieczkę w okolicę Gernsbachu, zabłąkać się do willi, zajmowanej przez Czerskiego, odwołać się do dawnej znajomości, zabranej z Sylwja w kraju, i tym sposobem widzieć się z tą, która słońcem i celem była ostatnim jego nowego życia. Plan ten wykonał Zygmunt szczęśliwie. Pomyślny wypadek ułatwił mu wielce całą kampanję. Właśnie gdy był w Eberstein, spotkał w zamku Czerskiego z Ireną i Żywicką. Jedna chwila, w której serce Zygmunta drżało jak nigdy przedtem — i znajomość została odnowiona. Przyjęcie, jakiego doznał, uchodzić mogło nawet za dobrą wróżbę. Czerski, choć wcale nie znał Zygmunta, powitał go bardzo uprzejmie, skoro dowiedział się o jego znajomości z Ireną — a Irena sama zdawała się być lekko uradowaną jego

spotkaniem. Był to moje tylko wpływ wspomnienia chwil
szczęśliwych
i swobodnych, wspomnienia, które wywoływała osoba
Zygmunta; ale cóż
przeszkadzało naszemu bohaterowi, uważać to zadowolenie za
wróźbę pomyślną ?..
Irena była bladą i widocznie cierpiącą. Twarz jej miała wyraz
smętny i znękany,
i tylko oczy jej duże pały blaskiem silnym, prawie
gorączkowym. Cała jej
postać, tak wiotka i lekka, stała się teraz prawie eteryczną.
Zygmuntowi wydała
się Irena bardziej piękną, bardziej czarującą niż kiedykolwiek.
Gdy Zygmunt oznajmił zamiar swój zwiedzania dalszych
okolic Ebersteinu, a
mianowicie Gernsbachu, Czerski, który wdzięcznym się być
zdawał za chwilowe
rozweselenie Ireny, zaprosił go do swego powozu i
zapropozował mu wspólną
wycieczkę. Niebawem ekwipaż
zatrzymał się przed willą. Zygmunt korzystając skwapliwie z
uprzejmych zaprosin
Rocha, spędził dłuższy czas w towarzystwie Ireny.
Dopiero teraz zauważał Zygmunt, że Irena od czasu, kiedy ją
widział po raz
ostatni, zmieniła się ogromnie. Trudno było nie odgadnąć, że
była to zmiana,
wywołana cierpieniem i boleścią. Z kwitnącej, pełnej
swobodnego powabu i
wiosennego wdzięku dziewczicy zmieniła się w postać niemniej
może piękną, niemniej
zachwycającą, ale dziwnie smętną i cierpiącą. Była to już
kobieta, która

dojrzała nagle pod wpływem bolesnych doświadczeń — i dla
tego też miała w sobie
coś z melancholijnego wdzięku kwiatu, który barwny i wonny
jeszcze swój kielich
pochyła ku ziemi, więdnąc przedwcześnie.
Kierując się tylko uczuciem egoistycznym, Zygmunt mógł być
nawet rad takiemu
moralnemu usposobieniu Ireny. Wydała mu się
przystępniejszą — a odwaga jego
zyskała na tem przekonaniu. Łagodna jakaś bierność, cicha,
rzewna słodycz,
zdawały się być głównymi cechami tego usposobienia Ireny.
Wiadoma była
Zygmuntowi katastrofa serca, jaką przeżyła Irena, a skutki tej
katastrofy
tłumaczył sobie tak, jak mu tłumaczyć je kazał optymizm
młodego, zakochanego
umysłu.
Zygmunt kombinował, że stan, w jakim zastał Irenę, jest
krytycznym, ale
Szczęśliwym przesileniem. Mniemał, że usposobienie panny
Żywickiej jest rodzajem
rekonwalescencji moralnej, chwilą przejściową, w której
dusza zrzuca z siebie
mgły smutku i wrywa się ku światłu; rodzajem brzasku, na
który składają się
pierzchające cienie wspomnień z jutrzeńką pogodnego
poranku nowych uczuć, nowych
sympatyj i nowych marzeń...
Zdawało się Zygmuntowi, że niepodobna było obrać chwilę
lepszą do zjednania
sobie serca Ireny. Był przekonany, że dusza Ireny,
przybierając spokój powoli,

jak szyba wody, którą przestał miotać uragan, nabierze nowej
wrażliwości, że jak
kielich kwiatu, który zamknął listki swe w cieniach nocy,
obudzi się i
uśmiechnie do tego promienia, który pierwszy nań padnie...
Zygmunt począł być bardzo częstym gościem w małej willi
pod Gernsbach. Czerski
przyjmował go uprzejmie i serdecznie i widział w nim istotnie
pożądanego gościa.
Zygmunt podobał się Rochowi, a kto wie nawet, czy nasz
oryginał nie odgadywał
zamiarów młodego człowieka, czy nie wchodził w jego plany,
czy nie sprzyjał im
nawet, widząc w nich lekarstwo na chore serce swej
ukochanej siostrzenicy?
Irena witała Zygmunta zawsze uśmiechem życzliwym,
rozmawiała z nim chętnie i
długo. Takie sympatyczne zachowanie się Ireny wobec
Zygmunta, upajało go z
początku szczęściem i rozbudzało w nim coraz śmielsze
nadzieje — ale wkrótce
uczul Zygmunt,
że kombinacje jego były zbyt różowe, zbyt powierzchowne...
Po każdej dłuższej konwersacji z Ireną pozostawało w duszy
Zygmunta smutne
wrażenie. Nawet z takich odwiedzin, podczas których Irena
zdawała się być wesołą
i ożywioną, Zygmunt wracał zasepiony do Baden. Im bowiem
dłużej badał
usposobienie Ireny, tem bardziej się przekonywał, że stan jej
to nie powolny
powrót do swobody i zdrowia po przebytej walce i boleści, ale
zupełne złamanie,

ale cicha, spokojna rezygnacja, która godzi się z cierpieniem a
na zawsze

wyrzeka się nadziei szczęścia...

— Nie! Irena kocha Amadeusza jeszcze — mówił do siebie

smutno Zygmunt, ile razy

powracał z willi — i nic nie zdoła zatrzeć w jej sercu dziejów
nieszczęśliwej

miłości. Takie kobiety nie zapominają nigdy — a kochają w
życiu raz tylko!

Mimo tak przykrych przypuszczeń, z którymi ciągle walczył a
które mimo to

dojrzwały w przekonanie, Zygmunt ciągle i co raz częściej
bywał u Czerskiego. W

tem częstem widywaniu się z Ireną leżała męczarnia, pełna
jakiegoś dziwnego,

nieprzełamanego uroku. Zygmunt nie raz postanawiał sobie
wyjechać, uciec w swe

góry, zamknąć się w samotnem ustroniu i czekać

zapomnienia, spokoju — ale smętny

urok Ireny silniejszym był niż jego wola, i sam z smutkiem w
sercu biegł po

pociechę do tej, która była po-

wodem udręczenia, spieszył do niej, jak pod skrzydła

bolejącego Anioła...

Taki stosunek do Ireny wprowadził Zygmunta w usposobienie
marzące i

melancholijne. Z tego stanu miał go jednak wkrótce

przebudzić realizm życia,

który jakby na rozkaz jakiejś zawistnej, tajemniczej władzy,

kładzie najczęściej

żelazne swe ramię na nas wtedy, gdy najbardziej o nim

zapominamy.

Jak wiemy, Zygmunt nie potrzebował zaprzętać się troskami materialnymi, bo dzięki sprzedaży lasu i szczęśliwej operacji giełdowej miał dostateczną sumę pieniędzy, aby u wód żyć nie tylko wygodnie ale nawet z pewną świetnością, do której tak łatwo się nie tylko przyzwyczaić ale i przywiązać silnie. Zygmunt zapomniał zupełnie, że byt swój wygodny zawdzięcza dość awanturniczej spekulacji, i że spekulacja ta nie została jeszcze wcale rozwikłaną.

Czytelnicy nasi raczą sobie przypomnąć, że Zygmunt przed wyjazdem ze Lwowa operował illuzorycznym kapitałem . — to jest, że za pośrednictwem Szwindera trzymał papiery giełdowe, dochodzące pozornym walorem do tej kwoty.

Otoż nagle, niespodziewanie, w chwili właśnie, gdy Zygmunt sam by nie uwierzył, że kiedykolwiek mógł się bawić prozaiczną grą akcyjną, otrzymał telegram od Szwindera. Telegram był krótki ale wymowny. "Akcje pańskie spadły nagle o — telegrafował Szwin- der — proszę o bezzwłoczne pokrycie, gdyż innaczej musiałbym je sprzedać."

Zygmunt tak odbiegł był całym swoim usposobieniem od wszelkich myśli mających na celu pieniężne interesa, że nie zrozumiał w pierwszej chwili znaczenia tej wiadomości. Dopiero zmusiwszy się niejako do rozważenia tej sprawy, wziął

ołówkę, i począł tłumaczyć sobie otrzymany telegram
zapomocą cyfr.

Rachunek był zatrważający. Zygmunt zaangażowany był w
akcjach do . . . Na tę

wysoką sumę złożył faktycznie zaledwie część trzecią, tj. . .

Miał akcje,

których każda sztuka przed jego wyjazdem do kąpiel miała
według kursu z łr .

wartości. Składając jednak tylko trzecią część tej wartości na
każdą akcję, miał

akcji sztuk. Według telegramu Szwindera papiery spadły o
— Zygmunt tracił

tedy . z łr . Z rzeczywistego kapitału tedy w ilości . , który
złożonym

był w kontuarze Szwindera, pozostało tylko . z łr ., a suma ta
nie

wystarczała już na pokrycie trzymanyh przez Zygmunta
akcyj.

Należało tedy natychmiast albo pokryć przegraną dyferencję,
albo kazać sprzedać

papiery. Zygmunt począł się bić z myślami. Odświeżywszy
raz w umyśle sprawę, o

której był zapomniiał już prawie, Zygmunt zajął się nią na
serjo. Wszakże te

suche, prozaiczne cyfry, do których obliczenia zmuszał
formalnie rozmarzony swój

umysł, wiązały się z jego idealnemi planami! Kwestja
materiałna rozstrzygała

kwestje po- bytu dalszego zagranicą, a Zygmunt czuł, ie
niepodobna mu będzie rozstać się z

Ireną.

Sprzedawać papierów nie chciał, łudząc się nadzieją, że
wkrótce kurs ich

podniesie się z taką szybkością, z jaką spadł. Zygmunt postanowił tedy ograniczyć swoje wydatki i wysłać żądana przez Szwindera sumę. Uczynił to jeszcze tego samego dnia. Gdy się obliczył teraz z kassą, było w niej mało, bardzo mało. Musiał odtąd zdecydować się na jak najskromniejsze życie. Przez czas swego pobytu w Baden - Baden wydał już bardzo wiele. Pozostało mu tylko tysiąc kilkaset złr.

— Co pocznę — rzekł sam do siebie Zygmunt — jeżeli kurs nie poprawi się i jeśli nie będę mógł tak prędko wycofać pieniędzy? Pytanie to zaniepokoiło mocno Zygmunta, a odpowiedź leżała w tajemnicy losu... W chwili, kiedy znajdując się pod świeżem wrażeniem wypadku, dumiał nad tem, co nadal ma uczynić, wpadła mu do głowy myśl, której się z początku sam przeraził, a która tak uporczywie się go uchwyciła, że pozbyć się jej już nie mógł w żaden sposób.

— A gdybym próbował szczęścia tutaj! — pomyślał Zygmunt — gdybym w nieszczęśliwym hazardzie ratował się hazardem szczęśliwym, choć bardziej jeszcze szalonym! Wszakże jestem w Baden-Baden!

Na drugi dzień Zygmunt powolnym, jakby wahającym się krokiem udał się do salonu gry. Przez cały czas swego pobytu w Baden-Baden Zygmunt był tu zale-

dwie dwa razy z ciekawości, i dla niewinnej tylko rozrywki próbował szczęścia kilku frankami. Teraz zbliżył się do rulety z miną stanowczą i z rozognionym wzrokiem. Zdawało mu się, że tylko krok rozpaczliwej odwagi zdoła go wybawić z krytycznego położenia, jak się bowiem przekonał z dzienników, kurs akcji jego nie doznał żadnego polepszenia. Zaczął grać nieśmiało i małemi sumami, jakby chciał sondować własne swe szczęście. Nie widział jeszcze potrzeby rzucać się w grę z szaloną zuchwałością. Było to tylko oswajanie się z grą i jej emocjami, tylko wstęp walki z demonem rulety. Wstępna ta próba skończyła się na małej wygranej. Zaledwie Zygmunt powrócił do siebie, wręczono mu nowy telegram od Szwindera. Akcje spadały szalenie, kurs ich zniżył się znowu nagle o %. Szwinder żądał dopłaty i groził sprzedaniem. Tym sposobem Zygmunt przegrywał dyfferencję. w kwocie . — to znaczy był zrujnowanym... Chcąc się ratować potrzeba było przynajmniej złożyć połowę potrzebnego pokrycia — wyrzekając się jednej połowy akcji zupełnie. Nie chodziło już o ratowanie zysku, ale o zmniejszenie straty. — Straciłem wszystko! — zawołał Zygmunt. — Jedyne ratunek w ślepej szczęściu. Jeżeli mi się uda wygrać dziś tyle, ile mi potrzeba na pokrycie dyfferencji,

uratuję papiery moje i wycofam się moje szczęśliwie. Jeżeli nie, to....

Zygmunt nie skończył. Przetrzęsł biurko i pulares, odliczył pieniądze, które mu jeszcze zostały, zostawił sobie franków na wypadek najgorszy, a całą resztę zabrał z sobą.

Z ustami silnie zaciśniętymi, z bladą twarzą i błędnym wzrokiem pojawił się w sali gry. Teraz już nie miarkował się, nie wahał. Nie chodziło tym razem o lekkie igranie z fortuną, o próbowanie szczęścia — chodziło o hazard szalony, z całą jego grozą i niebezpieczeństwem. Nieszczęście przysięgło się na Zygmunta.

Przegrał wszystko. Z sumy, z którą przyszedł, zostało mu zaledwie kilkadziesiąt franków..

Znużony śmiertelnie, z zawrotem w głowie, z sercem strwożonym i uciśnionem,

Zygmunt opuścił machinalnym krokiem salę gry. Opamiętał się dopiero na świeżym powietrzu. Chłód wieczorny orzeźwił go... począł myśleć nad swoim stanem.

Ratunek był niemożliwym. Co najwięcej, mógł Zygmunt dając niezwłocznie polecenie

przedania akcji, uratować malutką cząstkę zaangażowanej kwoty. Przyszedłszy

nico do siebie, Zygmunt pospieszył do urzędu telegraficznego i wysłał

Szwinderowi nakaz pozbycia akcji po kursie i przesłania mu tego, co pozostanie po pokryciu straty.

Następnie pogrążony w przykrych myślach, blizki rozpacz, powrócił do siebie.
Portier hotelowy na samym wstępie oddał mu list ze Lwowa. Na pieczętce lepionej, papierowej, znajdował się napis niemiecki: "Isidor Schwinder, Wechsel und Börsen-Comptoir. Zygmunt otworzył list skwapliwie a przebiegłszy go wzrokiem, opuścił go na ziemię i usiadł na pół zemdlony. Był do szczętu zrujnowany. List zawierał rachunek Szwindera. Ponieważ papiery z każdą godziną prawie spadały, a panique była straszliwą — Szwinder nie czekał nawet na odpowiedź Zygmunta, ale "zlikwidował" go sam. Akcje zostały sprzedane. Zygmunt na każdej akcji miał złr., a ponieważ akcje spadły o złr. — pozostało mu z całego kapitału tylko po złr. od sztuki, azatem złr. Od tego odciągnął Szwinder rozmaite procenta, prowizje, prolongacyjne i komptoirowe expensa — tak że Zygmunta Hdbet wynosiło złr. et. wal. austr. ! Była to cała uratowana resztką ośmnastotysięcznej sumy, którą Zygmunt włożył w swoją spekulację!
Całą noc spędził Zygmunt bezsennie, bijąc się z myślami, z których jedna czarniejszą była od drugiej! Nad ranem dopiero przyszedł mu do głowy jakiś pomysł lepszy. Usiadł do biurka i napisał list następujący do p. Adama Ożarki:
"Drogi mój sąsiedzie i przyjacielu!

Przestrogi Twoje były prawdziwe, szanowny panie Adamie.
Jestem żebrakiem.
Straciłem wszystko — i jestem nieszczęśliwy, tem bardziej
nieszczęśliwy, że z
własnej winy. Dowiesz się później o szczegółach. Teraz
proszę cię, przyjdź mi w
pomoc, jeżeli możesz! Potrzebuję dwóch tysięcy,
aby ratować się przed nędzą, przed upokorzeniem, przed
hańbą i ostateczną zgubą
może. Nie wiem, czy Szarki, których z długów nie
oczyściłem, w których na lata
całe z góry wyczerpałem wszelkie możliwe źródła dochodu —
mogą Ci posłużyć za
pokrycie tej sumy. Nie wiem także czy słowo i honor
człowieka lekkomyślnego
warte są więcej niż Szarki. Ale wiem, panie Adamie, że
istniejesz na świecie Ty
jedyne, który mi zechcesz pomódz, jeśli będziesz mógł. Czeka
odpowiedzi
niezwłocznej Twój biedny
Zygmunt."

Wyexpedjowawszy list ten Zygmunt postanowił pojechać do
Czerskiego. Od kilku dni
nie był już tam i nie widział Ireny. Czuł, że nic go rozerwać,
nie uspokoić nie
będzie mogło, jak tylko te odwiedziny. Była to pora
niezwyczajna — Zygmunt
bowiem nigdy dotąd nie był w willi zrana. W wyjątkowym
swem usposobieniu jednak
nie zważał na to.

Na ganku willi, oplecionym dokoła zieloną koronką wina,
ujrzał Zygmunt Irenę.

Wyskoczył z powozu i prędko pobiegł ku niej. Irena na widok Zygmunta porwała się szybko z miejsca. W oczach jej zamigotał wyraz żywego, radosnego prawie zadowolenia. Wyszła naprzeciw Zygmunta i podając mu dłoń swą, zawołała żywo:

— O panie Zygmonicie, jakże pan jesteś pożądanym! Zdziwiony w przyjemny sposób takim powitaniem Zygmunt uścisnął śmieiej dłoń sobie podaną.

— Nie byłeś pan przez kilka dni — mówiła dalej Irena — a zjawiasz się pan w porę, kiedy tak bardzo, tak bardzo jesteś mi pan potrzebnym! Irena mówiła to głosem przyspieszonym, żywym, i zdawała się być do głębi wzruszoną. Gdy Zygmunt uważniej spojrział na nią, zauważał, że twarz Ireny pałała gorączkowemi rumieńcami, że oczy jej połyskiwały niezwykle, że usta drżały, a cała postać wyrażała niepokój.

— Wuj poszedł na swoją zwykłą pieszą wycieczkę — mówiła znowu Irena — i nie wróci tak prędko... Lecz proszę pana za mną...

I szybkim krokiem pospieszyła naprzód. Zygmunt szedł za nią, nie rozumiejąc jej zagadkowego zachowania się. Gdy się znaleźli w salonie, Irena zbliżyła się do Zygmunta i patrząc mu w twarz swemi dużemi oczyma, w których malował się wyraz prawie błagalny, rzekła:

— O, panie Zygmonicie, pan mi nie odmówisz, pewnie nie odmówisz? Pan uczynisz to, o co pana prosić będę...

— Ależ pani — rzekł Zygmunt — jestem na usługi. Racz pani rozkazać!

— Panie Zyguncie — odezwała się dalej drząc od niepokoju i pomieszania Irena —

pan jesteś szlache-

tnym... Pan mnie zrozumiesz i wytłumaczysz... Wierzę w to i dla tego ośmielam

się udać z prośbą do pana...

— Na miłość Boga, po co te wstępy? One dowodzą tylko, że mi nie ufasz jeszcze

zupełnie, pani!

— I o tajemnicę prosić muszę — odparła Irena. — mój wuj nic o tem wiedzieć nie

będzie, nic i nigdy!...

— Nic i nigdy! — powtórzył Zygmunt stanowczo. Nastąpiła chwila milczenia.

Zdawało się, że Irenie

w ostatniej chwili zabrakło sił do zwierzeń, które

zapowiedziała. Pomieszanie

jej wzrastało, usta drżały.

— Pan znasz... pana Ordawskiego... — rzekła nagle zdobywając się na energję

Irena.

— Znam... — odparł Zygmunt z źle maskowanym zdziwieniem.

— Pan wiesz, co się z nim dzieje?

— Słyszałem tylko, że znajduje się w Homburgu..

— Panie Zyguncie! — zawołała Irena głosem

przenikającym — jeszcze raz żądam

pobłażenia, jeszcze raz odwołuję się do pańskiego serca i szlachetności...

Słuchaj pan... — dodała szeptem a wzruszenie jej było ogromne — ten p. Ordawski

znajduje się w okropnej pozycji. Podśluchałam wczoraj rozmowę mego wuja z jednym z jego znajomych i dowiedziałam się, że jest w stanie rozpaczliwym, że stosunki jego są opłakane, że stracił wszystko, co miał... Ja go znam dobrze.. on gotów uczynić wszystko, on sprowadzi sam okropną jaką katastrofę..
Panie Zygmuncie,
nie patrz
pan tak na mnie... Utrudniasz mi pan wypowiedzenie mej proźby... a ona tak ciężką jest dla mnie...
Przy tych słowach Irena spuściła wzrok ku ziemi, a twarz jej oblał jeszcze gorętszy rumieniec.
— Ja go chcę ratować — mówiła Irena dalej — jeżeli to, co mogę, uratować go zdoła...
I wydobywając z kieszonki swej sukni małą elegancką portmonetkę podała ją Zygmunтови, który wziął ją machinalnie.
— Jedź pan natychmiast do Homburga — mówiła dalej Irena — dziś, zaraz... Uczyń pan, co panu podyktuje inwencja, co uczynić tylko możesz, aby przyjął pomoc...
Użyj pan fortelu, pozorów, ale ratuj go pan... A na miłość Boga, panie Zygmuncie
— dodała podniesionym głosem — nie mów pan, czyim jesteś posłannikiem! Na pański honor, któremu zaufałam, zaklinam pana...
Zygmunt stał milcząc, jakby odurzony. Potem spojrział na Irenę, i spotkał się z

wzrokiem tak nagłym, tak błagalnym, tak przenikającym, że
aż do głębi uczuł
się wzruszonym.

Nie mógł się zdobyć na słowo odpowiedzi, ale nie zapomniał
o tem, że w tym
wypadku jedyną odpowiedzią było bezzwłoczne
posłuszeństwo. Nie mówiąc tedy nic
ujął dłoń Ireny, ucałował ją i uściśnął, jakby w niemy znak
zgody, i wybiegł z
pokoju..

Gdy Irena spoglądnęła za nim przez okno, ujrzała go już w
powozie, który szybko
potoczył się drogą....

Zygmunt tak był odurzony całym wypadkiem, że mógł tylko
czuć jego wrażenie, ale
myśleć nad nim nie mógł. Po długiej chwili dopiero poczęły
się budzić w głowie
jego wyraźniejsze jakieś refleksyę. Lecz na cóż się one zdać
mogły w tym

razie?... Proźba Ireny, jakkolwiek burzyła wszystkie jego
marzenia i dotykała
boleśnie kochanka — zanesiona była do jego honoru, do jego
szlachetności — była
tedy święta!

Spełnić ją choćby kosztem najboleśniejszej abnegacji, choćby
kosztem szczęścia,

kosztem życia, to mogło być tylko celem Zygmunta.

Powróciwszy do Baden, Zygmunt natychmiast przygotował
się do podróży. Pociąg

odchodził dopiero za dwie godziny, więc Zygmunt wyszedł z
swego pomieszkania w

hotelu, aby się przejść jeszcze po ogrodzie. Smutny był i
zadumany, a idąc z

pochyloną ku ziemi głową nie widział licznie spacerujących gości, i nie słyszał muzyki, która właśnie przegrywała w ogrodzie.

Nagle usłyszał przed sobą głos wesoły i dobrze sobie znajomy. Był to głos

hrabiny Sylwji. Zygmunt podniósł głowę i skłonił się z roztargnieniem. Sylwja

szła z hr. Danielem

— A to pięknie! — zawołała dąsając się hrabina — nie tylko, żeś pan zupełnie

zapomniał już o nas i od kilkunastu dni ani razu nas nie odwiedziłeś, ale nadto

mijas nas pan, nie kłaniając się wcale...

Zygmunt wybąknął w roztargnieniu kilka słów, które nie miały związku.

— Szkaradny świat — mówiła dalej Sylwja — wszyscy nas opuścili. Miałam tak

piękne plany, myślałam, że cały sezon spędzimy w naszym małym kółku, tymczasem

wszystko zawiodło... Ireny nie ma, pan zdziczałeś i stronisz od ludzi, a Daniel,

nawet Daniel, wystaw pan sobie, jeżeli potrafisz, nawet Daniel uciekł mi na

trzy, ale to na całe trzy dni!...

— Jak to, hrabia wyjeżdżał? — zapytał Zygmunt bezmyślnie.

— Wyjeżdżałem — odezwał się hrabia — telegrafował mi jeden z mych dawnych

przyjaciół, którego pokochałem podczas mych podróży. Nie mogąc zatrzymać się w

drodze, prosił mnie, abym wyjechał na jego spotkanie...

Hrabia zdawał się mówić te słowa swobodnym, zwyczajnym tonem, ale gdyby Zygmunt

nie był tak roztargnionym, byłby mógł zauważyć, że twarz Daniela była posępna i chmurną, że przeleciał przez jej rysy jakiś wyraz dziwny, jakby cień przykrego wspomnienia, i nie był dzisiaj bardziej jeszcze bladym i bardziej zmęczonym, niżli zazwyczaj...

— O nie tłumacz się Nelly! — zawołała Sylwja z czułym uśmiechem, który z rozgniewana na pozór minką przecudny stanowił kontrast — nie daruję ci tego nigdy! Wyjechałeś tak nagle, tak stanowczo odrzuciłeś propozycję towarzyszenia ci, że dziwnie byłam niespokojną, a te trzy dni wydały mi się nieskończenie długimi!...

Zygmunt słuchał obojętnie tych czułych wymówek i przeszedłszy raz aleje z Zmierskimi pożegnał ich nagle, tłumacząc się dość niezręcznie.

Wkrótce opuścił Zygmunt Baden-Baden. Gdy stanął w Hamburgu natychmiast pospieszył do sali gry, bo tam spodziewał się albo zastać Amadeusza, albo powziąć o nim wiadomość. Gdy już się znalazł w salonie, przypomniał sobie dopiero, że nie obmyślił wcale sposobu, w jaki ma ofiarować Amadeuszowi pomoc pieniężną.

— Gdy zacznę z nim mówić, pomysł sam przyjdzie — rzekł do siebie i wszedł w tłum osób, grających lub tylko przypatrujących się grze.

Między obecnymi nic znalazł Amadeusza. Zygmunt rozglądał się do koła, szukając, kogoby zapytać na prędce o jego pomieszkaniu, gdy naraz spotkał się z znajomym sobie ze Lwowa Polakiem. Zbliżył się do niego i nie witając się nawet zapytał:

— Nie raczyłbyś mi pan powiedzieć, gdzie znajdę pana Amadeusza Ordawskiego?

— Ordawskiego pan szukasz? — powtórzył zapytany — o! to już trochę za późno!

— Jak to? — zawołał Zygmunt — czy wyjechał z Homburga?

— Wyniósł się trochę dalej... nie żyje!

— Czy nagle umarł? — zawołał z przestachem Zygmunt.

— Gorzej jeszcze albo lepiej... ce selon... Sam się zastrzelił!...

Henryk stał w osłupieniu i milczał. Wieść ta sprawiła na nim głębokie wrażenie...

— To okropnie... — szepnął po dłuższej chwili.

— Nie tylko okropne ale i dziwne, bardzo dziwne... — odparł znajomy Zygmunta. —

Wystaw pan sobie, że nad ta rodziną Ordawskich ciąży jakaś klątwa formalna...

Stryj Amadeusza, Krzysztof, zastrzelił się przed kilku miesiącami tu w Homburgu.

Otoż na tem samem miejscu, gdzie znaleziono zwłoki

Krzysztofa, na tem samem,

mówię panu miejscu, znaleziono Amadeusza z roztrzaskaną czaszką...

— Czy już go pochowano?

— Nie... Śmierć gwałtowna wymagała śledztwa, sekcji, rozmaitych formalności...

choć tu samobójstwa wcale nie należą do rzadkości.

Zygmunt poprosił o adres domu, w którym złożone były
zwłoki Amadeusza i udał się
tam zaraz. Zdawało mu się, że smutna ta wizyta należała do
obowiązków, które
włożyła nań Irena.
Zwłoki Amadeusza ubrane w strój czarny leżały na skromnym
katafalku. Twarz
zmarłego zmieniła się do niepoznania. Kula, która strzaskała
mu głowę, porwała i
poplątała zda się rysy jego jak nitki... Zygmunt patrzył długo
na zwłoki
nieszczęśliwego szaleńca, a serce przygniatała mu dziwna
boleść... Zdawało mu
się, że z przeciwnej strony u głów zmar-
Jego widzi cień Ireny, jak twarz swą śmiertelnie bladą i
bolejącą nachyla ku
zgruchotanym skroniom...
Wybiegł z pokoju, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, bo
czuł że drzą pod nim
nogi i że prawie ciemno mu się robi w oczach...
Gdy ubiegł kilka kroków, uczuł jak go ktoś chwycił za ramię.
Zygmunt ogładnął
się i ujrzał jakiegoś Anglika z sztywną, wojskową miną.
— Mój panie — rzekł Anglik łamaną francuzczyzną — o ile
wnieść mogę z pańskiej
boleści, byłeś bliskim krewnym zmarłego... Czy pan wiesz, co
było powodem jego
śmierci?.. Jeżeli panu o to chodzi, mógłbyś wziąć odwet...
Zygmunt nic nie odpowiedział i wypatrzył się tylko dziwnym
wzrokiem na Anglika.
— On sobie sam życia nie odebrał... — mówił dalej Anglik.
— To nowa dla mnie wiadomość — odparł Zygmunt —
wszakże mówią tu, że nieboszczyk

był nieszczęśliwym w grze, że był zupełnie zrujnowanym i że w rozpacz...

Anglik flegmatycznie potrząsł głową i niedając skończyć Zygmuntowi, rzekł:

— Być może, że byłby sobie i tak życie odebrał, ale wyręczono go... Zginął w pojedynku...

— Z kim? — zapytał Zygmunt.

— Tego nie wiem — odparł Anglik — ale opiszę panu przeciwnika, a może go poznasz, wyzwiesz i zabijesz, s'il vous plait... To nie był rachunek homburski, który mu tu

wypłacono. Byłem przypadkowym świadkiem całego zajścia, puściwszy się na samotną przechadzkę. Patrzałem na wszystko przez tę oto lunetę...

Tu Anglik wskazał na szkła olbrzymie, które wisiały mu przez ramię na rzemyku.

— Przeciwnikiem tego młodzieńca był jakiś mały, chudy, wąty człowieczek... Ten człowiek był blady, bardzo blady i zdawał się być chory, bardzo chory...

Prowadził go jego sekundant po pod ramię a on sam na lasce się opierał...

Wyglądał jakby wstał co dopiero z ciężkiej choroby.. Strzelali do baryery...

Nieboszczyk strzelił pierwszy i dzielnie strzelił... Kula przeszła kapeluszu

temu blademu, małemu... Mais cette pale, petite creature ani zadrżała, a twarz

tego człowieka była spokojną, jak marmur.. Podszedł krok naprzód, podniósł

pistolet a gdy strzelił, pański przyjaciel czy krewny padł z roztrzaskaną głową na ziemię.. Jak ta figurka strzeliła, niech ją djabli porwą!... Trafił go, o tu...

I Anglik wskazał palcem na środek swego czoła.

— Więc pan nie wiesz, kto był ten człowiek?...

— Un comte polonais... Więcej nie mogłem się dowiedzieć, po pojedynku zaraz wyjechał... Adieu panie!

Rzekłszy to Anglik obrócił się i powolnym krokiem się oddalił.

— Hrabia Daniel... Rozumiem... — szepnął Zygmunt i wrócił znowu do domu, w którym leżały zwłoki Amadeusza, aby się dowiedzieć, czy koszta pogrzebu będą przyzwoicie pokryte i czy nie zostały jakie zlecenia pisemne, uczynione przed śmiercią.

Odpowiedziano mu, że koszta pogrzebu są pokryte, że zmarły nie pozostawił żadnej spuścizny, i że oprócz listu, który przy nim znaleziono, a w którym uwiadamiął, że sam sobie życie odebrał — żadnych innych papierów nie było.

Zygmunt powrócił z smutnymi myślami do Baden-Baden a nie zatrzymując się prawie wcale pojechał do Gernsbach. Po drodze myślał nad tem, jak uwiadomić Irenę o katastrofie?... Czuł trwogę przed chwilą, w której wypadnie mu wywiązać się z smutnego poselstwa.

Im bardziej się zbliżał do willi, tem więcej tracił odwagi...
Niedowierzając
sobie ani tyle zimnej krwi, ani tyle spokoju, aby mógł zręcznie
przygotować
Irenę do wysłuchania strasznej wieści — Zygmunt zatrzymał
fiakra i postanowił
wrócić się i z Baden-Baden donieść Irenie listownie o
okropnym wypadku... Już
miał wykonać swój zamiar, gdy ujrzał nagle na bocznej
dróżynie Rocha, który
spieszył, aby jadącemu przeciąć drogę.
Roch zdaleka dawał znaki ręką Zygmuntowi, który kazał
zatrzymać konie.
— Wracasz pan zdawać sprawę z swego poselstwa,
nieprawdaż? — rzekł Roch, który
był smutny i zmartwiony.
— Czy pan wiesz, że mi je poruczono? — zapytał Zygmunt.
— Czyniąc zadość proźbie
panny Ireny, nic nie wspomniałem panu o tem.
— Irena mi to sama powiedziała... Nieszczęśliwa, biedna
dziewczyna!...
— Niestety — rzekł Zygmunt cichym i wzruszonym głosem
— rezultat mego poselstwa
smutny, bardzo smutny...
— Ordawski nie żyje... — rzekł krótko Roch.
— Więc pan już wiesz o tem? — zawołał Zygmunt. — Czy
panna Irena wie o tem
także?...
— Nie — odparł Roch — nic nie wie o tem. Ja dowiedziałem
się o tem wczoraj.
Byłem w Baden i wiadomość tę otrzymałem z ust, domyślasz
się czyich?...
— Hr. Daniela... — szepnął Zygmunt.

— Wiesz tedy o wszystkim — rzekł Roch — Ale co począć teraz, panie Zygmuncie, co począć teraz?... Patrz oto ja, który mam mocne nerwy, który patrzyłem w mem awanturniczem życia na najokropniejsze widoki, który zahartowałem piersi przed najstraszniejszymi wrażeniami — który Amadeusza nienawidziłem za Irenę, i pogardałem nim prawie — patrz oto ja, biegam trwożny i bezradny jak dziecko, i drżąc od niepokoju szukam odwagi, aby powiedzieć wszystko Irenie i znieść widok jej boleści... Ach, panie Zygmuncie, ona go tak kochała!... Zygmunt uczuł dziwną boleść w sercu. Była to boleść podwójna — nad sobą i nad Irena...
Wysiadł z powozu i biorąc ramię Rocha szedł z nim dalej. — Tak być musiało, tak być musiało!... — wołał Roch w rozdrażnieniu — To dzieło losu, to tragiczna była konieczność! Ach, czemuż to biedne dziewczę musiało stanąć w drodze temu szaleńcowi, który podeptał jej serce, który ją zabił...
Czemuż ta katastrofa musiała zdruzgotać także ofiarę niewinną!
Zygmunt milczał idąc z pochylonem czołem.
— Daniel go zabił — mówił Roch dalej wzburzonym głosem — zabił go i miał rację... Ja sam to uczynić byłem powinnien, ale byłem za słaby... Ten chory, biedny człowieczek miał więcej siły odemnie, w nim dusza stalowa siedzi!... On

musiał to zrobić, musiał zastrzelić tego szaleńca; miał do tego to samo prawo, jakiem strzelamy do wściekłego psa, który nam drogę zabieże!...

Chwilkę szli obaj milcząc. Zygmunt dobył z kieszeni portmonetkę otrzymaną od Ireny i wręczył ją Rochowi. Roch otworzył ją machinalnie.

Wewnątrz znajdowały się noty bankowe na pięćdziesiąt tysięcy franków.

— Pieniądze! Mój Boże, co szaleńcowi temu mogły pomódz pieniądze?... — rzekł

Roch z goryczą — gdyby ten człowiek istotnie był niezbędnym do szczęścia Ireny, i gdyby go można było kupić pieniędzmi — wszystko byłbym dał z ochotą, wszystko co posiadam!...

Łupałbym był kamienie na drodze, byleby Irenę widzieć szczęśliwą!... Co było w stanie wykupić go z pod władzy namiętności i tego fatalizmu, w który go ona rzucała — jeśli nie wystarczyło do tego serce Ireny?...

— Pytałeś się pan o jego stosunki? — zapytał po chwili Roch — musiały być opłakane...

— Mówiono mi — odparł Zygmunt — że gdyby był nie padł w pojedynku, byłby może musiał sam odebrać sobie życie.

— Po raz drugi już zgotował sobie takie położenie.

— Słyszałem o tem, ale wówczas znalazł niespodziewany ratunek — rzekł Zygmunt. —

Zapewne znana jest panu ta dziwna historją.

Roch uśmiechnął się z goryczą.

— Stryj jego — mówił dalej Zygmunt — wygrawszy ogromne sumy, zastrzelił się i zapisał mu wszystko, a tak ślepy traf, w który Amadeusz tak wierzył zawsze, wybawił go z opłakanego położenia...

— Ślepy traf? — powtórzył Roch. — Czy wiesz, kto wówczas przyniósł mu pomoc?

— Nie domyślam się.

— Oto ta sama osoba, której ty byłeś wysłannikiem.

— Panna Irena? — zawołał z zdziwieniem Zygmunt.

— Tak jest. Ona przyczyniła się głównie do tego — odparł Roch — Amadeusz nie

żyje, mogę więc wszystko opowiedzieć. Stryj Amadeusza, Krzysztof Ordawski,

którego kochałem serdecznie, bo przebyliśmy razem całą jedną awanturczą epokę

życia, nie zostawił ani grosza...

— Mówiono przecież, że dał był sobie słowo, iż skoro wygra znaczną sumę, strzeli

sobie w łeb, aby "sfixować fortunę", jak się podobno wyraził

— i że dotrzymał

słowa...

— Biedny Krzysztof istotnie takie zrobił postanowienie — odpowiedział Roch — ale

co znaczyły jego postanowienia? Ileż razy dawał mi najuroczystsze słowo, że

wyrzeczę się hazardu! Ileż to razy ratowałem go w najokropniejszych położeniach!

Obowiązałem się nawet podzielić się z nim całym moim majątkiem, bylebym miał

pewność, że jemu a nie bankom gry uczynię przysługę. W końcu nawet pogniewał się

Krzysztof na mnie za moje upomnienia, i nie udawał się już do mnie po pomoc, ale do Amadeusza. O owym postanowieniu, że odbierze sobie życie po pierwszej znaczniejszej wygranej doniósł mi jednak w liście, w którym mnie przeproszał i przyjaźń ze mną odnawiał. Jakoż istotnie wygrał ogromną sumę. Tego samego dnia chciał zamiar swój wykonać. Napisał list do Amadeusza, ten sam, który mu istotnie wręczyłem, i przygotował pistolet. Ale nagle przyszła mu myśl, że lepiejby było jeszcze okrągłą sumę zostawić bratańcowi, że jeszcze sala gry otwarta i że człowiek, który już na pół stoi w grobie, powinien mieć szczęście.... Ot poprostu nałóg zwyciężył. Krzysztof pobiegł do banku gry i — przegrał wszystko!... Wtedy wrócił do siebie i napisał list do mnie, w którym mi całą rzecz przedstawił i prosił, abym choć część tej sumy, którą mu dać chciałem dawniej, dał teraz w imieniu jego Amadeuszowi... "O warunek, abym dalej nie grał — dodał do listu — obawiać się nie potrzebujesz, bo się radykalnie wyleczę z mej namiętności ołowianą pigułką..." — I pan spełniłeś jego wolę? — zapytał Zygmunt. — Byłbym ją spełnił, ale na skromniejszą miarę — mówił dalej Czernski — gdyby nie Irena. Oto równocześnie prawie otrzymałem list od Ireny, w którym apelowała do

mego dziwactwa i fantastycznych upodobań, proponując mi,
jak się wyrażała,
przygodę á la Harun al Raschid. Donosiła mi o tym
Amadeuszu Ordawskim, który
naraż znalazł się nad przepaścią i który zasługuje na pomoc...
— Zapewne już z tego listu domyślałeś się pan, że panna Irena
kocha Amadeusza? —
zauważał Zygmunt.
— Przeciwnie, nie domyślałem się tego wcale. List był
trzymany w tonie
humorystycznym, i traktował o rozmaitych rzeczach, a
sprawie Amadeusza
poświęcony był jeden ustęp tylko. Dopiero później, gdy już
znałem stosunek Ireny
do Amadeusza, odczytując ten list znowu, przekonałem się że
byłem ślepy. Wtedy
dopiero poznałem, że na ten ustęp, niby żartobliwy, niby
nawiasowy, a przecież
tak wymowny i wzruszający, złożyły się kochające serce i
umysł zaniepokojony....
List ten był mistrzowski. Niepodobna było zamaskować się
lepiej, protegując
kogoś usilnie...
— Miałem teraz podwójny powód ratowania Amadeusza —
mówił dalej po chwili
przestanku Czerski —
chciałem uczynić zadość ostatniej prośbie Krzysztofa i
pierwszej prośbie Ireny,
bo to pierwsza jej była prośba. Odegrałem tedy dziwną
komedję, a uwierzytelnić
ją mogłem owym listem Krzysztofa do Amadeusza, pisany
przed ostatnią tentacją

fortuny. Doręczyłem Amadeuszowi list stryja i pieniądze...
Nie przeczuwałem
wówczas fatalnej roli, którą człowiek ten odegra wobec
biednej Ireny. Chciałem
aby mistyfikacja była zabawną, bo sprawiało mi to
satysfakcje... Zachowując
tajemnicze incognito i zagadkowe pozory, spełniłem moją
misję, o której
rozpowiadano sobie potem dziwa formalne...
Wśród tej rozmowy Zygmunt i Czerski zbliżyli się do willi.
Zygmunt się zatrzymał.
— Panie Czerski — rzekł biorąc rękę Rocha — pożegnam
pana....
— Czy nie wstąpisz pan, aby zobaczyć się z Ireną? Czy i pan
nas opuszczasz?...
— O panie! — rzekł wzruszonym głosem Zygmunt - wszakże
moje pojawienie się
musiałoby wykryć wszystko przed panną Ireną... Nie mam
odwagi stanąć przed nią..
Wyraz mej twarzy powiedziałby jej wszystko!... I ja się
wplotłem w to koło
męczeńskie — dodał Zygmunt ciszej— i ja jestem
nieszczęśliwy!...
Roch popatrzył z uczuciem na Zygmunta i ściskając mu dłoń
rzekł smutno:
— Rozumiem, mój biedny, dobry chłopcze!...
Zygmunt powrócił do powozu, który zwolna za nim jechał, a
Czerski powolnym
krokiem szedł ku willi...
Zygmunt postanowił wracać do kraju i szukać zapomnienia.
Chciał się zagrzebać w
samotności, w opuszczeniu, szukać roztargnienia w pracy
tylko... Czekał jedynie

na odpowiedź Ożarki i jego spodziewaną pomoc, bez której nie podobna mu było wyjechać z Baden-Baden. W tydzień niespełna otrzymał krótki i suchy list od Ożarki, a w liście znajdowała się summa pieniędzy, o która prosił....

Zygmunt napisał list do Czerskiego, w którym żegnał się z nim i z Ireną i donosił, że wraca do kraju i odjechał do Lwowa. Tu postanowił zabawić dłużej i pomyśleć o swoim losie przyszłym. W tydzień po powrocie otrzymał list z Wenecji.

Był to list od Czerskiego i opiewał:

"Kochany panie Zygmuncie! Irena wie już o wszystkim.

Miejmy nadzieję, że

przebędzie wszystko i zapomni... Wszakże rozumiesz,

dłaczego używam tu liczby

mnoziej, dlaczego mówię: miejmy nadzieję?.. Tak, drogi mój

chłopcze, mamy

wspólne życzenia a więc i wspólne nadzieje, a jeżeli nas

zawiodą, nie będziesz

mi zarzucał, że cię łudziłem, bo boleśniej sam będę

złudzoną!... Brak nam tu

ciebie, drogi Zy-

gmuncie. Irena pyta się często, co się z tobą dzieje. Gdybyś tu

przybyć mógł do

nas — ucieszyłbyś mnie a może i ją biedną. Ściska Cię

serdecznie

Roch."

XIII.

JAKO SIĘ SPOTYKAJĄ DWIE PIĘKNE DUSZE.

Podczas gdy się to działo, cośmy opisali w poprzednim rozdziale — pan Euzebiusz Żywicki i pan Albin Wywilski odbywali zagranicą letnią wycieczkę. Stosunek zawisłości, w którym dzięki swemu miękkiemu charakterowi znalazł się nasz Milionerissimus do Albina, przybrał jeszcze bardziej krępujące rozmiary, gdy kampania przeciw Czerskiemu na dobre już rozpoczęta została. Całą tą kampanią kierował oczywiście Albin, a Żywicki rad nie rad sankcjonować musiał wszystkie jego plany i kroki. Zaczęło się od listów, które Albin dyktował Żywickiemu, a które expedjowano jeden po drugim do Czerskiego. Na redakcję tych listów wysilił Albin cały swój spryt. Treść i ton ich stopniowały się wybornie i składały się na całą skalę wyrzutów i żądań, począwszy od expektoracyj urażonego ojca, od liryzmu opuszczonego i odtrąconego krewnego, aż do wybiegów desperackich, do tragicznych eksklamacyj i skandalicznych gróźb procesu. Na żaden z tych listów Czerski nie odpowiedział. Żywicki począł się zniechęcać, a Albin sam był nieco zaniepokojony.

— Widzisz, panie Albinie — mówił Żywicki — nic z tego! Mówiłem ci to z góry.

Czerski śmieje się z naszych listów i kwita.

Albin zamyślał się i odpierał:

— Tylko się nie zrażaj, panie hrabio! To dopiero początek.

— Ja mniemam, panie Albinie, że to już koniec.

— Początku chyba. My to inaczej skończymy. Quand on a commenc  par le commencement, il faut finir par la fin... Parlamentowania nie osiagnęły skutku, porzucamy dyplomację a zabierzemy się do wojny! Tą wojną miał być proces formalny, skandaliczny — do którego upatrzył sobie Albin starego rabulistę, który zjadł zęby na nieczystych sprawach i znał się, jak nikt, na tysiącznych fortelach i kruczkach adwokackich. Dużo to jednak kosztowało Albina, nim zdołał skłonić Żywickiego do tego ostatecznego kroku. Biedny nasz ex-miljonerissimus począł poznawać, że z deszczu dostał się pod rynwę i uczuwał coraz większy wstręt do Albina. Zagalopowawszy się jednak za daleko, nie miał już ani tyle woli ani tyle odwagi, aby otrząść z siebie to jarzmo, które go gnieść poczynało bardziej, niżli dziwactwa Rocha. I Albin począł się przekonywać, że dłużej nie będzie mógł utrzymać tego nieograniczonego wpływu, jaki dotąd wywierał na Żywickim. Zniewolenie Żywickiego do procesu było ostatniem zwycięstwem. Plany Albina ograniczały się też do tego tylko, aby zamącić dobrze wodę i ułowiwszy w niej rybkę dla siebie usunąć się zupełnie. Liczył na to, że poważniejszy gruntownie Żywickiego z Rochem wystąpi jako pośrednik i wynagrodzony zostanie za to sowicie przez Żywickiego.

Tymczasem sprzysięgło się wszystko na to, aby wpływ Albina podkopywać z każdą chwilą. Najpierw skończyła się bardzo smutno ta operacja finansowa, którą Albin tak bardzo zaimponował był Żywickiemu. Powtórzyło się tu to samo, czego doświadczył Zygmunt. Albin i Żywicki padli ofiarą tej samej panique giełdowej. Strata poniesiona była ogromna — a Albin postradał wszystko, co miał sam z początku i co wyłudził dla siebie od Żywickiego. Obaj znajdowali się właśnie w Ems, gdy otrzymali wiadomość o poniesionej klęsce. Szwinder przysłał im rachunek, w którym kwitował ich ze wszystkiego. Teraz już i Żywicki zdobył się na tyle rozpaczliwej odwagi, aby Albinowi czynić wyrzuty i zapowiadać mu otwarcie, że za pierwszym niepomyślnym zwrotem rozpoczętego procesu przestanie słuchać rad Albina i pójdzie za własnym natchnieniem. Albin tymczasem postanowił nie czekać już dłużej, ale zaraz po otrzymaniu pierwszych wiadomości od adwokata wystąpić jako pośrednik i zapewnić sobie jaką tłustą gratkę. Wiadomości potrzebne Albinowi nie nadchodziły jednak jeszcze od adwokata, a tymczasem zaszły rzeczy, które do reszty rozbiły plany naszego karyerowicza. Było to właśnie w Ems, gdy Albinowi wypadło wyjechać w jakichś osobistych

interesach i opuścić Żywickiego na dni kilka. Zaraz na drugi dzień po wyjeździe

Wywilskiego Żywicki otrzymał list.... Gdy spojrzął na adres, zadrżał z lekka i

nie miał odwagi otworzyć koperty. Było to pismo Rocha.

Nabrawszy wreszcie odwagi

otworzył list a przeczytawszy go padł na krzesło jakby zemdlony.

List był bardzo lakoniczny ale tonem swym surowym i stanowczym zastępował

obszerność. Roch pisał, że właśnie otrzymał pozew sądowy Żywickiego, że uważa

ten czyn za oburzającą podłość i że nie widząc potrzeby popierać swego

przeciwnika, odbiera mu zupełnie wyznaczoną rentę. Do listu dodane było Post-

Scriptum, w którym Roch donosił, że Irena jest chorą i budzi wielkie obawy, co

Żywicki niech raczy wziąć za ilustrację swego postępowania...

List ten wprowadził Żywickiego z początku w formalne odurzenie, z którego powoli

się tylko opamiętał... Najpierw odezwało się w nim teraz na prawdę to

uczucie ojcowskie, do którego się tyle razy poprzednio za dyktandem Albina

odwoływał; następnie stanęła mu przed oczyma cała niegodziwość spisku na Rocha,

a w końcu poczęły mu się cisnąć do głowy myśli zatrważające o niedostatku, który

go czeka nieochybnie!.. Żywicki począł myśleć nad stanem rzeczy a w głowie jego

coraz rozpaczliwszy rozwijał się chaos... Był bezradny i przygnębiony jak nigdy przedtem. W kilka godzin jednak po otrzymaniu listu porwał się nagle z krzesła, na którym dotąd jakby był skamieniał i zawołał energicznie lokaja.

— Słuchaj — zawołał — pakować zaraz rzeczy!

— Czy jasny pan wyjeżdża?

— Dziś jeszcze! Spiesz się!

— A pan Wywilski... — wybąknął sługus — nie będziemy czekać na niego?

— Ruszaj i pakuj rzeczy! — zawołał Żywicki zdobywając się na energję.

Ex-milionerissimus zdobył się na akt heroicznej odwagi i — uciekł...

Nie podobna sobie wyobrazić zdziwienia i gniewu Albina, kiedy powróciwszy nie zastał już Żywickiego. Oburzenie jego było arcy-korniczne; Albin piorunował, jakby się stał ofiarą przebiegłości tego, którego tak niegodziwie wyzyskiwał.

— Kanalja! — wołał w wściekłości — zbrodniarz stary!

Ktoby się był tego

spodziewał! Jaktó! zająć mnie podstępem, oszukać, z kwitkiem puścić!

Po przeminięciu pierwszego gniewu wpadł do portjera hotelu i począł go indagować

o kierunek, w którym wyjechał Żywicki. Rezultat tej indagacji pocieszył go

trochę. Jeden z lokajów hotelowych, który odprowadzał Żywickiego na kolej,

opowiadał, że zbieg opłacił swoje kufry podróżne do Wiednia.

Albin nie namyślał się wcale i wyjechał natychmiast do Wiednia. Stanąwszy w pierwszym lepszym hotelu, Albin zaraz wyszedł na rekonesans. Zaczął pielgrzymkę po wszystkich hotelach, i dowiadywał się o nazwiska gości. W hotelu Munscha aż podskoczył z radości, gdy ujrzał w spisie przejezdnych nazwisko: Hochg. Graf von Żywicki.

— Mam cię ptaszku! — szepnął do siebie Albin i udał się natychmiast pod wskazany numer. Żywickiego nie było w domu.

— Gdzie jest pan? — zapytał lokaja.

— Wyszedł właśnie.

— Powróci zaraz?

— Zapewne aż wieczór.

Wywilski wszedł z przedpokoju do gabinetu i usiadłszy sobie, odpoczął. Zapalił sygaro, i myślał przez chwilę. Potem wstał i rozglądnał się po pokoju. Na biurku obaczył jakieś papiery i przybory do pisania. Zbliżył się i począł je ciekawie czytać.

— Uhm... tak się ma cała historia! — mruknął do siebie.

Na biurku znalazł najpierw ów znany nam już z treści list Rocha, a dalej brulion

bardzo pokreślony odpowiedzi Żywickiego. W liście tym, którego odpis zapewne

był już wyexpedjowany, Żywicki tłumaczył się ze skruchą, poddawał się zupełnie,

wyrażał żal najgłębszy i błagał przebaczenia, dodając że wysyła ten list, aby

uprzędzić swój przyjazd, bo za kilka dni stanie w Wenecji i
osobiście prosić

będzie Rocha

o puszczenie w niepamięć tego z pewnością już ostatniego
głupstwa, którego się

dopuścił za podszeptem niecnego intryganta.

— Niema już co robić z tym starym głupcem! — szepnął

Wywilski — Ten człowiek

jest tak głupi... ale to tak głupi... ach! słowo honoru, on jest
zanadto głupi,

aby się nawet dać porządnie oszukać!

— Ale do stu djabłów! Co teraz pocznę? — mówił dalej do
siebie Albin. —

Kapitalik mój przepadł na giełdzie, czy u tego łotra

Szwindera... rachuby z tym

bałwanem zawiodły mnie zupełnie... A bah! nie ujdzie mi tak
na sucho ten pan

Żywicki... poczekam na niego! Ma grosz jeszcze jaki taki;

czyż ja daremnie nad

nim pracowałem!

Rzekłszy to sobie Albin, zapalił świeże sygaro

i usiadł znowu na krześle. Dla rozrywki począł wodzić

oczyma po pokoju i nagle

porwał się jakby czemś uradowany.

— Oto kasetka Żywickiego! — zawołał — ta sama, w której
miał swą podręczną

kasę... Zobaczymy, jak tam stoją interesa!

Istotnie na stoliku stała kasetka marokinem obita, wieczko nie
było dobrze

przymknięte a zresztą w zameczku tkwił klucz. Wywilski
odchylił wieczko i

spojrzał do środka. Na dnie leżało kilka bankowych biletów.

Albin wydobył je,

przeliczył powoli i złożył porządnie. Była to razem suma .
franków.

Albin schował pieniądze do pularesa i wydobywając natomiast
swoją kartę

wizytową, zagiął ją i rzucił do wypróżnionej kasetki.

Następnie usiadł przy

biurku i napisał na kartce kilka słów do Żywickiego. Było to
krótkie i szydercze

pożegnanie. Albin obliczał straty, które niby miał ponieść przy
Żywickim, i

kwitował go z . franków, które zabierał z kassety. Jeżeliś pan
uczciwy

człowiek — dodawał Albin na końcu listu — to mi resztę
odeszlesz.

Skończywszy ten list Wywilski wziął kapelusz i wychodząc
rzekł do lokaja:

— Kłaniaj się pięknie panu, Jakóbie!

W kilka chwil po wyjściu Wywilskiego powrócił do siebie
Żywicki. Gdy mu

powiedział służący, że zaledwie co wyszedł Albin, zmięszał
się mocno i prawie

nastraszył; twarz jego jednak rozpogodziła się prawdziwym
zadowoleniem, gdy się

dowiedział zarazem, że Wywilski kazał go pożegnać.

Żywicki przeczytał kartkę swego Mentora, zostawioną na
biórku, potem zajrzał do

kasetki, ale nie zmartwił się lecz przeciwnie dość wesoło
uśmiechnął. Wyjął z

kasety kartę wizytową Albina, popatrzył na nią z kwaśnym
uśmiechem, rozdarł i

rzucił w przeciwny kąt pokoju.

— Chwała Bogu! — zawołał sam do siebie — zem się i tak
pozbył tego nieproszonego

protektora! A toż chciał mnie wziąć z kretesem w kuratelę...
mnie... Żywickiego!

Ale dowiodłem mu, że mam energję!

I odetchnąwszy, jakby mu ciężar jaki spadł z piersi, przeszedł
się po pokoju

krokiem prawie bohaterskim. Potem zawołał służącego i kazał
mu przygotować

wszystko do dalszej podróży.

— A gdyby się tu pojawił raz jeszcze ten pan Wywilski... —
dodał — nie puścić go

pod żadnym pozorem!

Daremna była obawa Żywickiego, Albin bowiem nie myślał
już wcale o odwiedzeniu

swego Telemaka. W kilka godzin po ostatniej wizycie był już
na dworcu kolei

zachodniej. Pociąg miał odejść dopiero za kilkanaście minut,
Albin tedy

wyprawiwszy już swoje rzeczy i zaopatrzywszy się w bilet
przechadzał się po

korytarzu dworca.

Na korytarzu panował ruch i zgiełk znaczny, mnóstwo
podróżnych uwijało się do

koła z pośpiechem. Albin zatrzymał się i obojętnym wzrokiem
przyglądał się

rozmaitym postaciom. Naraz oczy mu zamigotały żywiej,

uśmiechnął się, jakby go spotkała przyjemna niespodzianka i
kilka kroków naprzód

postąpił.

Albin dojrzał w tłumie podróżnych figurę, która go snać
bardzo zajęła, bo pilnie

jej się przypatrywał i ani na chwilkę nie spuszczał jej z oka.

Był to jakiś podróżny objuczony torbami rozmaitej wielkości i
rozmaitego

rodzaju, cisnący się z gwałtownym pośpiechem do kasy. Jegomość ten miał na sobie strój letni bardzo kusy, karykaturalnie modny, jakiejś szczególnej liljowo-ceglistej barwy, duży plaid na ramieniu, pomarańczową krawatę na szyji i biały niziutki kapelusz na głowie. Wywilski podszedł jeszcze bliżej, jakby się chciał przekonać, czyli się przypadkiem nie myli, a gdy się podróżny twarzą nieco ku niemu odwrócił, uśmiechnął się z jeszcze większym zadowoleniem i szepnął. — On... w własnej swej miłej postawie!... A! to wybornie się składa! I jakby nie chciał być nawzajem poznanym cofnął się w bok, zachowując jednakże stanowisko bardzo bacznej obserwacji. Jegomość w kusym liljowym stroju zdobył w końcu bilet i nie oglądając się pobiegł na peron. Wywilski natychmiast pospieszył za nim i śledził, do którego wagonu wsiedzie podróżny. Gdy liljowa figura już się umieściła w jakimś zupełnie pustym coupé, Albin zbliżył się do konduktora i z ujmującym uśmiechem coś mówił do niego, prosząc go, jak się zdawało, o miejsce rezerwowane. Gdy Albin do ujmującego uśmiechu dodał jeszcze bardziej ujmujący uścisk dłoni, konduktor odpowiedział również ujmującym ukłonem a podprowadziwszy Albina do wagonu, w którym zabrał miejsce liljowy podróżny i pomógłszy mu wsiąść,

drzwiczki za nim zamknął.

Gdy Albin znalazł się w coupé, skłonił się grzecznie podróżnemu i popatrzył nań z uśmiechem ironicznym. Podróżny z początku obojętnym nań rzucił okiem, lecz przypatrzywszy mu się lepiej, zdawał się być w bardzo niemiły sposób zdziwionym.

Twarz jego, która ozdobioną była niepospolitym nosem i rudemi bakenbardami, przybrała wyraz komicznego ambarasu a nawet przestachu. — Herr Schwinder! — zawołał Albin — nie poznałeś mnie, panie Szwinder!

Szwinder, bo on to był w istocie, uśmiechnął się bardzo kwaśno, ale nie wyszedł jeszcze ze stanu przykrego zdumienia.

— Co za przyjemne spotkanie! — wołał Albin z drwiącym ukontentowaniem — jakże się cieszę!

Szwinder próbował uśmiechnąć się również przyjemnie, ale gdyby mu było wolno oddać swoje uczucia w przekładzie na polski język, byłby niezawodnie zawołał:

— Aj waj! bodaj jemu piorun trząśł!...

Albin rozparł się wygodnie, wydobył sigara, potraktował nimi Szwindera i puszczając kłąb dymu, rzekł:

— Postarałem się o to, aby nikt tu już nie wsiadł do wagonu. Będziemy sami, pogadamy! Nieprawdaż że dobrze zrobiłem?...

— Sehr schön! — odpowiedział Szwinder — ale ja muszę jeszcze wysiąść...

Zapomniałem w wartsalu jedną torebkę! Muszę prędko pobiedz.

— Ale gdzież tam? Ileś miał torb razem?

— Cztery — odparł machinalnie Szwinder. Albin się uśmiechnął i odparł:

— Raz, dwa, trzy, cztery... Ot masz wszystkie. Nie radzę ci wsiadać, panie

Szwinder, bo później może nie znajdziemy tak dogodnego miejsca. Zresztą drzwi

zamknięte, a konduktor stoi daleko... ot tam na drugim końcu peronu, rozmawia

coś z komisarzem policji... Oto tam.... widzisz przecież komisarza policji?...

Ostatnie słowa Albin wypowiedział z szczególnym akcentem i spojrzał przenikliwie

na Szwindera. Żydek zbladł i cofnął się w głąb wagonu.

— Omyliłem się istotnie — rzekł niepewnym głosem... — Mam wszystko.

Pociąg ruszył.

— Opowiedz że mi przecież — rozpoczął Albin swobodnie rozmowę — co tam słyhać we Lwowie?

— Nic takiego, coby warto opowiadać — odparł Szwinder, który snać nie był jakoś usposobiony do gawędy.

— Nie kazał mi się tam kto kłaniać?

— Nie.

— Prawda, wyjeżdżałeś pan tak nagle...

— Jakto nagle? — zapytał Szwinder rzuciwszy się niecierpliwie na miejscu.

— Nie miałeś podobno nawet czasu pożegnać się z znajomymi.... — ciągnął dalej spokojnym głosem Albin.

Szwinder spojrzał podejrzliwie i z przestraszonym wywidłem na Wywilskiego i odparł jękając

się:

— Mam pilny interes do Strassburga i nagle istotnie wyjechałem....

— Uhm... — mruknął uśmiechając się dwuznacznie Albin — i dla tego zaniepokoiłeś twych znajomych. Musisz pan mieć wiele przyjaciół, panie Szwinder?

— Wie? — zapytał Szwinder.

— Musisz mieć wiele przyjaciół serdecznych — powtórzył Albin — bo wyjazd twój spieszny wielki wywołał współudział?

— Jako pan rozumiesz?

— Całkiem naturalnie. Rozbijają się za tobą na wszystkie strony. Ale bo też nie umiesz cenić przyjacielskich sympatji, skoro wyjechałeś nagle, nie pożegnawszy się i nie zostawiwszy adresu...

— Kto będzie potrzebować Izydora Szwindera, Bank und Wechsel Comptoir, ten go znajdzie.

— Ale gdzie tam. Telegrafowano właśnie do Wiednia i szukała cię nawet policja a nie znalazła...

Rzekłszy to, Albin spojrział nielitościwym wzrokiem na swą ofiarę. Pan Szwinder struchlał a oczy na wierzch mu wystąpiły, jakby chciały wyskoczyć z osady.

— Jak... czemu?... dlaczego... warum? co pan przez to chciałeś powiedzieć?... — zapytał drżącym głosem.

— To, mój kochany Szwinderku, ie nie godzi się być tak nieszczerym wobec dobrych

znajomych. Widzisz, wiem o tem dobrze, że wyjechałeś bez
pożegnania, że ci
złośliwi ludzie zarzucają, jakobyś sprzeniewierzył się twym
klientom, oszukał
ich w giełdowych sprawach, skradł depozyta i tym sposobem
powetowawszy własną
przegraną, uciekał zagranicę ?
Szwinder był blizkim omdlenia.

— To... to... to... potwarze... Ha... ha... jak pan umie
żartować.., Gott über
die Welt, słowo honoru, kein übler Scherz...

— Ale Szwinderku luby — rzekł Albin — tyś
dowcipniejszy... Jak ty zażartowałeś z
tych głupców, co ci zaufali! Ale tak mi mówiono na prawdę
i... mógłbym się
poświadczyć komisarzem policji, że istotnie niegodziwi ludzie
takie o tobie
rozsiali wieści...

— Nie... nie... ja wierzę panu dobrodziejowi! — zawołał
Szwinder z komicznym
pospiechem.

— Otoż widzisz, po co tu kłamać... Ho, ho, panie Szwinder,
wiemy doskonale o
wszystkiem.

— Panie Wywilski, czego pan chcesz odemnie? — zawołał z
desperacją Szwinder — ja
jestem biedny, nieszczęśliwy człowiek! Unverschuldetes
Unglück, panie
dobrodzieju. Ja byłem uczciwy i solid... spekulowałem
nieszczęśliwie i jestem
teraz nędzarzem... O das ist schrecklich!

— Rozczulasz mnie, biedny Szwinderku! Słowo honoru
gotów jestem, z czystej

litości gotów jestem pomieniać nasze pularesy... No, ale żart na bok! Straciłeś wiele, jak powiadasz, ale honor ocalony! Pozostała ci uczciwość...

— Tak, panie łaskawy, uczciwy honor i... i... honorowa uczciwość i... i... nu, i nic więcej, to cały mój dorobek...

— I szlachetność! — dodał Albin. Żydek z namaszczeniem kiwnął głową.

— Słuchaj ze, mój Szwinderku! — ozwał się z ironiczną emfazą Wywilski — ja wierzę, że jesteś szlachetnym i masz ambicję, i dla tego też apelluję do niej.

Panie Szwinder, tyś był zawsze eleganckim żydkiem a kto cię widział lub widzi, nie uwierzyłby, żeś był niegdyś prosty sobie schnorrer... Tyś miał zawsze wyższe instynkta i posiadałeś kwalifikację na finansbarona, którym, oby Adonaj ci tylko pomógł! będziesz jeszcze z pewnością! Słuchaj Szwinder, ty nie zechcesz mojej krzywdy!

— Albo ja jej chciałem kiedy? — zapytał Szwinder z zdziwieniem.

Wywilski ciągnął dalej z parodjowaną uroczystością:

— Odrwiłeś i oszukałeś ludzi, pokradłeś depozyta, uciekłeś ze Lwowa. Wszystko ci

to będzie przebaczone, ale zwróć mi to, co na mnie wycygałeś, zwróć mi zaraz

dwadzieścia tysięcy!... Żydek porwał się jak oparzony.

— Jak? kiedy? co? Ja nic na panu nie zyskałem... Pańskie akcje spadły, musiałem pana zlikwidować... Ja jeszcze na panu straciłem..

— Tylko spokojnie, Szwinderku drogi — odparł niewzruszonym głosem Wywilski. — Nie wszystko to czysto się odbyło. Nie zdałeś mi jeszcze ostatniego rachunku. Gdybym tak zmusił cię powrócić do twego kontuaru i udowodnić mi książkami, co się stało z mojami akcjami i Żywickiego, pokazałoby się, żeś nie dotrzymał warunków limita, żeś kupował drożej a sprzedawał taniej, pokazałoby się, że dyfferencja przegrana miała jeszcze dostateczne pokrycie... ot widzisz, kto wie, coby się pokazało...

— Gdyby to wszystko było prawda — odparł z rozpaczliwym gniewem Szwinder — nu... to może by ja był panu winien jaką bagatelę, najwyżej tysiąc reńskich...

— Nasz rachunek nie zgadza się — odparł z śmiechem nielitościwym Wywilski — obliczyłem na włoskę, że przyprawiłeś mnie i Żywickiego o stratę . , bo liczę sobie zysk możliwy, jaki nam mógł przypaść, gdybyś był nie uciekł ale dał nam przetrzymać baisse, która jak wiesz, już się skończyła. Ponieważ zaś jesteś bankrutem, więc przystaję na ugodę i liczę sobie tylko %... Ale dwadzieścia tysięcy dasz mi zaraz, dasz mi tu natychmiast, rozumiesz, panie Szwinder!

— Gwałt! — zawołał Szwinder — czy pan żartuje z biednego, zrujnowanego człowieka! Za co mam dać,

czemu mam dać, z kąd mam dać! Ja grosza nie mam, ja żebrak
jestem... To napaść
albo żart!

— Źle o mnie sądzisz, Szwinderku, ja z nieszczęśliwych ludzi
nie żartuję!

Widzisz mój drogi, ja grałem na giełdzie obcemi pieniędzmi, a
ci co mi je dali,
nie zechcą uwierzyć, że tak się stało, jak ty utrzymujesz... Jak
mi nie dasz .

, będę musiał się zasłonić twoją osobą i... i... zażądam na
pierwszej stacji,
aby mnie i ciebie aresztowano...

Szwinder zbladł śmiertelnie.

— To rozbój, to gwałt... ja nic nie mam... pan nie masz serca...

— jęknął

urywanym głosem.

— Przedłożymy nasz spór bezstronnej osobie — odparł

pastwiąc się nad swoją

ofiara Wywilski. — Jak powiedziałem, na stacji najbliższej

jest policyjna

expozytura...

— Dam panu dwa tysiące, Gott soll mich strafen, nie mam

więcej! — zawołał

Szwinder.

— Dodaj jeszcze ośmnaście... a przystanę, ja jestem łatwy w
interesach...

— Ja nie dam więcej...

— Jak ci się podoba... Masz trzy minuty do namysłu. Po

upływie tego czasu

staniemy na stacji.

— Pięć!

Wywilski machnął tylko ręką, jakby na znak, że słuchać nawet
nie chce. Żydek

krzyczał, narzekał, klął się straszliwie i wił się jak piskorz.
Albin był
niewzruszony.

— Otóż i ostatnia strażnica! — rzekł obojętnie, wyglądając przez szybę wagonu.

— Dam dziesięć, dwanaście...

— Dojeżdżamy do stacji...

Lokomotywa wydała świst przeciągły, a pociąg począł zwalniać w pędzie...

— Dam piętnaście! — zawołał Szwinder ochryłym głosem i spojrzał wściekłym wzrokiem na Albina.

— Otóż i stacja — odparł Albin, jakby nie słyszał tej oferty

— Ciekaw jestem,
po co ci żandarmi na stacji?...

I wychylił się z miną bardzo podejrzaną przez okno.

Szwinder chwilę się jeszcze wahał, potem sięgnął do ogromnego pularesu i

wydobył plik banknotów. Szarpnął za poły Albina z furja i wręczył mu pieniądze.

Albin przerachował je i rzekł sucho:

— Braknie jeszcze dwóch tysięcy.

— Gwałt! A co mnie zostanie? — zawołał Szwinder.

— Czyste sumienie... — odparł śmiejąc się Wywilski i zawołał głośno — Herr
Conducteur!

Szwinder wydobył resztę i rzuciwszy je w twarz

Wywilskiemu, padł na pół

zemdłony. Wywilski podjął pieniądze, uśmiechnął się z tryumfem i wydobywając

puszkę z sigarami, podał je Szwinderowi:

— Proszę, zapal pan. Przesiadę się do innego wagonu, będzie się panu nudzić!

Wyborne sygara. Glückliche Heise, Herr Schwinder!

XIV.

EPILOG.

Powieść nasza skończyła się z rozdziałem poprzednim, a słów tych kilka epilogu,

które tu dodajemy, powstało raczej z nałogu

powieściopisarskiego lub przez

względ na wymagania niektórych czytelników, aniżeli z istotnej potrzeby. Główne

zdarzenia, które posłużyły nam za temat powieści, dopełniły się, a to, o co

jeszcze zapytać-by nas mogli ciekawszy czytelnicy, wychodzi już po za obręb

organicznej całości naszego opowiadania.

Niektórzy z tych, co towarzyszyć raczyli autorowi przez cały ciąg jego

opowieści, zarzuca może, że jakkolwiek spełniły się już

opowiedziane zdarzenia,

pozostały przecież osoby. O nich to więc powinniśmy im dać jeszcze wiadomość.

Czyż folgując temu żądaniu

mamy opowiadać wszystkie dalsze koleje głównych osób

powieści, zdawać relację z

całego ich późniejszego życia? Tego epilog dać nie może, tego nawet dać nie

może powieść cała.

Powieść trzymana w zwykłych, skromnych rozmiarach, nie może objąć całego życia

kilku indywidualów, jeżeli indywidualom tym towarzyszyć chce z głębszą uwagą.

Byłby to materiał ogromny, który nie dałby się wyczerpnąć tak łatwo i tak

szybko. Byłaby to nie powieść jedna, ale powieści szereg cały..

Temat nasz, tak jak go wybraliśmy, został wyczerpanym.

Wzięliśmy jeden ustęp z

życia kilku osób, ustęp w którym życie i los zetknęły tę gromadkę osób z sobą,

pokrzyżowały ich wzajemne drogi, splątały ich cele i

marzenia, wprowadziły w

kolizję ich charaktery.

Relacja wzajemna tych głównych osób ustała, wypadki życia rozrzuciły ich teraz,

tak jak je dawniej złączyły; drogi ich rozeszły się — powieść się skończyła.

Co się stało z każdą osobą dalej po odegraniu tej roli, która jej przypadła w

obrębie opowiadanych zdarzeń, nie należy już do naszej powieści...

Krótkim więc będzie nasz epilog.

* * *

Zygmunt po otrzymaniu listu od Rocha natychmiast wyjechał

do Włoch. Zastał Irenę

chorą i mocno zmienioną. Twarz jej cierpiąca i wychudła uderzała

dziwnie smętnym choć spokojnym wyrazem a piękność, która dawniej tak olśniewała,

nie była już pięknnością z tego świata.

Irena powitała Zygmunta z szczerem zadowoleniem, jak się wita przyjaciela.

Lubiła bardzo jego towarzystwo, rozmawiała z nim chętnie, a konwersacja

przybierała często cechę czułości. W jej postępowaniu z Szarskim przebijało się uczucie przywiązania i wdzięczności — ale nadziei w niem żadnej nie było dla Zygmunta...

Czas spędzony w towarzystwie Ireny był dla Zygmunta epoką, której wrażenie na zawsze pozostało w jego duszy. Jak sen smutny a przecież uroczy przebiegły dla Amadeusza te chwile boleśnego upojenia...

Roch patrzył na Irenę okiem, pełnym niepokoju i smutnego przeczucia. Stan zdrowia Ireny taił on przed Zygmuntem — ale trudno było niedomyślać się, że życie nieszczęśliwej kobiety gasło szybko choć na pozór łagodnie.

Irena cierpiała na chorobę piersiową, która mimo zmiany klimatu i najenergiczniejszej, najstaranniejszej pomocy lekarzy, z każdym dniem przybierała bardziej zatrważające rozmiary.... Wszelkie nadzieje wyzdrowienia były tylko złudzeniem....

Zygmunt nie zdobył się nigdy na słowo wyznania. Ilekroć wydzierały mu się z serca słowa miłości, zawsze zastygały mu na ustach pod dziwnie smętnem, nieziemskim tchnieniem, którym owiewał go widok Ireny... W kilka zaledwie miesięcy Irena skończyła swój krótki żywot we Włoszech...

Przejęty niewymowna boleścią i okropną tęsknotą Zygmunt chciał natychmiast

wracać do kraju. Współczucie dla Rocha zatrzymało go
dłużej. Silna, tak żywotna
i energiczna natura Rocha zdawała się być złamaną, ale
Zygmunt niestety bardzo
smutnym mógł być tylko pocieszycielem. Gdy już stanowczo
wyjeżdżał i żegnał się
z Rochem, zapytał go tenże:
— Wszakże mieszkasz w górach, i jak słyszałem, wśród lasów
ogromnych?
Zygmunt potwierdził milcząco, choć nie wiedział, czyli w tej
chwili choć jedna
część Szarek jest jego własnością.
— Słuchajże — mówił Roch — wynajmiesz mi swoje lasy lub
jeżeli są za małe,
wynajmiesz mi bór największy, jaki się tam znajdzie w
twojem sąsiedztwie...
— Na cóż to? — zapytał Zygmunt.
— Każ mi tam wystawić mały domek strzelecki, ale gdzieś w
najdzikszym ostępie, w
samym środku lasów. Przyjadę tam w grudniu i będę polował.
Świat mi zbrzydł, nie
mam co robić wśród niego.... Ludzie mi obmierzli, ani kochać
się ani wojować z
nimi nie chcę. Będę siedział w lasach i będę się tłukł z
wilkami... Pamiętaj...
w grudniu z pewnością przyjadę...
W kilka tygodni po tej rozmowie Zygmunt po długim
niewidzeniu obaczył swą
ustroń wiejską. Docierał do niej na prostym górskim wózku a
gdy z po za wzgórza
wyskoczyły nagle na widok białe ściany jego dworku,
Zygmunt westchnął boleśnie,

i z okrutną, wyraźną dokładnością stanęły mu w pamięci całe dzieje tego czasu, który ubiegł między wyjazdem a powrotem... I sprawdziło się to, co moje szeptał już dawniej Zygmuntowi tłumiony głos przeczucia. Szarki ubożuchne zostały tam gdzie były, za górami, za lasami, ta sama w nich cisza się rozlegała, ale w dawne wrota, pod dawną strzechę nie ten sam Zygmunt powracał...

Zygmunt nie wiedział, czy ma zajechać pod dawną swoją strzechę. Ożarko nic mu nie pisał o interesach. Może Szarki stały się już własnością cudzą — może lepiej oszczędzić sobie przykrej chwili i pominąć je a jechać wprost do Ożarki?... Po chwili smutnej niepewności Zygmunt zdecydował się zajechać do dworku.

— Do Ożarki jeszcze mila drogi — rzekł sam do siebie — wstąpię a dowiem się o wszystkim... od nowego właściciela. Skrócę sobie czas niepewności...

Jak biedny wędrowiec szukający noclegu nieśmiało wjeżdżał Zygmunt na małe podwórko. Przed domem stał jakiś wózek górski.

— Czy są gości? — zapytał Zygmunt chłopaka, który stał przy koniach.

— Nie... nie ma... — odparł chłopak.

— A czyżże to wózek?

— Pana Ożarki.

— Do kogóż on tu przyjechał? — pytał dalej Zygmunt, jakby się obawiał sformułować stanowczo swe pytanie.

— A do nikogo... do ekonoma.

— Nie do pana?

— Dziedzica nie ma, i nie wiedzieć kiedy wróci.

Zygmunt odetchnął wolniej. Szybkim krokiem podążył ku drzwiom, gdy naraz pokazał

się w nich Ożarko. Zygmunt rzucił się mu w ramiona i jak ojca uściskał. Z twarzy

Ożarki zniknął na chwilę zwykły jej wyraz oschły i pedantyczny. Uściskał i

ucałował Zygmunta serdecznie i z rozrzewnieniem.

— Gzy przyjmiesz mnie na nocleg, kochany panie Adamie?

— rzekł po chwili z

smutnym uśmiechem Zygmunt.

— Jak to? ja ciebie?... — zawołał Ożarko — a toż przecież jesteś pan we własnych

progach...

— Żartujesz chyba, kochany panie Adamie — rzekł Zygmunt

— zapewne i jeden gont z

tego dachu nie jest moim...

— Panie Zygmuncie — rzekł Ożarko poważnie — Szarki twoje są jak dawniej, co

więcej lepiej nawet stoimy, niż przedtem. Goś mi winien, toś mi winien, i to

ubezpieczyłem sobie na twojej własności. Ale zostało ci jeszcze tyle, abyś żył

skromnie pod strzechą rodzinną i wypłacał mi się powoli.

Wypłaciłem wszy-

stkie długi, a tabula Szarek mnie tylko samego dźwiga. To wygodniej dla ciebie.

Ale o interesach później, teraz cię tylko przeprosić muszę, żem się trochę za

samowolnie rządził na twoim gruncie... Ale widzisz, to ci na dobre wyjdzie,

kochany panie Zygmuncie, bo będziesz miał dowód, że Szarki
więcej warte niż
mniemasz. Założyłem ci fabrykę gontów, tartak, smolarnię... i
ot krótko mówiąc
dwa razy tyle wiozuczyna niesie, co niosła przed tem...
Zygmunt nie zdobył się na słowa podziękowania, ale z
synowskim prawie uczuciem
uściskał znowu zacnego Ożarkę.
— A teraz proś mnie pan o nocleg — rzekł Ożarko — bo
istotnie zostać tu zaraz
nie możesz. U mnie ci będzie wygodniej, nim się twoja własna
chata trochę
ogrzeje i okrzęta w domowe potrzeby. Nie zastaniesz tu
bowiem nawet wieczerzy,
bo siedzi tu tylko ekonom, do którego ja dojeżdżałem co dni
kilka pomagając w
gospodarstwie. Przenocuj u mnie, weselej ci będzie, a jutro
rozgospodarujesz się
u siebie.
Nim konie Ożarki gotowe były do drogi, Zygmunt stanął na
ganku swego domu i
rozglądnał się do koła.
Była już pora późna jesienna, dzień był ponury, smutny.
Zygmunt spojrział na góry
osłonięte mgłą dżdżystą, na ciemne lasy kurzące się w dali
wilgocią jakby dymem,
i strasznie tęskno zrobiło mu się w duszy...
Jak tu żyd w tej samotności, w tej tęsknicy nieskończonej, z
temi wspomnieniami,
z tym smutkiem w sercu?...

* * *

Hrabia Daniel, mimo opłakanego stanu zdrowia, mimo wielu wyroków na śmierć, ferowanych nań przez synów Eskulapa żył długo jeszcze, bardzo długo. Sylwja i on prowadzili jednak życie już cichsze i samotniejsze. Większą część roku spędzali na wsi. Z twarzy Sylwji przebijał zawsze wyraz szczęścia i wesołości, a od tego blasku pożyczala sobie pogodnych promieni znękana twarz Daniela.

W kilka lat po opowiedzianych wypadkach doczekał się nawet hrabia Daniel wcale pomyślnego zwrotu w stanie zdrowia. Jeden z najśłynniejszych paryzkich lekarzy pokrzepił go i odmłodził prawie swą sztuką. Był to sobie zawsze wąły, blady człowieczek z wyrazem cierpienia na twarzy ale nie zapadał już nigdy gwałtownie i z wiecznego pacjenta zmienił się w wiecznego rekonwalescenta.

Ostatniej wiadomości o swojej śmierci zaprzeczył po powrocie z Paryża, pokazując się swym znajomym konno, w towarzystwie Sylwji, kłaniając się bardzo grzecznie lekarzom i witając z nietościwą serdecznością krewnych, których szeregi śmierć okropnie przerzedziła.

Znajomym opowiadał hrabia Daniel, że spotkał w Paryżu młodego człowieka, żyjącego z dość wystawną elegancją, który się nazywał Le comte Wilski a podobny był jak dwie krople wody do Albina Wywilskiego, i że w hotelu, w którym

mieszkał, ofiarował swe usługi agent finansowy,
rekomendowany przez portjera
hotelowego jako un gentilhomme allemand. Ten agent zostawił
Danielowi kartę, na
której pod siedmioperłową koroną znajdował się napis: Le
baron de Schwinderwind.
Hrabia Daniel pewnym był, że to poczciwy Icek alias Izydor
Szwinder, i kazał go
sobie przyprowadzić, ale baron nie przyszedł.

* * *

Pan Euzebiusz Żywicki przeprosił Rocha i mieszkał wraz z
nim i Ireną we
Włoszech. Podczas choroby Ireny okazał się bardzo czułym i
troskliwym ojcem a
śmierć jej sprawiła na nim okropne wrażenie. Długi czas
spędził w prawdziwym,
ciężkim smutku. Gdy Roch wybierał się w góry do Zygmunta
i uregulował swe
stosunki majątkowe, otrzymał Żywicki bardzo hojną dotację,
która mu pozwalała
żyć po pańsku i wystawnie.
Oddał się nasz milionerissimus zupełnie swej próżności, która
wystarczała mu za
całą treść życia. Cała namiętność swoją skierował na piękne
ekwipaże i konie, i
bawił się temi cackami jak dziecko. Osiadł
w stolicy jakiegoś malutkiego, udzielnego ksiąstewka
niemieckiego i odgrywał
bardzo wielką rolę na bardzo maleńkim dworze. Ale był
szczęśliwy i dumny z

siebie, z swych ekwipaży, z swych koni, i z pełnej
uszanowania miny Niemców,
którzy gapili się nań wszędzie, zwąc go polnischer Herzog.
Czując starość i coraz bardziej upadające siły powrócił jednak
do kraju, do
którego przed śmiercią zatęsknił — i tu wkrótce umarł.

KONIEC